

~~4. 7. 14. 6.~~



DZIADEK
I CZTEREJ
JEGO WNUKOWIE.

Książka pożyteczna tak dla dzieci
jako i dla osób ich wychowaniem
trudniących się.

TOM I.

WARSZAWA,

—
1848.

Nakład i druk Orgelbranda.

[Lesmierski Paweł Gustachy.]

DZIADEK

I CZTEREJ JEGO WNUKOWIE.

WARSZATA.

1848.

Dublet do:

52 249.

5.7.8.108.

4.23.5.8^a

15.8.6.5712

271182

m7

ks. nb. 16784

DZIADEK

I CZTEREJ JEGO WNUKOWIE

CZYLI

POCZĄTKOWE NAUKI I WIADOMOŚCI

DLA DZIECI CZYTAĆ UMIĘJĄCYCH, W ROZMOWACH
PRAKTYCZNYM SPOSOBEM WYŁOŻONE

Książka pożyteczna tak dla dzieci jako i dla osób
ich wychowaniem trudniących się.

—•••••
TOM I.
—•••••

WARSZAWA,

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa
przy ulicy Miodowej Nr. 496.

—
1848.



156135 | 1

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 12/24 Listopada 1846 r.

Cenzor Niezabitowski.

WARSZAWA

1846

D-254/84

NIEDZIELA PIERWSZA.

w Świecnie.

Sędziwy kapitan Godziemski, mieszkał w pięknej wsi kościelnej nad Wisłą; a że przed kilką laty założono tam wiejską szkołkę wzajemnego nauczania, zobowiązał więc swych synów, aby mu powierzyli na rok swe dzieci, których on podejmował się zająć początkowem wychowaniem.

Mali krewni w kilka dni po przybyciu, żyli z sobą, jakby od dawna już znali się. Najstarszemu imię było Kazimierz,

jego ojciec był majętny dzierżawca; następny Jan, syn kupca z Krakowa; trzeci Leon, syn pułkownika, który przed rokiem przyjął służbę w obcém wojsku; nakoniec Stanisław był sierota, bez majątku.

„Pośpieszcie się moje dzieci, rzekł pewnego dnia rano dziadek, zapukawszy we drzwi ich pokoju; przyrzekłem wam na dziś rano długą przechadzkę, widzicie że dotrzymuję słowa....“

Na jego głos wybiegają dzieci, całują go, jeden podaje mu jego laskę, drugi przynosi kapelusz, i ochoczo wyruszają w najpiękniejszą pogodę. Wesóło, jak młode źrebaczki, biegali, to w prawo, to w lewo, gdy przybywszy na wzgórek, zawołali: „Dziaduniu, dziaduniu, chodź, zobacz! Ach! jak to piękne, jak to piękne! Cóż to jest?“

DZIADEK.

To słońce, moje dzieci, jest to gwiazda, od której mamy światło, a skoro się

ona ukaże, wszystko się budzi, ożywia. Ptastwo śpiewać zaczyna, liście rozwijają się, kwiaty wydają zapach, trawki rzeźwieją, obsycha rosa, budzą się ze snu zwierzęta, a człowiek modli się...

Szanowny starzec odkrył głowę, dzieci ukłękły, i krótką uczyniwszy modlitwę, przed dziadkiem usiadły.

KAZIMIERZ.

Skądże się to wzięło wszystko co tu w okolo widzimy?

DZIADEK.

Wszystko to stworzył Bóg, który *był* który *jest* i *będzie* wiecznie. Pismo święte mówi nam, że to wielkie dzieło ukończył w sześciu dniach. *Pierwszego* dnia, po stworzeniu nieba i ziemi, rozkazał aby stało się światło. *Drugiego* dnia stworzył firmament, i nazwał go niebem. *W trzecim* oddzielił wody od ziemi, połączył je razem, i nazwał je morzem, i rozkazał aby ziemia wydawała drzewa, rośliny i owoce. *Czwartego* dnia Bóg stworzył te

świetne ciała które na niebie widzimy. Piątego stworzył ryby i ptaki. Szóstego dnia stworzył wszelkiego rodzaju zwierzęta, i nareszcie stworzył człowieka na swoje podobieństwo, i uczynił go panem nad temi wszystkimi dobrami. Ponieważ siódmego dnia Bóg odpoczął, na tę więc pamiątkę siódmy dzień w tygodniu, niedzielę, poświęcamy Bogu na podziękowanie za te jego dobrodziejstwa.

KAZIMIERZ.

Dobrze, mój dziaduniu, wszystko to widzimy; a Boga można widzieć?

DZIADEK.

Nie, moje dziecko. Niegdyś ukazał się On Mojżeszowi na górze Synaj; tam to, przez czterdzieści dni i nocy, w pośród grzmotów i błyskawic, dyktował mu prawa i przepisy według których potem cześć oddawana mu być miała; lecz Bóg nie pokazuje się już ludziom od czasu jak nauczyli się widzieć go w naturze, która jest jego dziełem, i słyszeć go w swém

sercu... sumienie bowiem, jest to jego głos który do nas przemawia.

LEON (*zamysłony*).

Oh! to prawda... Ja, wczoraj, uderzyłem Jasia, i zaraz mi tu (przykładając rękę do serca) coś mówiło, że źle zrobiłem.

DZIADEK.

A ty, Jasiu?

JAN.

Ja, przebaczyłem Leosiovi, i coś mi mówiło, że dobrze zrobiłem.

DZIADEK (*obydwóch ściskając*).

Zawsze bądźcie posłuszni temu głosowi, moje dzieci! a Bóg zawsze przemawiać do was będzie, i nigdy was nie opuści.

— Wtem odezwał się dzwonek na kościele, jak zwykle o ósmej godzinie, powstał dziadek, i dzieci, czegoś się już nauczywszy, szły z nim spokojnie.

Powracali po nad rzeką, gdy Stasio spostrzegłszy coś po wodzie płynące, niespokojny, zapytał się, czy to było mar-

twoje czy żywe. Jeden mówił że to pies; drugiemu zdawało się że widzi zawiąniętko bielizny; inny utrzymywał że to człowiek, inny, że to dziecko... a gdy owo coś zbliżyło się do brzegu, śmiać się wszyscy zaczęli, gdyż to była piana. — Widzicie moje dzieci, jak nas mylą nasze zmysły.

KAZIMIERZ.

Mój dziaduniu, cóż to nazywasz naszymi zmysłami?

DZIADEK.

Nasze zmysły są: *wzrok, słuch, smak, węch i dotykanie*. Mamy pięć zmysłów, czyli pięć sposobów czucia i poznawania; a części naszego ciała na które wywierają się te różne przedmiotów wrażenia, nazywają się organami czyli narzędziami zmysłów:

Oko, jest narzędziem wzroku;

Język, narzędziem smaku;

Ucho, narzędziem słuchu;

Nos, narzędziem węchu;

Ręka, narzędziem dotykania.

Kiedy jęcie cukier, czujecie że jest do bry; gdy się dotkniecie ognia, czujecie ból; otoż to co przez wasze narzędzia zmysłowe czyni wrażenie, na waszych zmysłach, nazywa się czuciem. Bóg pomieszczał zmysły, jak jakie straże, po różnych częściach naszego ciała, aby nas ostrzegały o naszych potrzebach, żeby czuwały nad naszym bezpieczeństwem, w pośród wszelkich, już użytecznych, już szkodliwych, rzeczy nas otaczających; kiedy dobrze używamy swych zmysłów, to dla nas szczęście, a ze złego ich użycia wynika nasze nieszczęście w tém i przyszłym życiu.

— Gdy nad wieczorem przechadzali się po wsi, Leon któremu się pić chciało, spostrzegłszy starca przed domem siedzącego, zbliżył się do niego i rzekł uprzejmie: Mój ojczy proszę was o szklanekę wody, bo mi się pić chce... Starzec

nie ruszył się z miejsca, i te wymówił słowa: *Mój syn jest niewdzięczny!*

Zdziwiony Leon obejrzał się w około, do kogoby te słowa były wymówione... Nikogo nie widząc, powtórzył ze drżeniem swoje prośbę: „Mój ojczy proszę was o szklanę wody do napicia się....“ Starzec ciągle niewzruszony, rzekł znowu, smutnym głosem: *Mój syn niewdzięczny!*

Teraz już Leon tak się przeląkł, iż z krzykiem wbiegł do domu. Wzdrygnął się i wstał na krzyk Leona człowiek dotąd siedzący, z poblądłą na dłoniach opartą twarzą, jego zapadłe oczy były obłąkane: „Czego chcesz? odezwał się także przełęczony, kto jesteś?

— Jestem Leon, odpowie przestraszony chłopczyk: chciałem napić się, ale teraz nie mam już pragnienia. To powiedziawszy wymknął się i przybiegł co tchu powiedzieć dziadkowi i braci co go spotkało.

DZIADEK.

Smutne działy się rzeczy w tym domu, opowiem je wam, moje dzieci.

„Syn tego starca, chcąc poślubić dziewicę mającą znaczny posag, wymógł na swym ojcu iż mu ustąpił całego swego majątku, a syn mu przyrzekł dać u siebie pomieszkanie i wyżywienie do śmierci. Pod takimi warunkami syn żeni się; zaraz po weselu ojciec przybywa do domu syna, sądząc że i on będzie używał szczęścia, które zgotował dla syna? Lecz syn wyprawia go z domu, dając pensją, która ledwie wystarczyła na odpędzenie głodu.... Biedny starzec, bolesnie uczuwszy taki postępek syna, rzekł tylko te słowa: *Mój syn jest niewdzięczny!* Od owego też czasu nic innego, prócz tych słów, nie mawiał.

„Kiedy się rozgłosiło że syn był przyczyną pomieszczenia zmysłów ojca, przymuszony był tenże utrzymywać w swym domu ojca, z obawy aby go gmina

z pośród siebie nie wyгнаła. Młoda żona syna, umarła ze zmartwienia na ciągły widok takiego nieszczęścia. A ponieważ nie mieli dzieci, zatem wypadało zwrócić posag jej rodzicom; teraz pozostał synowi niewdzięcznemu stary ojciec i zgrzyoty. Wszak widziałeś go, Leonie?

LEON.

Widziałem, mój dziaduniu; on pokazuje się jeszcze nieszczęśliwszy jak jego ojciec.

Powróciły dzieci do domu mając w myśli niewdzięczność, szkaradny występki, który ściąga nienawiść i wzgardę u wszystkich ludzi, którego prawo nie karze, bo on sam w sobie nosi karę, nie mówiąc już o tem że Bóg w przyszłym życiu karać go będzie!

NIEDZIELA DRUGA.

w Maja.

Dziendobry dziaduniowi. A co będzie-

my dziś robili? zawołały dzieci wchodząc do jadalnego pokoju.

DZIADEK.

Zobaczmy najprzód coście robili przez tydzień. Gdzie są szkolne dzienniki?

Każde podało swój dziennik, prócz Stanisława; dziadek czytał na głos: „Kazimierz, *sprawował się dobrze*; to pięknie! Jan, *pilnie robił co mu polecono*: to bardzo dobrze! Leon, *swawolny*... Oh! to bardzo źle!

LEON.

Prawda, mój dziaduniu; ja wcale nie pracowałem, bawiłem się tylko z moimi towarzyszami. Ale już stało się, odtąd przyrzekam poprawić się! zobaczy dziadunio.“

DZIADEK.

Dobrze więc, przebaczam ci na ten raz. Stasiu mały, gdzie jest twój dziennik?

STASIO (*jąkając się*).

Oto... zgubiłem go razem z chustką.

DZIADEK (*smętnie*).

Wiecie, moje dzieci jak was kocham; jeżeli zebrałem jaki taki majątek, to na to, aby go równo między was podzielić; lecz wprzód żądam abyście mnie przekonali że lubicie porządek, pracę i oszczędność; bo powiadam wam że bez żadnego skrupułu nie dam nic z moich bogactw tym którzyby tych cnót nie mieli, gdyż straciliby je wkrótce i nie byliby szczęśliwi; kiedy przeciwnie przyczynią się one do szczęścia innych... Spodziewam się jednak, że nie zechcecie zmartwić mię złemi postępkami.

WSZYSOY, (*rzucając się w jego objęcia*)

Oh! nie, dziaduniu! nie damy ci powodu do zmartwienia.

DZIADEK.

Dobrze, dobrze, moi przyjaciele. Idźcie teraz pomóżcie Małgorzacie przyrzędzić śniadanie; nauczcie się sami sobie usłużyć, abyście umieli rozkazywać in-

nym, jeżeli będziecie bogaci, lub słuchać się, jeślibyście byli biednymi.

— Wkrótce Kazimierz powrócił niosąc talerz jaj, na czerwono ufarbowanych. — Gospodyni dała nam święcone jaja; na jaką to pamiątkę są na Wielkoc święcone jajka?

DZIADEK.

Niegdyś rok zaczynał się na Wielkoc, w tym czasie kiedy ziemia zdaje się otwierać, i wydawać różne plody w jej łonie zamknięte. Wtedy ludzie czynili sobie na wzajem podarunki z jaj, gdyż jaje uważa się za początek wielu rzeczy; a lubo potem postanowiono aby rok zaczynał się z 1^{ym} dniem Stycznia, lud jednak zachował zwyczaj darowania sobie jajek święconych.

LEON (*tupając nogami z niecierpliwości*).

Otoż znowu się zachmurza; a jak to nieznośnie! nie będziemy mogli użyć przechadzki.

DZIADEK.

Jeżeli chcecie, powiem wam historią.

WSZYSZY.

Dobrze, dobrze! historią, to dobrze!
Zaczekaj dziaduniu, aż będziemy gotowi.
— Piją szklanke wody, odsuwają talerze,
przysuwają stolki do stołu. Teraz... niech
dziadunio zaczyna.

DZIADEK.

„Bogumił, syn majątnego kupca prowadzącego handel zbożem i drzewem do Gdańska, oddany będąc na jedną z najpierwszych pensyj w Warszawie, swoją pilnością w nauce i dobrą postępowaniem, tak sobie zjednał przełożonego owęj szkoły i nauczycieli, iż go innym uczniom za wzór do naśladowania wskazywali. Nie był on taki jak wielu owych półgłówków, co to mówią: Jestem bogaty, nie potrzebuję pracować, suszyć sobie głowy, jak wszyscy ubodzy czynić muszą; on przeciwnie, zawsze był pilny. Z początku szło mu z trudnością; potem łatwiej,

dalej praca około nauk, stała się dla niego miłą zabawą. Co miesiąc posyłał matce szkolne świadectwa o swęj nauce i zachowaniu się, a w nagrodę od matki odbierał pochwały, pieniądze na śniadania i książki, które sobie kupować i czytywać lubił. Bogumił starannie utrzymywał swoje suknie, bieliznę, książki, papiery i dane do jego użytku sprzęty i narzędzia; w wydawaniu pieniędzy był umiarkowany, oszczędny; łakotki zaś sobie przystane dzielił ze swymi towarzyszami. Jednym słowem Bogumił był bardzo *porządny* chłopiec, dobry uczeń. Wszyscy go kochali, uważał się za szczęśliwego.... gdy pewnego dnia dano mu znać że matka przyjechała. Przybiegł co żywo i z radością ucałował jęj ręce; potem nieco spokojniej przypatrując się jęj, spostrzegł że była blada, smutna i nie tak bogato, jak zwykle, ubrana.

— Przybyłam podziękować Panu za troskliwe starania o mým synie, rzekła do

przełożonego szkoły, lecz nieszczęście... (tu niemogąc łez wstrzymać, rzewnie płakać zaczęła), niespodziane nieszczęście zmusza mię zabrać go z pańskiej szkoły. Nasz dom okryłby się plamą bankructwa, gdybym chciała zachować majątek dla swego syna: wolałam raczej zachować mu dobre imię, i wszyscy wierzyciele nasi zostali zaspokojeni. Mój mąż pozostał w Gdańsku, gdzie mu wypadało dopilnować interesów dla ocalenia reszty majątku, a może Bóg da, i odzyskania części straty... Mnie zaś szczupłe pozostały środki utrzymania się z dzieckiem.

Bogumił płakał, na widok płaczącej matki... Po ostatnich jej wyrazach, oczy sobie otarłszy, wychodził dla pożegnania swoich towarzyszków, gdy przytrzymałszy go za rękę przełożony szkoły, rzekł mu dobrotliwie: — Nie mój przyjacielu, nie oddalisz się od nas; życzeniem mojem jest zatrzymać najlepszego ucznia naszej szkoły, ucznia który jest dla niej zaszczytem

i przykładem; a Panią proszę aby mi tę łaskę uczyniła.

„Biedny Bogumił, nie wiedział z radości jak ma dziękować swemu przełożonemu i matce, której rozczulenie dosyć wyrazić wdzięczności nie dozwalało; potem wybiegł niespostrzeżony i niebawnie powrócił z sakiewką pieniędzy. Weź mammo, zawołał, jest to moja oszczędność. Moja bielizna i suknie, wszystko jeszcze nowe, dobre; niczego nie potrzebuję; mam nadzieję że przyjdzie szczęśliwa chwila, w której będziemy mogli uiścić się z długu Panu...”

— Nie mówmy o tem, mój przyjacielu, odrzekł zaraz przełożony pensyi; wracaj do swych towarzyszków, ukryj przed nimi nasz układ: nie trzeba nigdy mówić o takich sprawach. Bogumił ucałował stokrotnie matkę, chcąc ją tym sposobem pocieszyć, i wróciwszy wziął się do pracy z większą jeszcze jak przed tém usilnością.



Tak więc swem dobrém sprawowaniem się, zjednał sobie Bogumił względy przełożonego i sposobność dalszego pobierania nauk, a porządkami przyczynił matce funduszu na lepsze utrzymanie się, dopóki ojciec nie ukończył za granicą interesów handlowych i z lepszym nad spodziewanie skutkiem do domu powrócił.

KAZIMIERZ.

Mój dziaduniu, czy ta historia jest prawdziwa?

DZIADEK.

Tak, moje dziecko; nigdy ja wam nie powiem rzeczy nieprawdziwych.

LEON.

Właśnie za piętnaście złotych, które mam teraz, chciałem sobie kupić konika, ale kiedy tak, zachowam je, bo gdyby papa wrócił ranny, bez pieniędzy.... przydałyby się wtedy.

JAN.

I ja już nie będę kupował piłek! bo

jakbym ja sobie miał do wyrzucenia, gdyby mój papa zbankrutował!

STASIO, (placząc).

A ja który jestem ubogi, i jeszcze giębie chustki, cóż dostanę od dziadzi!

DZIADEK.

Uspokój się już mój Stasiu, już ci się to nie zdarzy. Pochwalam wasze postanowienia, moje dzieci; nauczcie się nie marnować bez pożytku małych ilości pieniędzy, a będziecie umiali kiedyś wydać pożytecznie wielkie summy.

— Z obawy deszczu nie śmiały dzieci prosić o wyprowadzenie ich na przechadzkę. — Cóż tedy będziemy robili? rzekł Jan. Gdybyśmy to przynajmniej pracować mogli?”

— Czemuż nie? odpowiedział dziadek; nauczę was liczb od jednej aż do stu.

Dzieci przy nim usiadły, a on tak zaczął:

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć, jedena-



ście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedmnaście, osmnaście, dziewiętnaście,

dwadzieścia,
trzydzieści,
czterdzieści,
pięćdziesiąt,
sześćdziesiąt,
siedmdziesiąt,
osmdziesiąt,
dziewięćdziesiąt,
sto.

jeden, dwa, trzy, cztery, pięć,
sześć, siedm, ósm, dziewięć.

JASIO.

A dalej nad sto jak się liczy?

DZIADEK.

Dolicza się do sta, zacząwszy od jednego, aż do stu i dziewięćdziesiąt dziewięciu, mówiąc: *Sto jeden, sto dwa, sto trzy* i t. d.; a po sto dziewięćdziesiąt dziewięć, mówi się: *Dwieście*.

JASIO.

A po dwóch stach, jak się liczy?

DZIADEK.

Liczy się od dwustu do trzystu,
od trzystu do czterechset,

Liczy się od czterechset do pięciuset,
od pięciuset do sześciuset,
od sześciuset do siedmiuset,
od siedmiuset do ośmiuset,
od ośmiuset do dziewięciuset,
od dziewięciuset do dziewięćset
dziewięćdziesiąt dzie-
więć.

Zawsze takim samym sposobem, od stu jeden, do stu dziewięćdziesiąt dziewięciu. Tylko po dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć mówi się: *Tysiąc*.

JASIO.

A po tysiącu, jak się liczy?

DZIADEK.

Liczy się tysiącami podobnie jak się liczyło stami aż do tysiąc razy tysiąc które czyni *milion*.

Potem tysiąc milionów czynią *bilion* lub *miliard*, a dalej już nie ma rachunku.

Kontent z was jestem, moje dzieci; słuchałyście z uwagą lekcji dość nudnej ale użytecznej... dla tego dobrze sądzę o

waszym rozsądku i o waszej chęci do nauki.

NIEDZIELA TRZECIA.



Dziaduniu, dziaduniu, czy słyszysz wielki bęben? Pułk wojska przechodzi, chodźmy, prędko! prędzěj, wołały dzieci, ciągnąc dziadka, jedno za rękę, drugie za surdut.. Wyszli więc na plac, kędy zatrzymało się wojsko, a Leon najprzód, przybliżywszy się przypatrywał się broni, ubiorom, ryszunkom, ludziom; potem wróciwszy do dziadka, rzekł smutnym bliskim płaczu głosem:—Czemże jest mój papa w pułku?

DZIADEK.

Pułkownikiem, moje dziecko; lecz twój ojciec był najprzód żołnierzem: dopiero dobrymi postępkami, męstwem, a nade wszystko posuszeństwem swoim przełożonym zasłużył na wyższe stopnie w wojsku.

LEON.

Ja także będę żołnierzem... czuję że będę odważnym: i będę się starał być postusznym.

DZIADEK.

Zresztą, moje dziecko, każdy człowiek powinien być postusznym. Żołnierz postuszny jest kapralowi, kapral podoficerowi, ten porucznikowi, porucznik kapitanowi, kapitan pułkownikowi, pułkownik generałowi, generał ministrowi, minister królowi, a wszyscy razem Bogu.

— Wojsko ruszyło dalej w pochód, szło przy odgłosie hucznej wojskowej muzyki. Leon ledwo oddychał, ledwo dotykał ziemi nogami, w tej radości szedł z pułkiem, i z żalem potem wrócił do dziadka.

— Lubię patrzeć na wojsko, rzekł Kazimierz, za powrotem do domu. Ale na cóż to jest wojsko?

DZIADEK.

Wojsko jest na to, aby zapewniło krajo-

wi porządek i bezpieczeństwo wewnątrz i zewnątrz, żeby go bronito od nieprzyjaciół.

JASIO.

To bardzo słusznie! Ci tylko mogą się bić, którzy bić się umieją.

LEON.

Oh! Jaki z ciebie tchórz! Ja wprawdzie teraz jeszcze nie umiem bić się; ale niech tylko spróbują przyjść nieprzyjaciele... obaczą!

STASIO.

A o mnie co myślisz? sądzisz może, że ja nie umiałbym bronić mego dziadzia, gdyby na niego nieprzyjaciele napadli? Niechno przyjdą a obaczą!

DZIADEK.

Tak, moi przyjaciele, w złym razie wszyscy na wzajem bronić się powinniśmy.

KAZIMIERZ.

Gdyby nieprzyjaciel naszemu kraj, lub zły człowiek napadł naszego dziadzia, ja-

bym także stanął do obrony.... Z tem wszystkim ja wolałbym być urzędnikiem niż pułkownikiem.

DZIADEK,

Mój przyjacielu, nie ma nic szlachetniejszego jak bronić sieroty i każdego uciśnionego, i zapewniać poszanowanie prawom; każdy stan ma sobie właściwe trudy i przykrości... i urzędnik i żołnierz równie są krajowi potrzebni i użyteczni.

KAZIMIERZ (*patrząc w oczy*

Leonowi).

Dobrze o tem wiedziałem że mógłbym także być użytecznym.

JASIO.

A ja dziaduniu?

DZIADEK.

Ty mój przyjacielu, ty będziesz kupcem. Jeżeli tak, jak twój ojciec, będziesz porządnym, czynnym, wzniesiesz fabryki w których znajdą sposób do życia i robotę ubodzy; będziesz wyrabiał w swojej fabryce rzeczy lepsze i tańsze od zagra-

nicznych, abyśmy niepotrzebowali kupować u obcych, przeciwnie starać się będziesz, aby oni do nas po towary przybywali, żeby się przez to nasz kraj zbożował. Widzisz więc że i człowiek przemyśłem się trudniący może być krajowi użyteczny.

JASIO.

A to jeszcze lepij!

STASIO (*zasmucony*).

A więc ja tylko jeden, nic nie zrobię użytecznego dla kraju! bo mój dziaduniu, ja będę musiał ciebie pielęgnować jak będziesz stary, gdyż i ty dziaduniu pielęgnowałeś mię jak byłem mały. A potem, matka Kazimierza, przyrzekła mojej umierającej matce, że mi da swój folwark... Jabym jednak bardzo chciał być krajowi użytecznym!

DZIADEK.

Moje dziecię, rolnictwo ze wszystkich sztuk jest krajowi najpotrzebniejsze. Rzymianie policzali w poczet swych bożków

tych którzy ich rolnictwa nauczyli; u Chińczyków bywa uroczystość, podczas której ich cesarz, w obec całego swego dworu i ludu, pługiem rolę orze; i nasi monarchowie opiekowali się i wspierali rolnictwo, bo ono zapewnia wyżywienie ludzi, dobytku, stanowi największe bogactwo kraju i przyczynia się do pomnożenia w państwie ludności. Widzisz moje dziecko, że dobry gospodarz wiejski najpożyteczniejszym jest dla kraju człowiekiem.

STASIO.

Jakie to szczęście! Oh! kiedy tak, nigdy nie opuszczę ani mego folwarku, ani ciebie, dziaduniu! Jeżeliby Leon został ranny, jeżeliby Kazimierz nie miał urzędu, a Jaś stracił pieniądze.... ja zawsze będę gotów i będę mógł przyjąć ich do siebie.

DZIADEK.

Dobrze moje dzieci. Zastanawiajcie się; objerzcie sobie stany które wam się naj-

bardziej spodobają: żebyście, każdy w swoim, dobrze rządzić się mogli, rodzice wasi dadzą wam potrzebną naukę; a tak nie straciecie nadaremno czasu na uczenie się rzeczy któreby się wam nie podobały, lub były dla was nieużyteczne... Pamiętajcie przedewszystkiem że przywiązanie i życzliwość dla swego kraju jest najpierwszą powinnością ucywilizowanego człowieka.

W wieczór dzieci poszły na przechadzkę do ogrodu; ale nie można długo przechadzać się bez żadnego zamiaru; to się znudzi. — Dziaduniu, rzekli, może nam dasz jakie zatrudnienie.

DZIADEK.

Dobrze, moje dzieci, nauczę was pisać cyfry, na tych ot drzwiach; napiszę je wam czarnym ołówkiem.

WSZYSCY.

Dobrze, dobrze! Coż to są cyfry?

DZIADEK.

Są to pewne znaki służące do wyra-

żenia liczb i ułatwienia rachunku; jest ich dziesięć, jako to:

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 0.

1, wyobraża liczbę *jeden*.

2, wyobraża liczbę *dwa*.

3, wyobraża liczbę *trzy*.

4, wyobraża liczbę *cztery*.

5, wyobraża liczbę *pięć*.

6, wyobraża liczbę *sześć*.

7, wyobraża liczbę *siedm*.

8, wyobraża liczbę *ośm*.

9, wyobraża liczbę *dziewięć*.

0, które się nazywa *zero*, samo przez się nie znaczy, ale łączy się z innymi cyframi i służy do wyrażenia innych liczb.

I tak liczbę dziesięć wyraża się kładąc 0 (zero) po cyfrze 1, co znaczyć będzie 10.

JASIO.

Jak się to pisze cyframi aż do dwudziestu?

DZIADEK.

Odejmuję 0 (zero), którem położył po

cyfrze 1, a na jego miejscu kładę już to 1, już 2, lub 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9; tak iż zamiast 10, będę miał stojące obok siebie cyfry, jak następuje:

11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19.

JASIO.

Dziaduniu! a liczby dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedmdziesiąt, ośmdziesiąt i dziewięćdziesiąt?

DZIADEK.

Kładąc 0 (zero) po cyfrach 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9; jako to:

20, 30, 40, 50, 60, 70, 80, 90.

Ale obawiam się, żebyście się nie znuzły, moje dzieci; dobranoc wam! innym razem, będziemy prowadzili nasze rachunki.

NIEDZIELA CZWARTA.



Jaskółki! jaskółki już przyleciały, zawołał Stasio, oknem na ogród wyglądając! mój dziaduniu skąd one przylatują?

— Powracają z ciepłych krajów, gdzie zimę przepędzili; u nas bowiem w tój porze roku, nie ma ani muszek, ani robaczków, któremi się one żywią, a tak biedne ptaszyny pomarłyby z głodu. I my także przejdźmy się trochę.

Po drodze spotkali zgarbionego od reumatyzmu człowieka, który szedł powoli do domu wspierając się na małym chłopcu, wybladłym... kulawym. Człowiek ten przywitał dziadka, i pytał się o jego zdrowie.

DZIADEK (*zdziwiony*).

A to ty Ignacy, tak sparaliżowany? Nie poznałem cię.

IGNACY.

Proszę Pana kapitana aby raczył od-

wiedzić nas; będzie to szczęście dla nas; gdyż moja żona, nasz chłopczyzna i ja, ciągle chorujemy.

— Kapitan wszedł z dziećmi do izby prawie ciemnej, gdzie niepodobna było ośmielić się usiąść, tak brudne były stołki, a taki zaduch iż trudno było odechnąć.

DZIADEK.

A waszemu chłopcu co jest w nogę?

IGNACY.

Ot, nieszczęście! dopiero nadwichnił sobie nogę, gdy pozostawiwszy mię, poszedł z matką do miasta.

DZIADEK (*do swych wnuczków*)

Ponieważ to się stało niedawno, biegnijcie no, zaczerpnijcie wiadro wody, włóżcie mu w nią nogę, niech tak potrzy-
ma przez jakiś czas, a prędko mu ból odejdzie.

— Dzieci poprowadziły z sobą małego chłopca, który płakać zaczął.

LEON.

Przykro ci trochę będzie, to prawda, ale ci pomoże, potem nie będziesz cierpiał... A zatem śmiało, niebój się!

MAŁY CHŁOPIEC.

To nie dla tego ja płaczę, ale dla tego zem skłamał; bo wcale nogi nie wywichnąłem. Chciałem tym sposobem zrobić powód do towarzyszenia memu ojcu.

STASIO (*glaszcząc go*).

Nie płacz już, nie płacz; kłamstwo dla takiej przyczyny nie jest złe, nieprawdą, moi bracia?

KAZIMIERZ.

Tak, jest złe; kłamstwo zawsze jest kłamstwem; a ponieważ Bóg kłamać zabrania, nie do nas więc należy czynić w niem różnicę.

— Chłopczyzna ciągle płakał.

LEON.

Otoż jeden tylko, podług mnie, pozostaje środek, wyznać wszystko ojcu, a my już będziemy go prosili, aby ci prze-

baczył. Nuż więc, tylko nie wstydź się, a obaczysz jak potem będziesz kontent, jak ci będzie lżej.

Ignacy przebaczył swemu synowi, który z wdzięczności uśmiechał się do młodych doradców.

DZIADEK (*oglądając się w koło po izbie*).

Wasze mieszkanie, mój Ignacy, jest niezdrowe, nieschludne, a złe powietrze, jakim tu oddychacie, przyczyną jest wazszych chorób.

IGNACY (*schylając głowę*).

Jesteśmy tak ubodzy... biędni...

DZIADEK.

Nie wszystkim Bóg dał bogactwa, ale wszystkim dał wodę i powietrze, które same są nieodzownie potrzebne dla zdrowia. Właśnie w tej chwili piękna jest pogoda, wynieście mi nadwór wszystkie te sprzety, polejcie wodą tę izbę, wymyjcie ją; ujmijcie połowę słomy z tych sieników. A potem, niezdrowo jest spać

w pierzach; wy powinniście spać na materacu lub sienniku z czystej słomy. A przynajmniej wynieście co rano wszystką pościel na dwór, aby się przewietrzyła i wyschła; latem zróbcie sobie w oknie firankę z białego płótna, którąby często wyprać było można. Kiedy macie czas, zróbcie sobie maty ze słomy, i niemi ostoncie wilgotne ściany koło łóżka; dajcie na podworzu rynsztoczek, którymby odpływały i nie zatrzymywały się przed drzwiami nieczystości, już to od kuchni, już z kuchni, z których stojących i gnijących przed oknem, szkodliwe dla zdrowia powstają wzyiewy. Powiększyjcie okno, aby więcej światła miało przystęp do izby; zróbcie je naprzeciw drzwi, aby łatwiej przeciągać mogło powietrze... (Widząc że Ignacy był zakłopotany). Macie tu trzydzieści złotych, które mi oddacie w maśle i serach w ciągu następującego lata. Bądźcie zdrowi Ignacy: spodziewam się że za drugim razem zastanę was w le-

pszém zdrowiu.—I dziadek i dzieci śpiesznie wyszli z tego niezdrowego mieszkania.

Skoro weszli do swego mieszkania, Jasio pytał się co robić mają.

DZIADEK.

Moi kochani! jeżeli chcecie, dam wam lekcya rachunku czyli arytmetyki, bo to wszystko jedno znaczy.

WSZYSCY.

Dobrze, dobrze, chętnie będziemy słuchali.

DZIADEK.

Pokażę wam jak się piszą inne liczby zdarzające się między dwadzieścia a trzydzieści, między trzydzieści a czterdzieści, czterdzieści a pięćdziesiąt, między tą a sześćdziesiąt... i tak aż do stu.

Postępując tak samo jak zrobiłem dla wyrażenia liczb zacząwszy od dziesięciu aż do dziewiętnastu; zamiast zera położę cyfry: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9. Wtedy,

zamiast 20 dwadzieścia
 będę miał 21 dwadzieścia jeden,
 22 dwadzieścia dwa,
 23 dwadzieścia trzy,
 24 dwadzieścia cztery,
 25 dwadzieścia pięć,
 26 dwadzieścia sześć,
 27 dwadzieścia siedm,
 28 dwadzieścia ośm,
 29 dwadzieścia dziewięć,
 30 trzydzieści,
 31 trzydzieści jeden,
 32 trzydzieści dwa,
 33 trzydzieści trzy,
 34 trzydzieści cztery,
 35 trzydzieści pięć,
 36 trzydzieści sześć,
 37 trzydzieści siedm,
 38 trzydzieści ośm,
 39 trzydzieści dziewięć,
 40 czterdzieści,
 41 czterdzieści jeden,
 42 czterdzieści dwa,

- zamiast 43 czterdzieści trzy,
 będę miał 44 czterdzieści cztery,
 45 czterdzieści pięć,
 46 czterdzieści sześć,
 47 czterdzieści siedm,
 48 czterdzieści ośm,
 49 czterdzieści dziewięć,
 50 pięćdziesiąt,
 51 pięćdziesiąt jeden,
 52 pięćdziesiąt dwa,
 53 pięćdziesiąt trzy,
 54 pięćdziesiąt cztery,
 55 pięćdziesiąt pięć,
 56 pięćdziesiąt sześć,
 57 pięćdziesiąt siedm,
 58 pięćdziesiąt ośm,
 59 pięćdziesiąt dziewięć.

MALGORZATA (*przerzuwając lekcję*).

— Proszę panów do stołu.

Zasiedli do stołu, a w wieczór dziadek oświadczył dzieciom, aby z nim poszły odwiedzić księdza proboszcza.

Zastali go przechadzającego się po ma-

łym ogródku, gdzie były wprawdzie owocowe drzewa, piękne kwiaty, ale prócz tego wiele roślin niepozornych, których dzieci nie znając pytały się księdza proboszcza, na co je pielęgnował w swym ogrodzie?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Są to rośliny lekarskie, w wielu słabościach pomocne, które ja hoduję, abym i sam je miał w potrzebie i innym mógł udzielić. Dobrze je mieć pod ręką w nagłym przypadku.

KAZIMIERZ.

— A czy można używać lekarstwa bez przepisania lekarza?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Lekarz nie zawsze się blisko znajdzie, a zdrowia zawsze ratować trzeba, kiedy się na niem cierpi; wiedzieć tylko trzeba, w jakich chorobach jakiego użyć można lekarstwa, aby zamiast przynieść ulgę, nie pogorszyć słabości. Roztropny czło-

wiek przysłuchując się rad lekarskich, wiele się w tym względzie nauczyć może i w mniejszych słabościach niewinnych lekarstw, jakimi są te rośliny, sam użyć może.

LEON.

Pamiętam jak mi moja mama kazała pić ziółka, które ugotowała, kiedy bym był słaby; i pomogły mi. Ale mama miała ziółka z Apteki.

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

Większa część takich ziółek uprawia się w naszych ogrodach lub zbiera po polach, łąkach i zaroślach, znajomość więc ich bardzo jest pożyteczna.

To słysząc dzieci prosiły księdza proboszcza, aby im powiedział nazwiska tych, które w swym ogródku pielęgnował, co on chętnie uczynił, opowiadając przy tem własności każdej rośliny.

JAŚ.

A te co tu na boku rosną, jakie mają skutki?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Są to wszystko trucizny, lub przynajmniej wielce szkodliwe rośliny; chowam ich w ogrodzie pewną ilość na to, abym mógł pokazać parafianom, żeby je poznali i w używaniu dobrych nie pomylili się, biorąc zamiast nich szkodliwe. Mam ja tu jeszcze i inne pod wielu względami użyteczne i dla tego ciekawe rośliny, ale teraz o nich powiedzieć wam nie mogę, moi przyjaciele, bo muszę pośpieszyć do chorego ubogiego.... Udzielę mu radę, bo teraz nic więcej udzielić mu nie mogę! (dodał z westchnieniem).

Dziadek zaraz sięgnął ręką do swój kieszeni, dzieci poszły za jego przykładem, a ksiądz proboszcz, przyjął na swoje ręce ich ofiary.

— Mała ta sumka może uratuje życie biednemu: litość nad bliźnim tak jest dla nas zbawienna! To powiedziawszy ksiądz proboszcz, wziął małe zawiniątko bielizny, schował je pod surdut i wyszedł roz-

mawiając jeszcze z kapitanem, a dzieci szły za nimi.

LEON.

Śliczne miałbym ciasteczka za pieniądze które dałem.

JAŚ.

Prawda! A jak smaczne były te któreśmy wczoraj dostali.

KAZIMIERZ.

Dobre są wprawdzie ciasteczka, ale się to prędko zje! Pewnobyśmy je już zjedli od chwili jak o nich mówimy.

STAŚ.

To pewna; kiedy zaś da się jałmużnę, tak to jest miło, i ta przyjemność trwa tak długo, jak ją spamiętać zdołamy.

KSIĄDZ PROBOSZCZ (*w inną udając się drogę*).

Do widzenia, moi kochani przyjaciele, raz jeszcze dziękuję wam za waszą dobroczynność; Bóg zaś nagrodzi ją wam.

— Jaś i Leon spojrzeli na siebie zawstyżeni; obawiali się oni aby przeci-

wnie Bóg ich nie skarzał za ich samolubne myśli; albowiem nie zasługiwali na podziękowanie proboszcza; kiedy tymczasem Kazimierz i Staś, którzy na nie zasłużyli, spojrzeli na siebie skromnie jak gdyby przekonani byli że obowiązku tylko dopełnili.

NIEDZIELA PIĄTA.

←++→

Piękna była pogoda, ptaszki śpiewały wesolo, kwiaty otwierały się do słońca, drzewa okryły się znowu świeżym, zielonym liściem, czterej wnuczki Pana Godziemskiego byli zdrowi, weseli jak rybki, cała natura, gdzie spojrzeć, w uroczym przedstawiała się stanie: była to wiosna! „Idźmy na przechadzkę, kochany dziaduniu“ wołali, ciągnąc z sobą dziadka... Gdy szli wolnym krokiem, spotkali ich młody jeszcze mężczyzna, postawy i

ułożenia niepospolitego, błąd na twarzy, miał na sobie porządne kiedyś, lecz teraz już wytarte suknie, prosił ich o jałmużnę.

DZIADEK (dając mu parę złotych).

— Pan jesteś, jak mi się zdaje, nie tutaj; pewno jakieś nieszczęście sprowadza Pana w nasze okolice, możemy mógł być Panu w czem pomocnym?

OBECY (z spokojną miną).

— Jakieś nieszczęście? powiedz Pan raczej tysiączne nieszczęścia!.. Widzisz Pan we mnie człowieka, któremu się w niczem nie powiodło. Gdy ukończył szkoły, ojciec wysłał mnie na naukę prawa w głównej szkole; ale ja za nadto miałem górną imaginacją, iżbym mógł męczyć się nad nudnym kodeksem prawa, a nadto wiele ambicyi iżbym chciał przyjąć stan obrońcy za talara, a to jeszcze w jakiej mieścinie na prowincyi. Dla tego obrałem sobie zawód administracyjny, gdyż więcej upatrywałem w nim widoków, i zgłosiłem się do biura o posadę. Na nie-

szczęście, trzeba było chodzić do biura regularnie... co dzień... i to jeszcze o tej samej godzinie... Trudno jest człowiekowi z głową, poddać się pod takie jarzmo. Rzuciłem się więc w obowiązki prywatne: także sama znowu niewola. Ja mogłem być ministrem, ale nie rachmistrzem; pełniąc jednak jako tako swoje obowiązki, oczekiwałem ażby przyjazne okoliczności, podały mi zaszczytny stopień i majątek; zmienity się okoliczności, ale zamiast mi sprzyjać, jeszcze były nieprzyjaźniejszymi. Cóż tu robić w wielkiem mieście? przeżyłem puściznę po ojcu, bo nigdy rachować nie umiałem... Bo proszę, cóż być może głupszego nad owe dwa a dwa są cztery!... Wreszcie nie mając nic prócz długów... które zapłacę... oddaliłem się.

DZIADEK.

Pewno masz Pan familią?

Właśnie przypomniałem sobie że mam młodszego brata, niedołącę, który, kiedy ja byłem w klasie pierwszy, on był w niej

zawsze ostatni, który jednak pracą, wytrwałością i dobrą postępowaniem, tyle dokazał, iż zyskał sobie opinią utalentowanego człowieka, i z zaszczytem zastąpił ojca. Pójdę teraz do niego; bogaty, ma wyborną żonę, ładne dzieci; pewny jestem że mię dobrze przyjmie, i zrobi to co bym ja zrobił dla niego gdyby on był w moim położeniu, a ja w dostatkach... Okoliczności też zmienić się mogą... Nazywam się Szumiński.. Jeżeli byś Pan kiedy przejeżdżał przez Lublin, poczytam się za szczęśliwego gdy mu będę mógł być w czem użytecznym.—To powiedziałwszy wdzięcznie i zgrabnie się pokłonił i poszedł.

Dzieci patrzyły nań z zadziwieniem, gdy odchodził: ledwo uszedł kilka kroków, napotkał biednego kalekę, który do niego rękę wyciągnął; dał mu kilka groszy, i dalej poszedł, wesoło sobie nucąc.

KAZIMIERZ (z pogardą).

— Co za podłość! jaka próżność! prosić

o jałmużnę, i znowu oddaje na jałmużnę część pieniędzy które mu dano! Chce żeby się zmieniły okoliczności; a nie myśli o tém żeby się sam zmienił!

DZIADEK.

— Oh! obawiam się żeby to dla niego nie było trudno! Widzicie, moje dzieci, jak ten człowiek winnym jest i względem siebie samego i względem społeczeństwa! Urodził się z majątkiem, ze zdolnościami, z piękną powierzchownością, mógłby być użytecznym człowiekiem i zapewnić sobie niezawisłość: ale cóż? urodziwszy się razem leniwcem, zamiast tę wadę przezwyciężyć, zamiast pracować, i na samego siebie rachować, wołał raczej czepiać się urzędów, w czem wszystkim nie powiodło się mu; bo na tym równie jak na przyszłym świecie, to tylko jest pewne, na co zasłużymy. Teraz będzie się tulał, jako ciężar dla społeczeństwa. Taki to prawie zawsze czeka los wszystkich am-

bitnych, co to chcą być czemś lepszym niż byli ich rodzice.

— W téj chwili właśnie przechodził ksiądz proboszcz do umierającego, niosąc oleje święte. Dziadek i wnuczowie odkryli głowy z religijném uszanowaniem i poszli za nim aż do chalupy gdzie był chory; tam zastali młodą niewiastę na łóżku w boleściach konającą: krzyczała przeraźliwie; jój starzy rodzice stali przy niéj łzami zalani; mąż w rozpacz, już księdza proboszcza, już znowu lekarza błagał o ratunek, jakoby prosząc o swoją żonę niebo i ziemię... Ale i modły i sztuka były nadaremne... Młoda niewiasta wkrótce, pośród wielkich cierpień, skonana.

„Niestety, mówiła stara matka, jój to wina; radziłam jój żeby wezwała zaraz w początku choroby pomocy lekarza, ale tak to bywa z naszymi dziećmi, nie słuchają nas gdy pójdą za mąż. A przecież są zawsze ciałem naszym i krwią naszą;

a któż wiedzieć może lepiej nad matkę co dobre być może dla jój dzieci! Nasza córka przez przywidzenie lub lekkomyślność nie chciała użyć lekarza gdy choroba nagle się powiększyła tak, że niebezpieczną się stała, a gdy wypadło koniecznie wezwać pomocy lekarza, już było za późno; tak więc biedna moja córka umierać musiała... Umierać tak młodą! tak szczęśliwą! jakże to okropne! Ach! moja córko, czemuż nie usłuchała rady naszój? pocóż zostawiasz nas samych na tym świecie, mego starego męża i mnie?“

— Dziadek oddalił się, starając wprzód pocieszyć starców w żalu, który z nimi podzielał. „Ciągłe zdaje mi się że słyszę przerażający krzyk téj biednej kobiety, mówił Staś zasmucony, powróciwszy do domu. Mój Boże! może i moja mama kiedyś tak mocno cierpiała!“

DZIADEK.

Tak, moje dziecko; kobiety podlegają

wielkim cierpieniem; powinniśmy kochać je, litować się nad niemi, i oszczędzać im prac które są nad ich siły. Pismo święte uczy nas, że Bóg stworzywszy świat chcąc uczynić pana nad stworzeniami, stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje i umieścił go w Raju, pozwalwszy mu używać owoców ze wszystkich drzew, wyjąwszy z drzewa wiadomości złego, gdyż umarłby. Adam (takie było jego imię), ponazywawszy wszystkie zwierzęta, był sam jeden. Nie miał on stworzenia, któreby do niego było podobne. Wtedy Bóg zesłał nań sen; a gdy spał, wyjął z boku jego żebro i utworzył z niego niewiastę; potem ukazał ją naszemu pierwszemu rodzicowi, który ujrawszy ją, zawołał: „a toż jest kość z moich kości, ciało z mego ciała; i że w ciągu wieków mężczyzna opuści ojca swego i matkę swoją i przywiąże się do swój żony.“ Wkrótce Ewa (takie było imię pierwszej niewiasty), pomimo zakaz boski, jadła

owoc z drzewa wiadomości złego, i namówiła Adama do jedzenia go.... Lecz skoro przestąpili zakaz boski, zaraz Bóg wyrzucił im ich występki, i wyrzekł ich karę.

Do niewiasty rzekł: „będziesz rodziła w boleściach, i podległa mężowi.“

Mężczyźnie powiedział: „że ziemia pokrywać się będzie cierniem i głógiem, i że w pocie czoła chleb pożywać będzie, dopóki śmierć niepowróci jego ciała ziemi z której utworzony został...“ Potem wyгнаł ich oboje z Raju. Widzicie moje dzieci, że nieposłuszeństwo było pierwszą przyczyną naszych nieszczęść.

KAZIMIERZ.

— A teraz, mój dziaduniu, cóż trzeba czynić aby być posłusznym Bogu?

DZIADEK.

— Trzeba mu być wdzięcznym; szanować ojca i matkę swoją; kochać, wspierać, dobrze czynić wszystkim ludziom, jak braci swój, wiernie zachowywać przy-

sięgę ; starać się być użytecznym swemu krajowi, i być uległym prawom.

DZIECI (*poważnym tonem*).

Dziaduniu, będziemy czynili co Bóg przykazuje.

— Powróciwszy do domu, dzieci nie swawolity; śmierć biednej kobiety uczyniła ich poważnemi. Jak to nudno kiedy się nic nie robi! rzekł Jaś; gdyby to dziadunio był łaskaw nauczyć nas czego?

DZIADEK.

Chętnie moi kochani; podajcie no mi czarny ołówek, i stańmy przede drzwiami. Stanęliśmy na tem jak się pisze pięćdziesiąt dziewięć; teraz więc postąpimy dalej:

zamiast 60 sześćdziesiąt

będę miał 61 sześćdziesiąt jeden, —

62 sześćdziesiąt dwa, —

63 sześćdziesiąt trzy, —

64 sześćdziesiąt cztery, —

65 sześćdziesiąt pięć, —

66 sześćdziesiąt sześć, —

67 sześćdziesiąt siedm, —

68 sześćdziesiąt ośm

69 sześćdziesiąt dziewięć,

70 siedmdziesiąt.

71 siedmdziesiąt jeden,

72 siedmdziesiąt dwa,

73 siedmdziesiąt trzy,

74 siedmdziesiąt cztery,

75 siedmdziesiąt pięć,

76 siedmdziesiąt sześć,

77 siedmdziesiąt siedm,

78 siedmdziesiąt ośm,

79 siedmdziesiąt dziewięć,

80 ośmdziesiąt.

81 ośmdziesiąt jeden,

82 ośmdziesiąt dwa,

83 ośmdziesiąt trzy,

84 ośmdziesiąt cztery,

85 ośmdziesiąt pięć,

86 ośmdziesiąt sześć,

87 ośmdziesiąt siedm,

88 ośmdziesiąt ośm,

89 ośmdziesiąt dziewięć,

90 dziewięćdziesiąt.

- 91 dziewięćdziesiąt jeden,
 92 dziewięćdziesiąt dwa,
 93 dziewięćdziesiąt trzy,
 94 dziewięćdziesiąt cztery,
 95 dziewięćdziesiąt pięć,
 96 dziewięćdziesiąt sześć,
 97 dziewięćdziesiąt siedm,
 98 dziewięćdziesiąt ośm,
 99 dziewięćdziesiąt dzie-
 więć.

JAŚ.

A sto jak dziadunio napisze?

DZIADEK.

Po cyfrze *jeden*, położę dwa zera, a to tak: 100. Zero nadaje dziesięć razy większe znaczenie cyfrze po której następuje.

Dziesięć razy 1 uczyni 10 *dziesięć*, jedno zero.

Dziesięć razy 10 uczyni 100 *sto*, dwa zera.

Dziesięć razy 100 uczyni 1000, *tysiąc*, trzy zera.

Dziesięć razy 1,000 uczyni 10,000, *dziesięć tysięcy*. cztery zera.

Dziesięć razy 10,000 uczyni 100,000 *sto tysięcy*. pięć zer.

Dziesięć razy 100,000 uczyni 1,000,000, *milion*, sześć zer.

Dziesięć razy 1,000,000 uczyni 10,000,000 *dziesięć milionów*, siedm zer.

Dziesięć razy 10,000,000 uczyni 100,000,000, *sto milionów*, ośm zer.

Dziesięć razy 100,000,000 uczyni 1,000,000,000 *bilion*, czyli *miliard*, dziewięć zer.

JAŚ.

Któż to wynalazł te cyfry, mój dziaduniu?

DZIADEK.

Mamy je od Arabów. Nazywają je *arabskimi cyframi* dla różnicy od *cyfr rzymskich*, czyli od głosek których Rzymianie do wyrażenia liczb używali.

WSZYSCY.

Zobaczmy tę różnicę?

DZIADEK.

— Innym razem, moje dzieci; najprzód te dobrze sobie utkwijcie w pamięci: nie chciałym też znudzić was.

NIEDZIELA SZÓSTA.



Wyszedszy po mszy świętej z kościoła, dziadek siedział ze swemi wnuczkami na ławce przed domem, gdy chłopczyk, dwanaście do czternastu lat mający, zbliżył się do nich z białym kijem w ręku. „Panowie, biedny ciemny, proszę panów, biedny kaleka, powtarzał smutnie.”

DZIADEK.

— Skąd jesteś mój przyjacielu?

BIEDNY CIEMNY (zwracając głowę ku niemu).

— Z téj wsi, Panie kapitanie.

DZIADEK.

— Jakimże przypadkiem wzrok postradałeś? bo zdaje się że mnie znasz.

CIEMNY.

Oh! tak, proszę Pana kapitana! dawniej dobrze widziałem: lecz nieszczęściem! chorując na ospę wzrok utracilem, i teraz po głosie tylko Pana kapitana poznaję. Mój Boże! już nie będę mógł pracować, żebrakiem być muszę przez całe życie!
(zaczął płakać).

DZIADEK.

Biedne dziecko! a więc nie było komu postarać się abys miał zaszczepioną ospę?

CIEMNY.

Tak, panie kapitanie: miałem babkę, lecz nie chciała pozwolić na zaszczepienie—*Byłoby to z obrazą Pana Boga, mówiła do mnie i do mego brata, byłoby to powątpiewać o Opatrzności boskiej; a wreszcie mówiła: szczepienie nic nie pomoże, tylko was choroby polém nabawi.* Tymczasem, nieszczęście! brat mój umarł na ospę, ja ociemniałem: a wolalbym był umrzeć, jak on.

(Ciągłe płakał).

DZIADEK (*rozczulony*).

— Nie płacz, moje dziecko. Posłuchaj mnie tylko. Zaprowadzisz mnie do swój babki, będę żądał od niej aby ci pozwoliła wejść do mnie na służbę; a jeżeli zechcesz, pomimo twoje nieszczęście, zapewniam cię że zarobisz sobie jeszcze na życie.

CIEMNY (*lzy tamując*).

— Ach! panie kapitanie! robiłbym wszystko, byle nie żebrać; jeżeli Pan pozwoli pokaże mu drogę. — To powiedziawszy poszedł a za nim dziadek ze swymi wnukami.

Widząc ich wchodzących, babka, zdawało się, że nieco się zawstydzila, miała bowiem z czego żyć; a gdy wysełała po jałmużnę swego wnuka, to tylko przez skąpstwo. Zezwoliła więc na jego odejście, dała mu małe zawiniątko stariej odzieży, i oziębłe go pożegnała.

— Za powrotem do domu kapitana, Julian (było imię biednego kaleki) oddany został pod zarząd stariej Małgorzaty,

która kazała mu nosić drzewo, wodę i wiele innych wykonywać robot, Staś służył mu za przewodnika, pokazywał wszystkie rzeczy i miejsca prowadząc go za rękę; wkrótce ten kaleka potrafił wykonywać wiele posług, zrećnie i ochoczo, był w domu użytecznym.

Kazimierz, uważając na nieszczęście Juliana, prosił swego dziadka aby mu kazał ospę zaszcześcić.

DZIADEK.

— Wam wszystkim ospa była zaszczeptiona; i gdybym nie złożył świadectwa o tém, nie bylibyście do szkoły przyjęci; rząd bowiem nie mogąc skłonić wszystkich do szczepienia ospy, nie dozwala aby ludzie ciemni, przesądni i uparci, wnosili ją do zakładów publicznych:

KAZIMIERZ.

— Jak się to szczepi ospę?

DZIADEK.

— Zdarzają się krowy (nadewszystko w Anglii) co miewają krosty na cychach

wymion; ludzie te dojący krowy, zwykle dostawali takichże krost, i tacy już nie chorowali na ospę. To odkrycie uczynił angielski doktor nazwiskiem *Jenner*, za co mu ludzie winni są na wieki wdzięczność; wynalazek ten upowszechniono zaraz po wszystkich krajach, i u nas od lat czterdziestu, rząd go troskliwie zaleca, i nie ma już tak nierozsądnych rodziców, iżby go dla ratunku swych dzieci użyć nie chcieli. Jest to wielkie dobrodziejstwo, moje dzieci! wiele bowiem ludzi umierało na ospę, albo też zostawiała ona na wielu szpetne ślady na twarzy i zgubne kalectwa na całe życie. Teraz robią się dzieciom tylko małe dwa lub trzy nacięcia na rękę, i w te nacięcia wpuszcza się odrobinę materji wziętej z krost krowich cyeków; wtedy w miejscu, gdzie się zaszczepiło, tworzy się dwie lub trzy krost, z których wziętą materją można znowu zaszczepić innym dzieciom, a tak już nie ma powodu lękać się ospy.

Bóg zsyła częstokroć na ludzi różne dolegliwości, a to żeby doświadczyć ich duszy; ale zarazem daje im rozum którego używając, mogą uniknąć nieszczęść.. Człowiek byłby występny przed Bogiem gdyby się nie uczył i nie oświecał.

JAS.

— Oh! prawda, dziaduniu! prędko więc naucz nas czego nowego.

DZIADEK.

— Otoż więc cyfry arabskie, które już znacie, napiszę obok cyfr rzymskich, których jeszcze nie znacie, aby z wartości jednych mogliście poznać wartość drugich. I wypisał je na drzwiach czarnym ołówkiem.

Cyfry arabskie.	—	Cyfry rzymskie.	Cyfry arabskie.	—	Cyfry rzymskie.
1	.	I	8	.	VIII
2	.	II	9	.	IX
3	.	III	10	.	X
4	.	IV	11	.	XI
5	.	V	12	.	XII
6	.	VI	13	.	XIII
7	.	VII	14	.	XIV

Cyfry arabskie.	—	Cyfry rzymskie.	Cyfry arabskie.	—	Cyfry rzymskie.
15	.	XV	28	.	XXVIII
16	.	XVI	29	.	XXIX
17	.	XVII	30	.	XXX
18	.	XVIII	40	XXXX	lub XL
19	.	XIX	50	.	L
20	.	XX	60	.	LX
21	.	XXI	70	.	LXX
22	.	XXII	80	.	LXXX
23	.	XXIII	90	.	XC
24	.	XXIV	100	.	C
25	.	XXV	500	.	D
26	.	XXVI	1000	.	M
27	.	XXVII			

Gdy nadeszła pora obiadowa, dzieci zasiadły do stołu: lecz Leon nie jadł; ciągle się ruszał niespokojny na stolku....
—Co ci to mój kochany? zapytał go dziadek.

LEON (*rumieniąc się*)

— A to, tak pchły kásają.

DZIADEK.

— To wina Małgorzaty... muszę też przejrzeć wszystko w domu; bo jeżeli nie damy ciągle na wszystko baczości, kuny

i tchórze poniszczą nam drób; wołki zjedzą lub uszkodzą zboże w śpichlerzu; móle zagnieżdżą się w futrach i sukiennej odzieży, i szkody w nich narobią; szczury i myszy zniszczą wszystko, a pchły we dnie i w nocy dręczyć nas będą.

STAŚ.

— Lecz iak wytepić kuny i tchórze?

DZIADEK.

—Trzeba pozostawiać łapki przy otworach prowadzących do kurnika, a to uczynić trzeba na noc, kiedy już kury będą na grzędach.

STAŚ.

—O! będę pamiętał o tém; te niegodziwe zwierzęta ugryzły głowę i wyssały krew memu biednemu królikowi. A wołki?

DZIADEK.

— Trzeba mieszać, często, przerabiać zboże, aby je pozabijać: tym sposobem także przewietrzy się zboże i uchroni się je od zagrzenia. Można też pozawieszać na ścianach wiązki szalwii i spalić je za-

mknąwszy drzwi i okna, albo też rozpostrzeć runo owczej wlny, pot owczy jeszcze w sobie mającej; we cztery lub pięć dni pełno w niej będzie wołków pomarłych, które się się wytrząśnie i znowu runo rozpostrze.

STAS.

— A cóż robić żeby się mole w futrach i sukniach nie zagniezdziły i nie psuły ich?

DZIADEK.

— Trzeba włożyć między suknie w szafie garść ziela szatwii lub lawendy. Ja swoje futra i suknie zachowuję popruszony je utluczonym pieprzem zamknięte w szafie i komodzie zawinięte w płótno.

Co do szczurów i myszy, bierze się dwie uncyj masła, cztery uncyj ośrodka chleba, i jedną uncją arszenniku, robią się z tego pigułki które się rozkładają tam którędy szczury przechodzą zwykły, strzegąc aby tych pigulek nie jadły koty ani psy; nie trzeba bowiem zabijać razem swych przyjaciół z nieprzyjaciółmi.

Jutro rano zapalę w waszym pokoju trochę siarki i tyleż tytoniu, i wychodząc zamknę drzwi i okna, aby od powstającego stąd dymu pomarły pluskwy. Lecz odmieniać często bieliznę, myć się, czesać, zachowywać około siebie ochędóztwo, świeże powietrze; te są, moi kochani, najlepsze środki niszczenia szkodliwych zwierząt, robactwa które dokucza.

Dzieci przyrzekły dziaduniowi iż może im ufać, że na przyszłość starać się będą postępować według rad jego.

NIEDZIELA SIODMA.

—+—

— Daléj moje dzieci, ubierajcie się, rzekł kapitan, wszedłszy do pokoju wnuków; zaprowadzę was na odwiedzinę nowych towarzyszków którzy niedawno przybyli.

— Przez Boga żywego! zawołała Mał-

gorzata żegnając się, chodzić do tych lutrów, tych niedowiarków, tych potępieńców!... Jeżeli tylko oni tu przyjdą, już pewno ja pierwsza drzwi im nie otworzę.

— A więc ja sam otworzę im, rzekł dziadek surowo: ucziwi ludzie wszędzie powinni być dobrze przyjęci, jakiegokolwiek byliby religii... Idźmy, moje dzieci.

Uszedłszy pół mili drogi gościńcem, przybyli do pięknego zielonego domu, obsadzonego drzewami i kwiatami, a na ich spotkanie wyszli trzej piękni chłopcy. Najstarszy, wprowadzając ich do pokoju, prosił kapitana aby pozwolił swym wnukom zabawić się z nimi. Bardzo chętnie, odpowiedział Pan Godziemski, miko to będzie dla mnie, i również dla nich, jak się spodziewam.

Ale jak tylko zebrali się młodzi razem na dziedzińcu, widać było w młodych przybyszach nieśmiałą ciekawość; spoglądali na siebie z pod oka... Nareszcie, Leon przerywając milczenie: — Coście to

robili, kiedyśmy przybyli? rzekł do trzech braci.

NAJSTARSZY.

— Robiliśmy ćwiczenia gimnastyczne.

LEON.

— Cóż to za gra, ta gimnastyka?

NAJSTARSZY.

— Jest to zabawa rozwijająca ciało, nadająca mu siłę, zręczność, pewność. Patrzcie tylko Panowie, a prędko się nauczą.

To rzekłszy jeden wyłazi szybko, jak wiewiórka, na wysokie drzewo gładkie, bez gałęzi i bez kory, drugi dosiada pewnego rodzaju drewnianego konia; ten znowu wybiega na drabinę, zawiesza się na niej rękoma, buja się w powietrzu, chwyta się znowu szczebli, i dostaje się na długą belkę opartą na dwóch słupach zakopanych w ziemię, po której przechodzi się prosto, śmiało, potem na koniu, lub wspierając się tylko na rękach.

Młodzi wnuczkiwie ciekawie oczy wy-

trzyznaczają, dziwią się, i już radziby robić tóż samo.

— Teraz Panowie spróbujcie, rzekli trzej bracia. — Ci próbują... ale ciężcy, niezręczni; co chwila spadają... szczęściem że spadali na piasek, i podnosili się ze śmiechem.... Nie spostrzegli jak przy tej zabawie godzina upłynęła... a czas przy zabawie upływa tak prędko! Przyszedł też dziadek po dzieci; nowi przyjaciele ścisnęli sobie ręce, przyrzekając odwiedzać się co niedziela.

— Jak oni są dobrzy towarzysze, jacy dobrzy z nich chłopcy, mówił Leon powracając! — Tak, dodał Staś ze smutkiem. — Jaka to szkoda! Czy prawda dziaduniu że oni będą potępieni?

DZIADEK.

— Nie, mój przyjacielu; Bóg karze tylko złych ludzi, i pozwala aby się do niego modlono wszelkimi językami i wszelkimi formami.

KAZIMIERZ.

— Czy więc jest na świecie wiele religij?

DZIADEK.

— Tak, mój kochany, bo są na świecie ludy ciemne, nieoświecone; ale jeżeli ci ludzie są dobrzy, ludzcy, dobroczynni, jakikolwiek sposobem oddają oni cześć Bogu na ziemi, ponieważ jeden tylko jest Bóg, Jemu więc zawsze cześć oddają.

KAZIMIERZ

— To prawda. Ale cóż to znaczy *luter*, *ewangelik*, *protestant*?

DZIADEK.

— Są to nazwiska które w Niemczech dano ludziom trzymającym się religijnęj nauki Lutra. Nazywają także *kalwinami* tych, którzy się trzymają nauki Kalwina. Kiedyś wszyscy ci wyznawcy byli biedni, bo ich srodze prześladowano w różnych krajach, i w tych prześladowaniach wiele krwi przelano, wiele ludzi zginęło. Nasz kraj był tak szczęśliwy iż w nim prawie

nic podobnego nie zaszło. A przecież, jak już nadmienitem, nie wolno ludzi prześladować ani ich zabijać za to, że inaczej anizeli my modlą się. Chrystus Pan nakazuje nam kochać wszystkich, jak siebie samych, czynić dobrze nawet nieprzyjaciółom swoim; a więc nie dokuczać nikomu ani go prześladować. Takie jest przykazanie boskie; kto go nie wypełnia, ten Pana Boga nie kocha.

Powróciwszy z przechadzki wnuczko-
wie, prosili, a najprzód Jaś, czyby się nie mogli czego nauczyć; a dziadek kontent z ich tak dobrych chęci, napisał im na drzwiach tabliczkę mnożenia w następujący sposób:

2 razy	1	jest	2	3 razy	1	jest	3
	2	.	4		2	.	6
	3	.	6		3	.	9
	4	.	8		4	.	12
	5	.	10		5	.	15
	6	.	12		6	.	18
	7	.	14		7	.	21
	8	.	16		8	.	24
	9	.	18		9	.	27
	10	.	20		10	.	30

4 razy	1	jest	4	7razy	6	jest	42
	2	.	8		7	.	49
	3	.	12		8	.	56
	4	.	16		9	.	63
	5	.	20		10	.	70
	6	.	24	8 razy	1	.	8
	7	.	28		2	.	16
	8	.	32		3	.	24
	9	.	36		4	.	32
	10	.	40		5	.	40
5 razy	1	jest	5		6	.	48
	2	.	10		7	.	56
	3	.	15		8	.	64
	4	.	20		9	.	72
	5	.	25		10	.	80
	6	.	30	9 razy	1	.	9
	7	.	35		2	.	18
	8	.	40		3	.	27
	9	.	45		4	.	36
	10	.	50		5	.	45
6 razy	1	jest	6		6	.	54
	2	.	12		7	.	63
	3	.	18		8	.	72
	4	.	24		9	.	81
	5	.	30		10	.	90
	6	.	36	10 razy	1	jest	10
	7	.	42		2	.	20
	8	.	48		3	.	30
	9	.	54		4	.	40
	10	.	60		5	.	50
7 razy	1	jest	7		6	.	60
	2	.	14		7	.	70
	3	.	21		8	.	80
	4	.	28		9	.	90
	5	.	35		10	.	100

— Teraz moje dzieci, rzekł dziadek, skończywszy, nauczcie się téj tabliczki, możecie to uczynić bez mojej pomocy.

— Czy wiele jeszcze pozostaje nam rzeczy do nauczenia się, abyśmy rachować umieli? rzekł Jaś.

— Cztery są główne działania, mój przyjacielu, odpowiedział dziadek, jakoto 1. *dodawanie*, które uczy jak dodać jedną liczbę do drugiej. Przykład:

20 jabłek
a 55 jabłek
czynią 75 jabłek.

— 2. *odejmowanie*, to jest odejmowanie jednej liczby od drugiej. Przykład.

Miałeś . . . 75 jabłek,
Z nich zjadłeś 30
Pozostaje ci 45.

— 3. *mnożenie*, pomnożenie jednej liczby wiele razy. Przykład:

Pozostało ci 45 jabłek,
Ja ci daję 5 razy tyle. 5
5 razy 45 czynią 225 jabłek.

— 4. *dzielenie*, to jest rozdzielenie jakiej liczby na wiele części. Przykład:

Idzie o podzielenie tych 225 jabłek między was czterech:

$$\begin{array}{r} 225 \overline{)4} \\ \underline{160} \\ 65 \\ \underline{56} \\ 9 \end{array}$$

To jest że przypada na każdego po 56 jabłek i po $\frac{1}{4}$ części jabłka.

— Otoż to są cztery działania arytmetyczne, i ich zastosowanie...

Wieczorem poszli na przechadzkę, a gdy wrócili trochę późno, Małgorzata nieco markotnie ich przyjęła. Nie powinniście byli Panowie bawić na dworze tak długo, rzekła do kapitana; nie widzicież że rosa pada?

JAŚ (*głową i rękę podnosząc do góry*).
— Nic nie pada!.. Cóż to jest rosa, dziaduniu?

DZIADEK.

— Kiedy ziemia ogrzeje się od słońca, wznosi się z niej pewny rodzaj pary, któ-

ra się miesza z powietrzem. Gdy po tem ochłodzi się powietrze, ta para powracając do pierwszego stanu, osiada w postaci kropli wody na wszystkich rzeczach. To nazywają rosą.

NIEDZIELA ÓSMA.



— Piękny dziś poranek, rzekł dziadek do swych wnuków, idźmy do zielonego domu; w wieczór, jeżeliby nie było pogody... będziemy pracowali: trzeba umieć używać czasu.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, cóż to jest czas?

DZIADEK.

— Jest to przeciąg, rozległość nieograniczona; dzieli ją go na *wieki, lata, miesiące, tygodnie (niedziele) dni, godziny, minuty i sekundy*.

KAZIMIERZ.

— Co to jest wiek?

DZIADEK.

— Sto lat razem nazywa się wiek (stulecie).

KAZIMIERZ.

— A co jest rok?

DZIADEK.

— Przeciąg czasu składający się z dwunastu miesięcy, których nazwiska są: *styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień*.

KAZIMIERZ.

— A miesiąc co jest?

DZIADEK.

— Jest to czas złożony z trzydziestu dni, miesiące składają się z tygodni czyli niedziel.

KAZIMIERZ.

— Co to jest tydzień?

DZIADEK.

— Siedm dni, jest tydzień. Jest w roku pięćdziesiąt dwa tygodnie. Wiecie już pewno jak się nazywają siedm dni w tygodniu?

KAZIMIERZ.

— Niech jednak powie nam dziadunio.

DZIADEK.

— *Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela.* Pierwszy dzień stycznia jest razem *pierwszym dniem roku.*

KAZIMIERZ.

— Ileż więc jest dni w roku?

DZIADEK.

— Jest ich 365; a nadto jeszcze sześć godzin z których w cztery lata, składa się jeden dzień. Rok mający 366 dni nazywa się *przestępny*, a zaś rok liczący ich 365 nazywa się *rokiem zwyczajnym*. Miesiące także nie są sobie równe. Siedm mają po 31 dni; takimi są: styczeń, marzec, maj, lipiec, sierpień, październik, grudzień.

— Cztery miesiące mają po 30 dni, a temi są: kwiecień, czerwiec, wrzesień, listopad. Jeden tylko miesiąc luty ma 28 dni, jeżeli rok jest zwyczajny, a 29 gdy rok jest przestępny.

— Najdłuższy dzień w roku jest 23 lub 24 czerwca, a najkrótszy 20 lub 22 grudnia.

Nim przybyli do zielonego domu napotkali owych trzech braci, którzy, w niecierpliwości widzenia ich, wyszli naprzeciw nim, i zaprowadzili ich znowu do ćwiczeń gimnastycznych. Tym już razem wnuczkiwie kapitana byli zręczniejsi; nawet mały Staś przebiegł plac gimnastyki na jednej nodze! Winszowali im też ich towarzysze.— Jak oni są szczęśliwi że są sobie braćmi, mówił Staś powracając do domu! oni się nigdy z sobą nie rozłączą!

DZIADEK

— Oby tylko zawsze podobnie jak ty myśleli! Nieszczęściem! częstokroć złe pojęty interes rozdziela braci i siostry; za młodu sądzi się pospolicie że niepodległość jest szczęściem; dopiero w wieku dojrzałym, poznaje się, że się myliło..... Lecz wtedy już zatwardziałe serce wzajemnymi wyrzutami i urazami, nie jest zdol-

ne rozczulić się na to słodkie imię: *bracie, siostró..* Wkrótce nadchodzi starość, i człowiek samotnie umiera... obcemi tylko ludźmi otoczony... Widzicie ten wiatrak co się tam na wzgórzu kręci? otoż tedy, po śmierci młynarza stał się własnością trojga jego dzieci: byli to dwaj synowie i jedna córka.—Nie rozłączajmy się, mówiła siostra do braci; starszy brat będzie młynarzem, młodszy przy nim będzie młynarczykiem, będzie przywoził zboże i odwoził mąkę; ja będę waszą siostrą, gospodynią, waszą służącą. Nie sprzedawajcie młyna naszego ojca: tu on żył, tu umarł, tu my porodziłiśmy się, toby na was sprówadziło nieszczęście; a nasz ojciec który na nas z nieba patrzy, zmarłby się tem: nie rozłączajmy się.

Lecz bracia, zamiast usłuchać jój, spieszyli się ze sprzedażą ojczystej puścizny: korzystano z téj okoliczności, aby młyn kupić za bezcen, podzieliła się więc rodzina niewielką sumką. Lecz siostra,

zamiast służyć z upodobaniem swój braci, zmuszona była iść w służbę do obcych ludzi; starszy syn, część swoją przeżywszy, zaciągnął się do wojska; drugi zaś... niewiadomo gdzie się podział! Otoż to, moje dzieci, taki bywa los rodzin, gdy się rozłączą, gdy rozdziela swoje interesa? — W téj właśnie chwili, przechodząca koło młyna kobieta zatrzymała się, złożyła ręce i płakała... pewno to była córka niegdyś młynarza.

Pod wieczór kapitan poprowadził swych wnuków do księdza proboszcza, którego dzieci lubiły słuchać, gdy im powiadał różne wiadomości o roślinach. Zdziwione słysząc go jak każdój wymieniał nazwiska pytały się, jak może tak wiele rzeczy spamiętać i od razu poznać i wymienić roślinę, którą w mnóstwie innych zobaczy?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Moi przyjaciele, właśnie dla tego pamiętam nazwiska wielu roślin, że je

wszystkie i każdą z osobna widziałem. A czemu się człowiek z uwagą przypatrzy, to dobrze w pamięci się zostanie.

KAZIMIERZ.

— A kiedy wiele jest bardzo do siebie podobnych, jakże je rozpoznać można?

KSIĄDZ PROBOSZCZ,

— Choćby na pozór były najpodobniejsze, znajdują się jednak między nimi różnice, po których się łatwo rozpozna familią, od familii, i gatunek od gatunku. Trzeba jednak do takiego rozpoznania mieć wprawne oko i pomoc z nauki o roślinach, a wtedy wszystko idzie łatwo. Takim to sposobem rozpoznać można, i spamiętać tysiące gatunków roślin i ich nazwiska. Nie mogę teraz pokazać wam roślin i ich części w ogrodzie, a przekonalibyście się że poznanie ich jest łatwe, a razem bardzo zajmujące i pożyteczne.

LEON.

— Czy i rośliny mają familie?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Tak jest, i nie tylko familie, ale i pokrewieństwa! Różne gatunki roślin, co do szczególnych części, ale ogólnym kształtem i głównemi częściami do siebie podobne, stanowią familią, podobnie jak bracia i siostry jednej rodziny z twarzy mniej więcej sobie podobni.

JASIO.

— Ach! jakbym ja był ciekawy poznać te familie roślin. Czy u księdza proboszcza jest jaka familia?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Każda roślina, każde ziele, drzewo, a nawet zboże i kartofle są członkami familij roślinnych, poznacie kiedyś, moi przyjaciele, tych familiantów; teraz za krótki byłby czas do ich wyliczenia; mam też jeszcze prosić o jedną przysługę waszego dziadka.

DZIADEK.

— O cóż to idzie, Mości księże proboszczu?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Jedna z biednych moich parafianek powiła dziecię; jeżeli Pan pozwolisz aby Kazimierz, jako najstarszy, trzymał je do chrztu, przyrzekam mu nastreczyć ładną chrzestną matkę.

DZIADEK.

— Z miłą chęcią Mości księżę proboszczu! Kazio będzie bardzo kontent. Bo i to jest zaszczytem być chrzestnym ojcem.

KAZIO (*rumieniąc się*).

— Tak, bez wątpienia.

W téj chwili usłyszano turkot powozu, który się zatrzymał:—To Panna Dobrzańska, chrzestna matka! zawołał ksiądz proboszcz; idźcie prędko do ogrodu, a ja tymczasem wyjdę na przyjęcie jój.

Mali kawalerowie dobierali samych białych kwiatów na bukiet dla chrzestnej matki; a podzieliwszy się innemi kwiatami, które sobie każdy zatknął w dziurkę u sukni, Kazio zakłopotany... rzekł do kapitana:—Ale dziaduniu, cóż ja mam zrobić?

— Nie ma tu nic bardzo trudnego, mój przyjacielu: ofiaruj swój bukiet chrzestnej matce, podaj jój rękę i prowadź do ceremonii, tylko zachowaj się poważnie, grzecznie; resztę ja ci powiem co wypadnie czynić.

Chłopcy zastali stół zastawiony owocami, ciastami różnego rodzaju; Kazio został przedstawiony jako chrzestny ojciec małej, ślicznej Pannie Dobrzańskiej, która uprzejmie przyjęła od niego bukiet; a kiedy ksiądz proboszcz zatrudniony był jako gospodarz domu, przyjmowaniem młodych gości, tym czasem Panna Dobrzańska postąpiła przez swoją pannę służącą koszyk pełen wszystkiego, czego potrzebować mogła uboga potożnica.

— Dziecię które chrzcić mamy, jest chłopczyk, rzekł ksiądz proboszcz; jak imię Pannie?

— Bronistawa, odpowiedziała Panna Dobrzańska.

— Piękne imię, dodał Kazio z przymi-
leniem.

— Moje dzieci, dacie kościołowi chrze-
ścijanina, rzekł ksiądz proboszcz: będzie
nosił wasze imiona, *Kazimierz Bronisław*;
lecz ofiarowawszy się mu za chrzestne-
go ojca i za chrzestną matkę, obowiąz-
ujecie się nieopuszczać swego chrzestne-
go syna, gdyby utracił swych rodziców;
wspierać go swemi radami, pieniędzmi,
nakoniec być jego ojcem i matką w obli-
czu Boga...

— Dobrze, Mości księżu proboszczu,
obowiązujemy się, odpowiedzieli razem
i wzruszonym głosem Kazimierz i Broni-
sława.

Wtem przybyła matka z dziećciem
na ręku, spisano metrykę urodzenia i
i chrztu, potem udali się wszyscy do ko-
ścioła, gdzie ksiądz proboszcz odbył ob-
rząd chrztu, a ponieważ użył wyletnio-
nej wody do polania na głowę nowo na-
rodzonemu, to więc nie kwiliło się.

We drzwiach kościoła kapitan wsu-
nął dukata w rękę matki, i ubogim dał
jałmużnę. Toż samo uczyniła ze swęj
strony Panna Dobrzańska; potem uprzej-
mie pożegnała małych kawalerów, wsia-
dła do powozu, i odjechała raz jeszcze
im się pokłoniwszy.

NIEDZIELA DZIEWIĄTA.



Powróciwszy do domu wnuczkiwie Pa-
na Godziemskiego, wchodząc do sali ja-
dalnej, tulili się jedni do drugich, ściskali
się, jak gdyby coś sobą zastonić i ukryć
chcieli; w ich poruszeniach i na twarzach
widać było jakieś kłopotliwe zajęcie...
Nareszcie, Stasio, zabrawszy głos, rzekł:
— Pozwól nam dziaduniu prosić go o je-
dnę łaskę. — Mówcie, co chcecie, moje
dzieci, odpowiedział kapitan... Chłopcy
rozstąpili się i odstonili biedne, w błocie

unurzane psisko, ze spuszczoną głową, zwieszonym, między nogi wtulonym, ogonem; był to pudel, którego cała postawa i mina smutna do litości pobudzała.

STASIO, *(mówił dalej)*.

— Dziadunio przypomina sobie pewno jak przed kilką tygodniami pulk tędy przechodził? Otoż to na czele jego, przed kapelą, szedł ten pudel, pogłaskałem go wtedy, a teraz poznałem go u drzwi naszego domu, stał tak pokornie spoglądając, iż rozumiałby kto że przyszedł prosić o jałmużnę. Czy nie pozwoliłby nam dziadunio zatrzymać go?

DZIADEK.

— Dobrze, mój przyjacielu, dopóki właściciel nie zgłosi się po niego; bo pies jest własnością, a my nie powinniśmy zatrzymywać cudzej własności. To psisko zdaje się być bardzo znędzniate; trzebać go przyjąć i dać mu jeść.

Kiedy kapitan mówił, pies patrzył nań niespokojnym okiem; kiedy skończył, przy-

szedł do jego nóg i lizał je z wdzięcznością.

STAŚ *(ze łzami w oczach)*.

Dziaduniu, wszakże to powiedziałby kto że on ciebie rozumiał?

DZIADEK.

— Być to może, moje dziecko; psy umieją czytać w oczach naszych, pojmują najmniejsze nasze poruszenie, najmniejszą zmianę głosu. Tysięczne przytaczają dowody ich przywiązania, tklivości, odwagi i poświęcenia, któreby zawstydzić mogły człowieka. Psy zakonników na górze Ś. Bernarda w Szwajcaryi, z dzwonkiem i flaszka wódki, zawieszonemi im na szyi, idą szukać podróźnych, którzy w śniegach zabłądzić mogli. Psy z Nowej-Ziemi rzucają się w pław dla ratowania tonących ludzi. Psy owczarskie prowadzą na pastwisko trzodę owiec i bronią je od wilków. Psy bywają przewodnikami ślepych, czuwają nad bezpieczeństwem domu, ściągają drapieżne zwierzęta po lasach, ba-

wią się z małemi dziećmi... Nakoniec, rzekłbyś że pies przeznaczony został na przyjaciela człowieka; albowiem podziela z nim radość, smutek, szczęście i nieszczęście, broni go od napaści, i nigdy go w ubóstwie nie opuszcza.

STASIO (*glaszcząc pudła*).

— Dobre psisko! jakże go nazwiemy?

DZIADEK.

— Kiedy byłem żołnierzem, był w naszym pułku pies do nikogo nie należący, i miał nazwisko jednej z naszych sławnych bitw; patrzcie no na tego, a ja wymienię ich kilka.

WSZYSCY.

— Tak, dobrze dziaduniu! zaczekaj tylko aż wszyscy będziemy nań patrzyli!

Pies napiwszy się i najadłszy, zakręcił się trzy razy w kółko, i położył pod stołem. Dziadek woła nań: Walmy? Zemap? Marengo? Wagram? Pies ani się ruszy. Lody? tu pies obejrzał się, wstał i

przyszedł, jak gdyby pytać się czego od niego chcą.

— A to jego nazwisko! zawołały wszystkie dzieci. Tu, Lody?.. Lody? tu!... — Pies biegał od jednego do drugiego, nie wiedząc kogo ma słuchać. Nareszcie kiedy się z nim nabawili, dziadek zaproponował przechadzkę, poszli więc i pies z nimi.

Gdy przyszli nad rzekę, upał był tak dokuczliwy, a dzieci tak się nabiegały, iż prosiły kapitana aby im pozwolił kąpać się.

— Nie, moi kochani, odpowiedział kapitan, nie bardzo dawno jedliście śniadanie; trzeba zaczekać przynajmniej godzinę aż żołądek strawi pokarmy; a potem, jesteście bardzo zgrzani... Zczekajcie... moglibyście narazić się na chorobę.

Kiedy już nie było niebezpieczeństwa, dzieci rozebrawszy się, weszły w malutką zatokę rzeki, gdzie woda nie głęboka i grunt był piaszczysty; pies wszędzie im towarzyszył. Pluskali się chłopcy, biegali,

ganiali... Ale mały Stasio zanadto się zapędził, na wodę bieżącą, nie mógł się oprzeć jój pędowi... chwiać się zaczął, i już go woda unosi.

Dziadek przestraszony, co żywo zdejmował z siebie surdut, chcąc wplaw się puścić... kiedy spostrzegł psa, który wracał trzymając Stasia za rękę; trzej inni chłopcy przybiegli na pomoc, wzięli na ręce zemdląłego chłopczykę, wynieśli go na ład, na murawę, gdzie niebawnie przyszedł do siebie za staraniem Lody, który go lizał po twarzy i po rękę.

— Widzicie, moje dzieci, rzekł dziadek drżącym głosem, że dobry czyn znajduje zawsze nagrodę... Staś ulitował się nad psem, a pies ocalił mu życie! Patrzcie nań jak skacze około Stasia, jak zdaje się być szczęśliwy że się mógł przyśłużyć!... Otoż jak to jest dobrze umieć pływać.

LEON.

— Alboż ten pies uczył się pływać?

DZIADEK,

— Nie, mój przyjacielu; kiedy pies chce płynąć nie potrzebuje nic więcej, tylko tak samo poruszać się w wodzie, jak się porusza gdy bieży po lądzie, człowiek zaś musi się uczyć, będzie to właśnie naszą zabawą gdy nam czas pozwoli.

LEON (*ochoczo*).

— Zobaczysz dziadunio, jak ja wkrótce potrafię uratować tonącego człowieka!

Dzieci wracały powoli do domu trzymając się za ręce; przypadek który Stasiowi zagroził nieszczęściem, obudził w nich jeszcze większe nawzajem przywiązanie; pies nadewszystko nie opuszczał Stasia, chodził za nim krok w krok obawiając się żeby go nie stracił.

W wieczór zebrali się w ogrodzie, dla użycia świeżego powietrza, a Julian słuchał z przestachem przypadku Stasia, gdy Małgorzata, zawistna przyjaźni jaką młodzi panowie okazywali dla biednego

ślepego, rzekła do niego niecierpliwie:
Idź spać, bo to już późno.

JULIAN (*westchnąwszy*).

— Jeszcze nie! Małgorzato. Nim zasną
będę prosił Pana Boga, żeby mię jutro
wczesnie obudził; i pewny jestem, że mój
prośby wysłucha... Jeszcze nie! pozwol-
cie mi używać przynajmniej woni tych
kwiatów, których już nie zobaczę! Musi
teraz być najpiękniejsza pora roku!

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, co to jest wiosna?

DZIADEK.

— Wiosna jest pora roku trwająca
przez trzy miesiące, a rok dzieli się na
cztery pory, które się nazywają *wiosna*,
lato, *jesień*, *zima*.

— Wiosna zaczyna się w miesiącu mar-
cu a kończy się w miesiącu czerwcu: jest
to pora kwiatów.

— Lato zaczyna się w czerwcu, a koń-
czy się w miesiącu wrześniu: jest to pora
owoców.

— Początek jesieni następuje po koń-
cu lata, we wrześniu, a koniec w miesi-
acu grudniu: jest to pora zbioru plodów
ziemskich.

— Zima zaczyna się w miesiącu gru-
dniu, a kończy w miesiącu marcu; w tej
to porze ziemia spoczywa, i to jest pora
mrozów.

Dziewiąta godzina wybiła, i wszyscy
spać poszli.

NIEDZIELA DZIESIĄTA.



Gdy wychodzili na spacer, Jaś przybył
z zasmolonemi rękoma i twarzą.—Jakże
śmiesz pokazywać się tak zasmolony?
rzekł mu dziadek; nie przybliżaj się do
mnie, bo zapewno od ciebie nieprzyje-
mną woń czuć... Jaś oddalił się. Wyszli
do zielonego domu, a on zawstydzony
postępował za swemi braćmi.

Gdy przechodzili około ubogiej na oko

chaty wieśniaczéj, pies zawsze przodem biegnący, wstrzymał się, jak gdyby zobaczył coś przestraszającego... Dziadek i wnukowie, nadszedłszy, spostrzegli, pod chlewkiem człowieka chorego na krosty, na wpół tylko gałganami okrytego.

— Jestem chory na krosty, zaraźliwą chorobę, nie zbliżajcie się do mnie Panowie!

Dziadek natychmiast odprowadził dzieci; a Staś przelekły, biegnąc co tchu, dla Boga! wołał, co to jest!

DZIADEK.

— Jest to okropna choroba, trąd, moi przyjaciele: nieznana ona była w naszych klimatach; przyniesiono ją z Egiptu do Europy w czasie wojen krzyżowych... Dawniej choroba ta w południowych krajach bywała bardzo pospolita, teraz jest bardzo rzadka; ale za to zdarzają się li-szaje i inne do niej podobne wyrzuty.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, jaka być może przy-czyzna téj choroby?

DZIADEK.

— Używanie wieprzowego mięsa czy-li świniny i solonych ryb, kwaśne i ostre napoje, nieczyste powietrze, a nadewszystko nieochędoztwo. A czy chcielibyście uwierzyć że znajdują się jeszcze tak ciemne i tak przesądne kobiety, które mówią że niebezpiecznie jest dla chorych odmieniać bieliznę; że nieprzyzwoicie jest kąpać się, obmywać części ciała, które najbardziej podlegają zesmoleniu; że mówię te kobiety używają zamiast lekarstw naj-nieschludniejszych rzeczy, np. szmat z zasmolonej i przepoconej bielizny; że ów gruby brud na głowie nowonarodzonych dzieci, i robactwo toczące głowy dzieciom są pożyteczne dla ich zdrowia?...

WSZYSCY (z obrzydzeniem).

— Pfe! jakież to głupie!

KAZIMIERZ.

— Ale cóż dziadunio robi, że się tak zdrowo utrzymuje? Dziadunio jest tak prosty jak my, chodzi jak my, a przecież jest bardzo stary.

DZIADEK.

— Jestem zdrów, moje dzieci, dla tego że byłem zawsze trzeźwy, skromny w jadłe i napoju. Jém owoce, leguminy, a mało mięsa; zwykłym moim napojem jest woda; z tém wszystkim nie odrzucam kieliszka wina kiedy jestem w kompanii z przyjaciółmi; nigdy nie piję likieru a tymbardziej wódki; wstaję rano, pracuję cały dzień, idę spać wcześniej, przytem kąpię się często, aby utrzymać należytą miękkość ciała, staram się jak najwięcej czynić dobrze dla bliźnich; bo jeżeli dusza jest zadowolona, wtedy i ciało dobrze się ma! unikam samotności, gdyż ona jest dla człowieka szkodliwa; lubię należeć do wszystkich waszych za-

baw, bo wasza wesołość cieszy mnie i rozwesela,

STASIO (z przymileniem).

— A więc nasz smutek martwi dziadunia...

DZIADEK.

— Tak, moje dziecko.

STASIO.

— Kiedy tak, niech dziadunio będzie łaskaw, pozwoli zbliżyć się Jasiowi, który od nas stroni, jak jaki trędowaty; już ja ręczę za niego że on będzie teraz ochędożnym.

Dziadek podał rękę Jasiowi, który przystąpił i z płaczem ucałował ją.

Zabawiwszy się z godzinę na ćwiczeniach gimnastycznych z trzema braćmi, młodzi krewni wracali uboczną drogą, gdy przybywszy przed dom majątnego częstkowego właściciela, spostrzegli że stał pustkami.— Coż to? czy jakie padło nieszczęście na gospodarza tego domu? rzekł dziadek, pukając we drzwi. Nikt nie

odezwał się, tylko kot miauczał smutnym głosem. To osobliwsza, mówił znowu dziadek; i szli dalej, gdy na zakręcie płota napotkali właściciela owego domu, siedzącego nad brzegiem rowu, z kijem w ręku, z sakwami na plecach, i zdającego się jakoby ostatni raz przypatrywać swojej własności.

— Gdzie się tak wybraliście, Pietrze? po co opuszczacie swój dom? pytał się go dziadek.

PIOTR (*z gorzkim uśmiechem*).

— Mój dom! powiedz Pan raczej dom woźnych sądowych. Widzisz Pan ten rów przed nami? on to jest przyczyną mego upadku. Był on granicą mego majątku od majątku Wojciecha. Pewnego dnia byliśmy obadwa razem na kielisku wódki: ja powiedziałem że ten rów do mnie samego należy, a Wojciech utrzymywał że do nas obydwóch wspólnie należy. Zapozwałem Wojciecha do sądu pokoju; ten wyznaczył biegłych żeby prze-

mierzyli nasze grunty. Biegli dają wyrok że obadwa mamy po połowie rowu. Ja więc wskazany zostaję na zapłacenie kosztów, upieram się. Zapozywam Wojciecha do trybunału pierwszej instancji. — przegrywam. Wojciech oświadcza mi że gotów jest sprzedać mi swoją połowę, albo odkupić odemnie moją; ja nie chcę ani jednego ani drugiego, ja chcę wszystko lub nic. Zapozywam Wojciecha do sądu apelacyjnego, znowu przegrywam! Ale ja znajdę jeszcze sposób do dalszego prawowania; będę się ciągle prawował, prawował dopóki mi sił stanie... A tymczasem zniszczyłem się; mój dom ma być sprzedany, na zapłacenie kosztów... Pójdę z tym kijem i sakwami: to mi tylko pozostało.

DZIADEK.

— Nie opuszczaj okolicy, kraju; łatwiej jest znaleźć pomoc między swoimi, jak między obcymi.

PIOTR.

— Nie, gdybym pozostał, musiałbym koniecznie mieć jeszcze dwie lub trzy inne sprawy; a biegli nic darmo nie robią... Lecz niech ja tylko kiedyś zbiore znowu majątek. wtedy się zemszczę! powrócę i będę się processował ze wszystkimi...

To mówiąc, wstał i poszedł, grożąc pięścią całej wsi i jej mieszkańcom.

KAZIMIERZ.

— A to jaki zawzięty! Przez to też tak nieszczęśliwy... ja jednak nie będę go żałował.

DZIADEK.

— Słusznie mówisz, mój przyjacielu; piniacz jest człowiek złośliwy i głupi; jemu się zdaje że wykrętami można zmienić myśl prawa, i że pieniędzmi kupić można sprawiedliwość. Człowiek uczciwy i rozsądny nie wytoczy nigdy niesprawiedliwej sprawy. Jeżeli mu ją kto wytoczy, on ją wygra, a jeżeli spór jest wątpliwy, on się ugodzi w dobry sposób.

W wieczór, dziadek zobowiązał dzieci

aby wcześniej spać poszły, gdyż następnego dnia rano miał jechać do miasta i potrzebował wstać przed świtem.

KAZIMIERZ.

— Dobrze, ale żeby też dziadunio był łaskaw powiedzieć nam co to jest świt?

DZIADEK.

— Świt, świtanie albo jutrzienka, nazywa się owo łagodne światło pokazujące się na niebie przed wschodem słońca, szczególnie w tej stronie w której słońce wejdzie; zmierzch, zmrok nazywa się słabe światło trwające jakiś czas jeszcze po zachodzie słońca.

KAZIMIERZ.

— Kiedyż więc zaczyna się dzień?

DZIADEK.

— Dzień jest to przeciąg czasu między wschodem a zachodem słońca.

— *Dzień, doba*, składa się ze dwudziestu czterech godzin. Dzielą go na dwie wielkie części: jedną jest dzień właściwy a drugą noc.

— Dzień jeszcze dzieli się na cztery części, które nazywają *ranek*, lub *rano*, *południe*, *wieczór* i *noc*.

— Rano jest pierwsza część dnia od wschodu słońca aż do południa;

— Południe jest owa chwila, kiedy słońce jest w połowie swego dziennego biegu, i kiedy na zegarach jest dwunasta godzina.

— Wieczór jest ów przeciąg czasu, który upływa zacząwszy od chwili zachodu słońca, aż do chwili kiedy przestaje nam przyświecać.

— Dzień jeszcze dzieli się na dwanaście części, które nazywamy *godzinami*.

— Godzina znowu dzieli się na sześćdziesiąt części, które się nazywają *minutami*.

— Minuta także dzieli się na sześćdziesiąt równych części nazywających się *sekundami*.

— Nakoniec sekunda dzieli się także

na sześćdziesiąt równych części które się nazywają *tercyami*.

— Dobranoc wam moje dzieci; nie zobaczymy się aż jutro o godzinie obiadowej. Dobrzeż więc zachowajcie się, podczas méj niebytności.

Chłopczyki ucałowali dziadka, potem pokładli się, ale zasnąć nie mogli.—O czém ty teraz myślisz? rzekł Leon do Jasia, którego łóżeczko było najbliżej niego.

JASIO.

— O niczem; a ty?

LEON.

— Ja? ja staczam bitwy. Jeżeli chcesz, opowiem ci je: oh! zabijam, precz zabijam nieprzyjacio!...

STASIO.

— Pfe! jak to jest źle! Opowiadać bajki o zabijaniu ludzi, to tylko uczy się zabijać.

KAZIMIERZ.

— Lepiejbyś zrobił gdybyś sobie przypomniat lekcye, których nie umiesz. Ja myślę o tém co dziś robiłem, co mam ro-

bić jutro, a teraz odmawiam swoje modlitwy.

LEON.

— To prawda, słusznie mówisz; nie myślałem o tém. Dajmy więc pokój, nie gadajmy. Dozwól mi powtórzyć sobie lekcye, i zmówić modlitwę za swego ojca.

Przez jakiś czas dzieci milczały, wkrótce potem mocno zasnęły

NIEDZIELA JEDENASTA.



Dziadek prowadził swych wnuków do rzeki mając im tam dać lekcją pływania, gdy będąc na wzgórzu Staś i widząc daleko w okoto siebie, zawołał:—Mój Boże! co to pałaców, wsi, pól, lasów, wód!

DZIADEK.

— Tak, moje dziecko, dla ciebie, który nie masz oddalać się z tego kraju, będzie to świat cały.

STASIO.

— Co to jest świat?

DZIADEK.

— Wyrazem świat nazywamy razem niebo, ziemię, wszystko co jest. Świat jest niezmierna przestrzeń której my granic nie znamy. Nauka co nas uczy poznać budowę świata, jego kształt i układ jego części nazywa się *Kosmografią*. Nauka ta dzieli się na dwie części, jedna która nam daje poznać niebo, nazywa się *Astronomia*, a druga która nam podaje wiadomość o ziemi, nazywa się *Geografia*.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, czego nas uczy *Astronomia*?

DZIADEK.

— Uczy nas poznawać ciała które odbywają bieg po niebie, i pokazuje nam każdego z nich położenie, postać, odległość jednego od drugiego i drogi które przebiegają. Niebo jest owa część świata co się rozciąga nad naszemi głowami, oko-

to nas, i w której mieści się słońce, księżyc, gwiazdy; wreszcie wszelkie ciała niebieskie.

KAZIMIERZ.

— Czy to dziadunio nie będzie uczył nas astronomii?

DZIADEK.

— Nie, moje dziecko. Najprzód nie wszystkie ciała niebieskie jednakię są natury. Jedne, są *świecące*, czyli takie co same przez się świecą, drugie *ciemne*, to jest takie co same przez się nie świecą: błyszczą, ale wtedy tylko gdy je inne ciała oświecają.

KAZIMIERZ.

— Któreż to są ciała świecące?

DZIADEK.

— Najprzód słońce które udziela swe światło ziemi, księżycowi i wielu innym podobnym ciałom co około niego krążą; powtóre, gwiazdy stałe które są także słońcami około których krążą także inne światy.

KAZIMIERZ.

— Ale mój dziadunio, jakże to utworzone jest słońce, nie można nań patrzeć, tak razi oczy.

DZIADEK.

— Moje dziecko, słońce jest okrągłe jak kula i utrzymuję się zawsze w miejscu; choć zdaje się jakoby krążyło koło ziemi; obraca się ono tylko koło siebie samego, a to w przeciagu dwudziestu pięciu dni, i dwunastu godzin. W rzeczy zaś samej ziemia krąży około słońca i obraca się do niego kolejno wszystkimi swemi stronami powierzchni, a tak kolejno utracą co dzień i ciepło i światło brane od słońca.

KAZIMIERZ.

— Wszakże powiedział dziadunio że słońce wschodzi i zachodzi.

DZIADEK.

— Prawda, moje dziecko, myślę się kiedy mówię że słońce wschodzi gdy się pokazywać zaczyna, i że zachodzi, gdy nam znika. Wyrażam się tak tylko dla zasto-

sowania się do pozoru; bo rzeczywiście słońce ani wschodzi ani zachodzi.

Po godzinie pływania, chcąc uniknąć upału słońca, powracali ubocznymi ścieżkami w cieniu drzew, usłyszeli szczeł pałaszów...—To dwaj mężczyźni biją się, zawołał dziadek: bieżmy, moje dzieci, rozbronić ich!... Lecz przybywszy zastali już tylko dwa trupy krwią zbroczone. Na taki widok twarz dziadka zbladła... Zmuszony był usiąść i spocząć; dzieci tuliły się około niego, i po chwilowym milczeniu, Staś zapytał z ubolewaniem: — Dla czegoż to biją się ludzie w pojedynku?

DZIADEK.

— Niestety! o nic moje dziecko, o słowo lekkomyślnie wymówione, za krzywe spojrzenie. Może przyjaciółmi sobie byli ci którzy się tu zabili. Patrzcie... widzicie tych tam dwóch ludzi, co uciekają po równinie? Byli to świadkowie pojedynku... są oni bardzo winni za to że dopuścili do

pojedynku. Nieszczęśni! bić się tuż pod krzyżem!

JASIO.

— To prawda! Ale na cóż to wszędzie krzyże stoją?

DZIADEK.

— Kiedy ludzie nie umieli ani czytać ani pisać, ponieważ religia była i jest zawsze jedynym prawem, którego się przedewszystkiem lękają, wtedy kościoły stały się miejscami świętymi, gdzie człowiek nie považył się zabić człowieka. Lecz zbrodnie tak się były pomnożyły, iż, za staraniem papieża Urbana, wyrzeczono na kancylium — „że bliskość krzyża, dla człowieka od nieprzyjaciela ściganego, będzie równie jak kościół, świętem schronieniem;“—dla téj to przyczyny postawiano krzyże przy drogach. Lecz wkrótce te miejsca schronienia posłużyły do ucieczki równie występny jak niewinnym: nie wolno było zabrać z nich zabójcy; dla tego później ten przywilej krzyżów i kościołów cofniono.

Kazimierz obchodząc do koła i oglądając krzyż ze wszystkich stron, spostrzegł napis, z którego wyczytał te słowa: *umarły zabił żywego*. — Mój dziaduniu, co to znaczy?

DZIADEK.

— Jest to dawna historia, którą wam powiem, moje dzieci. Pewnego razu (a to już bardzo dawno), dwaj młodzi panowie, mając każdy lokaja, spotkali się w tem miejscu, i patrzyli sobie prosto w oczy; ani jeden ani drugi, nie chciał być pierwszym w odkryciu głowy. Jeden pysznił się dawnem szlacheństwem; drugi niedawno co uszlachcony, był jeszcze tym dumniejszy, aby nadrobić straconego czasu. W końcu nowy szlachcic rzekł do dawnego szlachcica: — Zdaje mi się mój Panie, że ponieważ przechodzisz przez moje grunty, tedy przynajmniej ukłonić mi się powinieneś. — Zdaje mi się, mój Panie, że przechodząc przez twoje grunty, czynię ci tyle zaszczytu, iż przy-

najmniej powinieneś zdjąć przedemną kapelusza. — Mospanie, szydzisz ze mnie! — Mospanie jak ci się spodoba! — W owym czasie każdy szlachcic chodził przy szabli, owoż tedy nasi głupcy pojedynkują się: jeden odbiera cios śmiertelny... upada..., lecz upadając, trzymany pałasz topi w sercu tego który mu zadał raz śmiertelny i nawzajem zabija go... Wtedy to moje dzieci, postawiony został ten krzyż na zmazanie ich zbrodni, z napisem: *umarły zabił żywego*.

JAS.

— A co też im powie za to Pan Bóg, w którego obliczu równi są wszyscy ludzie!

LEON (z miną zuchwałą).

— Mój dziaduniu, [wszakże to pojedynkować się nie jest zbrodnią.

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu. Niektórzy też monarchowie, którzy byli dobrimi sędziami tego co nakazywać może honor,

meźtwo, powinność, stanowili prawa przeciwko pojedynkującym się. Prawa te skazywały ich na śmierć: ich majątek zabierany bywał na korzyść ubogich, ich ciałom odmawiano pogrzebu, ich domy były rozwalane, ich lasy wycinane; prawa te ogłaszały ich za pozbawionych czci, i odbierały im szlachectwo... Teraźniejsze prawa nie karzą takich ludzi jako pojedynkujących się, ale jako zabójców. Arsztuja ich i ich świadków, i zamykają ich w więzieniu; sędziowie sądzą ich, ile są winni lub niewinni, i karzą według prawa.

LEON.

— Z tem wszystkiem, jeżeli mię kto obraża?

DZIADEK.

— Człowiek obrażający drugiego jest głupi, pijany lub na pogardę zasługujący; i, podobnie jak w czasach ciemnoty i barbarzyństwa, gdy wolne były pojedynki, pod nazwą: *sądów bożych*, trędowaty nie mógł się pojedynkować ze zdrowym

człowiekiem, ani szlachcią z poddanym...; tak również ty, który będziesz uczciwym człowiekiem, nie powinienes narażać swego życia na utratę za życie głupca, pijanego, lub pogardzonego... bo to byłaby nierówna walka.

LEON.

— Ależ, mój dziaduniu, jeżeli mię zmuszą do pojedynkowania się, cóż na to odpowiedzieć mam?

DZIADEK.

— Wypadnie abyś się bronił gdy cię napastować będą, ale religia i honor nie pozwalają ci bić się bez potrzeby i zimną krwią.

To powiedziawszy, wstali i przeszli koło zabitych, a widząc że byli młodzi i nie wyglądali na złych ludzi: Jaka szkoda! rzekł dziadek, mogli być szczęśliwymi i żyć długo, albo przynajmniej ponieść chwalebłą i krajowi pożyteczną śmierć... Kiedy tymczasem na nagane tylko zasłużyli, a potem pójdą w zapomnienie...

Za powrotem do domu, dziadek i młodzi wnuczowie poszli prosto do wójta gminy uwiadomić go o tem; wójt udał się zaraz na miejsce pojedynku, aby spisać protokół tego wypadku, i zająć się oddaniem ostatnich powinności dwom nieznanym trupom.

NIEDZIELA DWUNASTA.



— Cóż to! rzekł dziadek, rozdzielając śniadanie swym wnuczkom, dla czego jesteście tak smętni?

JAS (westchnąwszy).

— Śniło mi się że mi ząb wypadł: Jest to znak że odbiorę wiadomość o śmierci kogoś z mych krewnych, powiedziała Małgorzata.

STASIO.

— Mnie się śniło że mi był w wodzie;

Małgorzata pytała się, czy ta nie była mętna, ja odpowiedziałem że była przezroczyta: To bardzo zły znak! mówiła Małgorzata.

KAZIMIERZ.

— Mnie śniło się że mieszkał w kraju, gdzie wszyscy ludzie byli ślepi, prócz mnie: To znak że Panicz ociemnieje; trzeba zawsze wierzyć w rzeczy przeciwnie tym co się przyśnity, powiedziała mi Małgorzata.

LEON.

— Co do mnie dziaduniu, jeżeli smutno wyglądam, to dla tego tylko że oni są smutni... bo śniło mi się że byłem rybą, i pływałem!... Oh! prawdziwie ubawiłem się tej nocy!... A dziaduniowi śniło się co?

DZIADEK.

— Nie, mój przyjacielu; ja stary jestem, moja imaginacya i krew jest zimniejsza; rzeczy w dzień w oko mi wpadające lub przez myśl przechodzące, nie przedsta-

wiają się méj pamięci w nocy. Przybliź no się Jasiu! otwórz gębę.

Kładzie mu palec na zębie, i ząb wypada.

STAŚ (*szukając po ziemi*).

— Jakież by to było nieszczęście, gdyby go pies zjadł, bo wtedy Jaś miałby jeden ząb psi. Małgorzata mówi że trzeba zawsze wrzucić swój ząb gdy wypadnie, w ogień.

DZIADEK.

— Ona także mówi, że nie trzeba nigdy rzucać swych włosów w ogień, bo to będzie przeszkodą do ich odrastania. Małgorzata jest kobieta stara, ciemna i łatwowierna; ale wy, jak możecie wierzyć w podobne głupstwa?

KAZIO (*zawstydzony*).

— Dziadunio słusznie mówi; jacy my też nierozsądni! Jasia ząb bolał, bo drugi pod nim wyrastał. Staś jeszcze magłowę nabił swym wypadkiem w rzece; mnie tak żal tego ślepego kaleki, iż w no-

cy mi się o tem śni; Leon, co myśli tylko o pływaniu, chciałby być rybą... A wreszcie zdaje mi się, żeśmy zanadto jedli wczoraj wieczerzy...

DZIADEK.

— Otoż to właśnie najgłówniejsza przyczyna snów! bo nigdy się nam nic nie śni, gdy mamy myśl spokojną, żołądek wolny, zdrowy. — Idźmy teraz na przechadzkę.

Po drodze wstąpili do kolonisty; dzieci odpoczywały w pięknym sadzie, czekając na dziadka, który wszedł do domu, i przypatrywały się drzewom obciążonym pięknymi, dojrzałymi owocami; w tem Lody zaczął szczekać na chłopca niedorosłka rwącego wiśnie.

NIEDOROSTEK (*z cicha*).

— Uciszcie Panowie psa, a za to dam Panom wiśni za trzy grosze.

KAZIMIERZ.

— Dobrze, dobrze, (Chodź tu, Lody! chodź tu). Czy to są twoje te piękne wiśnie?

NIEDOROSTEK.

— Nie! ale mniejsza o to; podajcie Panowie kapelusze.

KAZIMIERZ.

— Kiedy tak, to już nie chcemy ich; są to wiśnie kradzione: nie byłbyś rad gdybyśmy kradli twoje; a zresztą nasz dziadunio łajalby nas.

NIEDOROSTEK.

— Gdzie zaś, on nie dowie się; a zresztą powiedzielibyście mu Panowie, że to moje wiśnie... Ależ uciszcie Panowie psa, bo mnie gospodarz złapie!

LEON (*z gniewem*).

— Kłamco! złodzieju! zleż z drzewa natychmiast, bo jak nie, to cię zrzucę:

Nedorostek zsunął się na ziemię, i uciekał co mu nóg starczyło; ale nic nie zyskał, bo pies go ścigał i łatał mu szarawary, czemu mali kuzynowie poklaskiwali, wołając:—Oh! to dobrze, to doskonale! masz co zastużyć!

Ranna przechadzka nie wiele im cza-

su zajęta; dla tego pod wieczór, dla nagrodzenia dzieci poprowadził ich dziadek do księdza proboszcza, którego znowu zastali zajętego roślinami.

KAZIMIERZ.

— Co to Jegomość myśli zrobić z tych roślin które rozkłada, prostuje?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Ta roślina, jest przeznaczona do mego zielnika, do zbioru roślin lekarskich które są bardzo użyteczne, i dla tego byłoby dobrze aby je wszyscy znali.

KAZIMIERZ.

— Radbym ja widzieć co to jest zielnik?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Zielnikiem nazywa się zbiór roślin zasuszonych i zachowanych ile możności, tak iżby miały podobieństwo do roślin żywych czyli w gruncie rosnących. W tym celu bierze się albo cała roślina, jeżeli nie jest wielka, albo przynajmniej jej część z tem wszystkim po czem ją poznać można, to jest z liśćmi, kwiatami, todyż-

kami, układa się to wszystko w takiej postaci w jakiej naturalnie rośnie, i zawsze tak, aby ile możliwości, wszystko zatrzymało nie tylko właściwy sobie kształt, ale i kolor, i tak zasuszoną roślinę przechowuje się między kartami papieru, na którym się zapisuje jej nazwisko, i inne o niej wiadomości.

JAŚ.

— A do czego się potem przyda taki zielnik?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Do poznawania roślin, moi przyjaciele! Kto nie zna jakiej rośliny, a chce ją poznać, niech tylko przypatrzy się jej dobrze zachowanej w zielniku, a rozpozna ją potem między innymi na gruncie. Ja w moim zielniku mam zawsze prawie wszystkie rośliny lekarskie, w różnych okolicach naszego kraju rosnące, i gotów jestem zawsze pokazać je każdemu kto by je, lub którą z nich poznać chciał. Zdarzają się zielniki ogólne, nierównie

większe od mojego, w których zachowywane bywają wszelkie jakie się nadarzyć mogą rośliny, ja zaś zbieram tylko te których użytki, czy to na lekarstwo, czy też w gospodarstwie są znane i doświadczone.

To mówiąc ksiądz proboszcz przekładał karty papieru i pokazywał ciekawym chłopcom rozmaite rośliny, opowiadając im przytem nietylko ich nazwiska, ale i różne użytki.

KAZIMIERZ.

— Czemu tu nie ma ani kawy, ani herbaty lub cynamonu, wszak to są także użyteczne, i bardzo użyteczne rośliny?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Tak, są to nader użyteczne rośliny, ale ja nie umieściłem ich w moim zielniku, bo to są rośliny zagraniczne, zamorskie, które u nas żadnym sposobem na otwartém powietrzu hodować się nie mogą i dla tego sprowadzać je z zagranicy musimy.

JAŚ.

— A czemu nie starają się hodować ich u nas tak jak to już uczyniono z wielu zagranicznymi roślinami? słyszałem że i kartofli u nas dawniej nie było, a teraz powszechnie je sadzą i hodują.

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Przyswojono u nas te rośliny, które przyswoić było można, i które pochodzą z takich jak u nas klimatów; zaś kawa, herbata, cynamon rosną tylko w krajach bardzo gorących, i nigdy ich w naszym klimacie, jako chłodniejszym, przyswoić nie będzie można.

— Dostyc będzie na dziś wiadomości o roślinach, rzekł ksiądz proboszcz, zielnik swój zamykając, nie chcę zbyt wielu wiadomościami, obciążać od razu pamięci waszój.

Wyszedłszy od księdza proboszcza puścili się umyślnie jak najdłuższą drogą, aby mogli użyć świeżego, wieczornego powietrza.—Jak piękne niebo! mówił Ka-

zimierz; mój Boże, co to są te gwiazdy, których widać takie mnóstwo?

DZIADEK.

— Gwiazdy są to świecące punkty na niebie; dla tego zdają się tak małe że niezmiernie daleko się znajdują od ziemi.

KAZIMIERZ.

— Czy one wszystkie są jednakowe?

DZIADEK.

— Nie, mój przyjacielu; dzielą je na *stałe gwiazdy* i na *planety* czyli *gwiazdy krążące*.

KAZIMIERZ.

— Cóż to są dziaduniu, gwiazdy stałe?

DZIADEK.

— Są to ciała świecące, pozostające zawsze w tej samej odległości od ziemi, i jedne względem drugich w tem samym ciągle będąc położeniu. Nazywają je gwiazdami stałymi dla różnicy od planet, gwiazd błędnych które bezustannie zmieniają miejsca, krążąc około słońca.

KAZIMIERZ.

— Czy wie dziadunio ile jest gwiazd?

DZIADEK.

— Liczą ich do dwóch tysięcy; lecz inne tak są odległe, iż gołemi oczyma dojrzeć ich nie można.

KAZIMIERZ.

— A planety?

DZIADEK.

— Są to ciała nieprzezroczyste, nieświejące, mające bieg peryodyczny, regularny; krążą około słońca, i świecą tylko światłem pożyczanem.

— Jest jednaście głównych planet, jako to:

Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran czyli Herszel, Cerera, Junona, i Westa.

— Kiedy niekiedy zjawiają się *komety*, które lud ciemny zwykł uważać za zwiastuny jakich nieszczęść. Są to ciała świetne tylko odbijającem się od nich światłem, podobnie jak planety. Za kometa-

mi pokazuje się zawsze pewny ciąg światła, który nazywają *ogonem*. Komety odbywają obrot naokoło słońca.

KAZIMIERZ.

— Czy to już wszystko co się znajduje na niebie?

DZIADEK.

— Są jeszcze planety drugiego rzędu czyli *satellity*. Są to ciała krążące około niektórych głównych planet, i razem z nimi odbywające bieg naokoło słońca.

Jowisz ma ich cztery, Saturn siedm, Herszel sześć; a ziemia ma tylko jednego *satellitę*, to jest księżyc!

NIEDZIELA TRZYNASTA.



— Dzień dobry, moje dzieci, rzekł dziadek, gdy mieli siadać do stołu; a gdzież jest Leon, czemuż nie przychodzi przywitać mię?

— Oto... to... dziaduniu, dla tego, że mu nos trochę spuchł; jego towarzysz uderzył go.

LEON (*ukrywający się, ukazuje się na te słowa*).

— Nie tak się rzecz ma; to ja go uderzyłem... Dziadunio raczej pewno chce się zapytać czy ja byłem silniejszy?

DZIADEK (*surowo*).

— Cóż to mnie ma obchodzić, czyś Wcpan był silniejszy? Czy tak czy owak, zawsze się bilesz, i zawsze zły chłopiec jesteś.

LEON (*placząc*).

— A na co on mnie nazwał tem czem ja nie jestem?

DZIADEK.

— Trzeba było pogardzić obrazą; byś się okazał godniejszym nad tego co ci ją wyrządził, kiedy tymczasem mszcząc się, pokazałeś się mu równym. Czy wiecie o tem że prawa karzą także dzieci? Gdybyś był zranił, lub gdybyś zabił swe-

go towarzysza, byłbyś wzięty do więzienia, zamknięty za kratami, w komorze między czterema ścianami, nie oglądałbyś ani nieba, ani ziemi, musiałbyś żyć grubym chlebem i lada jaką zupą. A gdyby ta kara nie naprawiła cię, gdyby, przyszedłszy do lat szesnastu, czyli do wieku w którym według przypuszczenia prawa, powinienbyś już umieć rozeznaczyć złe od dobrego, gdyby mówię i w tym wieku nie poprzestałeś twego złego zachowania się, wtedyby cię skazano do robot publicznych... Wtedy to prowadzonoby cię okutego w kajdany, w buręj sukmanie... Twój krewni i ja wstydziłibyśmy się widząc cię idącego ulicą... między złodziejami i zabójcami... A twój ojciec zhańbiony przez ciebie, umarłby ze zmartwienia!

Leon płakał... Dziadek mówił dalej.

— Taki to czeka cię los, jeżeli nie będziesz umiał powściągać swego gniewu. Sądziś może że to nazywa się być od-

ważnym? Mylisz się... Prawdziwa odwaga, jest odwagą duszy; z takiej tylko chlubić się można, bo ona wymaga nierównie większej mocy aniżeli odwaga ciała.... Każdy bowiem człowiek w gniewie uderzyć może, ale nie każdy zdoła powściągnąć się w gniewie od uderzenia.

LEON (*oczy sobie ocierając*).

— Kiedy tak, to ja będę wstrzymywał swój gniew; ponieważ to dowodzi większej mocy aniżeli uderzenie pięścią.... przysięgam ci dziaduniu, że tak postępować będę, jak powiedziałeś.

DZIADEK.

— Ja ci chętnie przebaczę; ale Pan Bóg wtedy tylko przebaczy ci, kiedy szczerze będziesz żałował swego postępków... Idźmy, moje dzieci, zagodzić tę sprawę.

Idąc przez wieś, Leon nie wiedział jak ma ukryć twarz swoje; wszyscy się z niego śmieli, i palcem go wytykali... Nakoniec przybyli do swego skrzywdzonego towarzysza, i zastali biedaka leżącego:

miął gorączkę. Jego matka, otworzywszy firankę u łóżka, rzekła łagodnie:—Patrz, oto Leon przychodzi dowiedzieć się jak się masz. — Już nie będę cię przezywał, Leonie, rzekł stąbym głosem. — A ja, zawołał Leon, rzuciwszy się w jego objęcia, już cię nie będę bił. Obadwaj chłopcy ucałowali się po przyjacielsku... Lecz Leon spostrzegł bladość na twarzy swego towarzysza; przyszło mu na myśl że mógł być zabić go, i dla tego tak zbladł jak tamten.

Żeby nie przechodzić znowu przez wieś, udali się boczną drogą. Leon, który zwykle biegał, skakał, śpiewał, wesoly jak ziemia, tym razem był smutny i szedł zamysłony przy swym dziadku... gdy chwyciwszy go za rękę pokazał mu podróżnego naprzeciw nich idącego.

— Jest to murzyn, moje dziecko; człowiek taki sam jak my, prócz tylko że jest czarny.

Murzyn przybliżywszy się, pytał o dro-

gę, wiodącą do Pana Dobrzańskiego. Dziadek mu ją wskazał, a murzyn podziękował uprzejmie, pokazując dwa rzędy białych zębów.

STAŚ (zadziwiony)

— Ach! dla Boga, dziaduniu, czy to są ludzie różnych kolorów?

DZIADEK.

— Pięć różnych pokoleń ludzi zamieszkuje ziemię. 1. Pokolenie *białe*, które zamieszkuje dawne części świata Azyą i Europę, a którego wydatne cechy są biała skóra na ciele, długie włosy i twarz ściągła czyli owalna.

STAŚ.

— To pewno są tacy jak my.

DZIADEK.

— Tak, moje dziecko. 2. Pokolenie, mieszkające także w Azji, nazywa się *wschodnie* czyli *mongolskie*, ma ono cerę żółtawą, włosy czarne, tęgie, a głowę niemal czworoboczną.

STAŚ.

— Kocham ich przecież, gdyż wszyscy ludzie są braćmi mymi.

DZIADEK.

3. Pokolenie *amerykańskie*, cery miedzianej, zamieszkuje Amerykę.

4. Pokolenie *malajskie*, zajmuje Oceaniją czyli wyspy na Wielkim Oceanie i Nową Hollandyą.

5. Pokolenie *murzyńskie*, rozrzucone po większej części Afryki, a które się odróżnia od innych: czarnym kolorem ciała, wełniastymi włosami, wypukłym czołem, i grubemi wargami.

STAŚ.

— A skądże pochodzą tak różni ludzie, kiedy Pan Bóg jednego tylko stworzył?

DZIADEK.

— Pochodzi to z przyczyny różnych klimatów, odmiennych pokarmów, sposobu życia, od chorób i różnych zwyczajów i obyczajów ludzi: jedni skracają

sobie szyję, drudzy przedłużają uszy: ci przyplaszczają sobie czoło, a inni znowu wydymają sobie policzki.

KAZIMIERZ.

— Czy wszystkie pokolenia ludzi są uczone?

DZIADEK.

— Nie, moje dziecię. Dziela je pod tym względem, na trzy klasy: na *dzikie*, barbarzyńskie czyli *nieokrzesane* i na *oświecone* czyli *ucywilizowane*.

Dzicy ludzie nie umieją ani czytać, ani pisać, ale tylko polują, ryby łowią, i nie mają statych mieszkań.

— Barbarzyńcy mają religią, prawa, i umieją pisać; ale wiadomości ich są bardzo ograniczone.

KAZIMIERZ.

— A my dziaduniu, my jesteście ludźmi oświeconymi?

DZIADEK.

— Tak mój przyjacielu, i Bogu za to dziękować powinniśmy; bo gdybyśmy się

urodzili n. p. w Afryce, wtedy nasz król, nasz ojciec lub nieprzyjaciel, gdyby był zwyciężcą, mógłby nas sprzedać Europejczykom, którzy popakowawszy nas w okręty, podobnie, jak się pakują owce w owczarni, zaprowadziliby nas bardzo daleko za morze, abyśmy tam uprawiali ich grunty. Gdybyśmy zaś chcieli uciec, okuliby nas w kajdany. Gdybyśmy byli leniwi, lub zniechęceni biedą, wtedy człowiek biały, postawiony nad nami, aby nas ludzi czarnych napędzał do roboty, chłostałby nas batem. Przeciwnie, gdybyśmy byli pracowici, o nic-niedbający, zarobilibyśmy swemu panu majątek, ale sami nigdybyśmy nic nie mieli, ani nawet należałyby do nas nasze dzieci ani żony, któreby wolno było zabrać nam i sprzedać ich innym białym ludziom... gdyż bylibyśmy niewolnikami.

KAZIMIERZ.

— Ach! dla Boga! czyż to wolno sprzedawać i kupować ludzi?

DZIADEK.

— Nie, moje dziecko, nasze prawa karczą surowo tych, którzyby się poważyli na taki handel lub którzyby dali na to pieniądze. Wreszcie nikt u nas nie pomyśli o tem, bo nie pływamy za morze ani posiadamy zamorskich kolonij. Lecz i w krajach nadmorskich handel ten surowo jest teraz zakazany. Przed niedawnym jednak czasem, był on w zwyczaju, i dotąd jeszcze w zamorskich koloniach Europejczyków, wiele jest Murzynów już to wyzwolonych, już niewolników. Biedni są ci Murzyni gdy się dostaną w moc nieludzkiego Pana! U dobrych zaś Panów nie jest, im tak źle.

STAŚ.

— Przynajmniej że Bóg nagrodzi na tamtym świecie tych, którzy na tym ucierpieli. A ten Murzyn któregośmy teraz widzieli, czy jest niewolnik?

DZIADEK.

— Nie, mój przyjacielu; nikt nie może

być niewolnikiem, kto w naszym kraju mieszka. Starają się także o to aby i w koloniach europejskich zamorskich niewolnicy byli wyzwoleni.

STAŚ.

— Ach! to dobrze!

Pod wieczór, gdy Leonowi twarz nieco stęchła, poszli do domu zielonego; ale dziadek tak się w sali zagadał, a chłopcy na dziedzińcu tak się zapędzili w ćwiczeniach gimnastycznych, iż niespostrzegli kiedy słońce zaszło, i zmierzchno się gdy wracali do domu.

— Jaki śliczny księżyc! zawołał Kazio: podobny jest do twarzy na nas patrzącej. Co to jest ten księżyc, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Pokażę go wam przez teleskop, a zdawać się wam będzie że widzicie na nim lasy, rzeki, góry... Księżyc jest kula, swym kształtem podobna do kuli ziemskiej; przyświeca on nam często wtedy, gdy nie mamy słońca.

KAZIMIERZ.

— Ale księżyc nie jest tak świetny jak słońce...

DZIADEK.

— Nie, mój przyjacielu; księżyc nie jest ciałem świetnym, nie ma on własnego światła, i przyświeca nam tylko światłem które bierze od słońca.

KAZIMIERZ.

— Czy księżyc nie bieży?

DZIADEK.

— Odbywa on drogę na około ziemi, w przeciągu 27 dni, 7 godzin i 43 minut, w takimże czasie obraca się około siebie, a razem z ziemią krąży około słońca.

KAZIMIERZ.

— Dla czego on dziś jest okrągły jak kóło? a w innych dniach bywa półkolisty, lub tylko dwurogaty?

DZIADEK.

— Te różne jego postaci zwane *zmianami księżycy*, pochodzą od jego biegu na około ziemi. Ponieważ księżyc nie

ma własnego światła, stąd my widzimy tylko tę jego część, którą słońce oświeca; a że słońce nie zawsze równą jego część oświeca, nie widzimy więc tej która nie jest oświecona i zdaje się że mu jęć braknie, raz z téj, drugi z owéj strony.

KAZIMIERZ.

— Małgorzata mówi: „Dziś mamy *pełnią* lub *nów*” — cóż to znaczy?

DZIADEK.

— Mówi się jest *nów*, gdy księżyc znajduje się między słońcem a ziemią; a ponieważ wtedy księżyc obrocony jest do nas ciemną stroną, przeto go widzieć nie możemy.

— Mówią że jest *pełnia*, gdy księżyc pokazuje nam swoje stronę oświeconą w kształcie zupełnego koła.

Księżyc wywiera wpływ na stan powietrza. Kiedy jest jego *nów*, powietrze zmienia się, albo po pogodzie następuje deszcz, albo też po deszczu, pogoda.

Z przyczyny biegu księżycy wynikają zaćmienia.

KAZIMIERZ.

— Co to jest zaćmienie?

DZIADEK.

— Naprzykład, gdy księżyc przechodzi, między naszymi oczyma a słońcem, wtedy jest zaćmienie słońca, to jest, przez chwilę nie dochodzi nas światło słoneczne.

Gdy ziemią przebiega między słońcem a księżycem, zaśnięcia wtedy księżycowi światło słońca, i naówczas bywa zaćmienie księżycy, to jest chwilowy brak na nim światła słonecznego.

KAZIMIERZ (*zalamując ręce z zadziwienia*).

— Jakże to wszystko jest wielkie! jak piękne!

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu, dziękować trzeba Bogu że nam to wszystko poznać dozwolił, i trzeba się pospieszyć nauczyć tych wszystkich wielkich i pięknych rzeczy.

NIEDZIELA CZTERNASTA.

←+→

Biorąc lekcją pływania w sobotę dzieci pozostały w wodzie dłużej niż zwykle, gdy w tem usłyszały głos wołający ratunku! i spostrzegły rękę co raz pokazującą się z wody. — O! przez Boga żywego! zawołał Leon, jakiś człowiek tonie; bierzmy ratować go!

— Niepodobna! rzekł dziadek z żalem. Ach! moje dzieci! gdybym ja nie był tak stary, a wy nie tak młode!... ależ i samibyśmy potonęli, i jegobyśmy nie uratowali. Dalej! dalej! powtarzał widząc że pęd wody unosił rękę ku niemu, i przytrzymując Leona który biegł w wodę aż po szyję.

Tym czasem Kazimierz wyprowadził dwóch innych braci na ląd. Tu wszyscy trzej wiązali jak najprędzej, jedna z drugą, pięć chustek z szyi; im bardziej

się spieszyli, tym wolniej im szła robota, tak drżeli... bo słyhać jeszcze było krzyk: — dalej! dalej! dobrze! jeszcze! — a już ustał głos: ratuj!... Nareszcie Kazimierz zawiązawszy kamień w ostatni koniec chustki, co żywo podał go dziadkowi, który go rzucił w miejsce, gdzie się ręka pokazała. Dziadek zaczekał chwilę... na twarzy jego widać było wielką niespokojność... Wkrótce zabłysła w niej nadzieja; ciągnąc bowiem chustkę uczuł jakiś opór.

Dzieci słowa wymówić niemogły: serce im gwałtownie biło; lękając się aby dziadek silnie ciągnący, w wodę nie został wciągnięty, czepiły się go wszystkie, i wkrótce ujrzeli wyptywającego zemdłego człowieka, który się chustki trzymał. Wyciągnawszy go na piasek, chwycili za nogi, dziadek podniósł resztę ciała, i udało się im wynieść utonionego na ląd.

W tej chwili ułan galopował drogą na koniu; Lody zabiegł mu drogę, szczekał

przed koniem, i zdawał się chcieć go zwabić kurzece: zadziwiony ułan patrzy... spostrzega kupkę nagich ludzi; myśl że jakiś zdarzył się wypadek, i że obecność jego może być użyteczna, sprowadza go z drogi; przypuszcza konia przez piasek, przybywa, zsiada, i woła zobaczywszy utonionego:...—Mój ojciec! to mój ojciec! mamże cię oglądać bez duszy, w chwili kiedy przybywam prosić cię o przebaczenie! O! mój Boże! czy tak mam być ukarany!

— Może jeszcze nie umarł, rzekł dziadek, pomoż nam tylko?

Ułan podnosił ciało tak iżby je obrócić głową ku dołowi...

— Co robisz, nieroztropny, udusisz go, krzyknął dziadek; utoniony umiera dla tego że nie oddycha, a nie przeto żeby się zbyt wody napił.

— Wyczyść mu gębę palcem; wdmuchywaj w nie powietrze zamknawszy mu nozdrza; usiłuj przywrócić życie temu któ-

ry ci dał życie... Wy zaś moje dzieci, robcie to co ja, nacierajcie mu członki, pierś; starajcie się rozgrzewać w nim krew.

Biedny młodzian, rzucił się na ciało ojca; niebawem, powietrze wdmuchane przez gębę do piersi, poruszyło znowu płuca, te zaś przywróciły krążenie krwi, i serce bić zaczęło.

— Ach! dziękuję Panom! mój ojciec żyje jeszcze! rzekł ułan uradowany. Pokroczywszy więc do konia o parę kroków, którego pies trzymał, mając cugle w pysku, odwiązał od siodła oplataną z wódką, dał troszkę napić się ojcu, który wkrótce otworzył oczy, poznał swego syna, i przycisnął go do swego serca.

Chodziło już tylko, o zaprowadzenie utonionego do wsi; stał w pogotowiu koń kopytem ziemię z niecierpliwości bijący. Ułan rozłoczył swój płaszcz, okrył nim ojca, wsadził na koń, usiadł sam w tyle i trzymając go pojechał, pożegnawszy ka-

pitana i młodych pomocników ratunku, którzy co żywo ubierali się.

— To więc takim sposobem przywraca się życie utonionemu? pytał się Kazimierz, gdy wracali do domu.

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu. Gdyby się nam nie było udało, za powrotem do domu tego człowieka, przesuwanoby mu pod nosem zapalone zapałki, nacieranoby mu ciało szczotkami, ogrzewanoby go gorącym żelazkiem od prasowania, wciskano-
by mu przez usta powietrze, za pomocą mieszka, łechtano mu wargi i nozdrza wewnątrz piórkiem, danoby mu lewatywę z czterech uncyj soli; palonoby mu na dołku żołądkowym, na udach i na ręku małe kawałki hupki lub papieru. Nie przestano by czynić tego przez 12 godzin, jeżeliby była potrzeba. Kiedyby utoniony odzyskał życie, danoby mu wypić kilkanaście kropli wody kolońskiej z wodą:

tymczasem też przybyły i lekarz, którego poszukano.

KAZIMIERZ.

— O! dziękuję dziaduniowi. Czy nie ma innego sposobu przywrócenia życia ludziom, którzy już zdają się być umarłymi?

DZIADEK.

— Tym tylko sposobem przywraca się życie tym, którzy oczadzieli od palących się węgla, lub uduszeni zostali szkodliwym powietrzem w przewetach, w piwnicach, studniach, którzy się udusili przez powieszenie, a najprzód wynosi się takich ludzi na świeże powietrze; skrapia się ich po całym ciele, a szczególnie twarz i piersi, octem zimnym, naciera się ich ciało szmatami także w occie maczanemi; a zresztą postępuje się tak samo jak z ludźmi utonionymi.

— Wstawszy od stołu, dziadek i wnukowie pospieszili dowiedzieć się o utonionym; byli o niego niespokojni, i ko-

chali go, jak zwykle kocha się ludzi których się wybawito z niebezpieczeństwa. Zastali go w łóżku; ullan siedzący przy nim, powstał na przyjęcie kapitana, skoro go zobaczył:—Ach! gdyby nie Pan Kapitan i ci dobrzy Panowie, byłbym utracił ojca i odpuszczenie méj winy!

KAZIMIERZ (z ciekawością).

— Cóż to Pan zrobiłeś?

ULLAN.

— Byłem nieposłuszny! Mój ojciec będąc wdowcem i mnie jednego tylko mając, przeznaczył dla mnie swoje gospodarstwo; ja zaś taką miałem chęć do woj-ska, iż nie zważając ani na prośby ani na żal mego ojca, uciekłem pewnego dnia i zaciągnąłem się do pułku.

Odebrawszy staranne wychowanie i dosyć mając nauki, odznaczyłem się między towarzyszami i podobałem się moim zwierzchnikom. Nikt mnie nie słyszał przysięgającego ani klnącego o lada bagatelę; schludny i porządny byłem w ubio-

rze, w rzeczach, dbały o konia i w porządku broń utrzymywałem, dobry byłem dla towarzyszków, z uszanowaniem dla starszych, nigdy nie poszedłem do szynku, nigdy nie miałem kłótni ani zwady, największe miałem upodobanie w czytaniu i spełnianiu swych obowiązków. Przeto niedługo pozostałem żołnierzem; a gdy postąpiłem na podporucznika, spodziewając się że w tym stopniu prędzej uzyskam przebaczenie u ojca, napisałem do niego list pokorny, w którym wyraziłem mu żal za mój postęp, na co on te tylko odpowiedział słowa:—Pozwalam gdy w niebezpieczeństwie kraju zagrożonego od nieprzyjaciół, pospieszy syn do wojska; lecz w czasie pokoju, syn ma względem ojca inne obowiązki... Ja nie mam już syna!

Od chwili odebrania tego nieszczęsnego listu, ściagały mię bezustanne zgryzoty. Służyłem ośm lat; moje upodobanie do wojska uspokoiło się; tym żywiej czu-

łem miłość dla ojca... Nareszcie otrzymałszy urlop, przybyłem... Wiecie panowie resztę.

Utan całował ich wszystkich ze łzami w oczach.

OJCIEC.

— Moja to wina, że o mało nie zginął, Panie Kapitanie; w moim wieku nie wypadło mi nigdy kapać się samemu jednemu. Niedaleko wprawdzie byłem od mego ogrodu, ale nikt nie słyszał mego wołania, kiedy kurcz złapałszy mię w nogę nie dozwolił mi oprzeć się pędowi wody; i gdybyście mnie Panowie nie byli uratowali, za co im serdecznie dziękuję, nie byłbym już oglądał mego syna!

Dziadek nawzajem opowiedziawszy, że tylko dzięki przytomności Kazimierza, zdołał uratować tonącego, powracał z dziećmi, szczęśliwemi z tak chwalebego uczynku; wzywał ich żeby pospieszali, gdyż niebo się mocno zachmurzało.

KAZIMIERZ.

— Co to są chmury, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Jest to wielka przestrzeń powietrza kulę ziemską zewsząd otaczającego, a którem my oddychamy; w niem to tworzą się chmury czyli obłoki, deszcz, śnieg, grad, wiatry, błyskawice, burze; słowem wszelkie zjawiska powoietrzne.

KAZIMIERZ.

— Ale mój dziaduniu, co to są chmury?

DZIADEK.

— Oto, moje dzieci, słońce swem ciepłem, zamienia wodę w parę niezmiernie lekką, która się wznosi w powietrze: tam miewa się ona z innymi wyziewami z morza i ziemi powstającemi, a to ich połączenie tworzy chmury które widzimy przesuwające się nad nami. Co do ich kształtu, koloru, i ich obszerności, wszystko to zależy od różnych przyczyn, a między innymi, od ich gęstości, i od sposobu jakim je słońce oświeca.

KAZIMIERZ.

— A deszcz?

DZIADEK.

— W miarę jak para przyciągana od ciepła słonecznego wznosi się w powietrze, staje się tam ona coraz gęstsza; tworzące ją małe cząstki wody zbliżają się do siebie, zbierają się razem, stają się cięższe, ciężarem swoim spadają w ciekłych kroplach na ziemię, wsiąkają w nią i znowu źródłami wypływają, z czego się tworzą strumyki, a z tych mniejsze i większe rzeki, które płyną do morza; czasami także te pary wznoszą się w postaci mgły, lub osiadają i tworzą rosę.

KAZIMIERZ.

— Dziaduniu, co to jest grad?

DZIADEK.

— Gdy jest zimno, wapory zamiast padać na ziemię w kroplach, padają zmarzłe w małe kłaczkę, które nazywamy śniegiem; a gdy mocniejsze jest zimno, też same krople zamiast zamienić się w kła

czki, marzną w małe kawałki lodu które nazywamy *gradem*.

Dobrze że już jesteśmy blisko domu, bo też, jak widzicie, deszcz już padać zaczyna.

NIEDZIELA PIĘTNASTA.



Zapukano we drzwi od ulicy, Małgorzata poszła otworzyć: był to posłaniec który przywiózł dość długą i jak się zdało, dość ciężką pakę drewnianą.—Skąd od kogo ta skrzyńka, mój przyjacielu? zapytał kapitan posłańca.

— Mój pan przywiózł ją wczoraj, nie wiem skąd do domu wróciwszy, i kazał mi ją tu odnieść, nie powiedziawszy skąd Pochodzi, ani co w niej jest, tylko razem z nią kazał mi oddać ten list.

— To ciekawa rzecz, mówił dziadek

list otwierając, który przeczytawszy dowiedział się że w pace jest broń, przesyła ją znana mu osoba, ale od kogo? nie było wzmianki.— Od nikogo niczego nie żądałem; nie wiem co to znaczy, mówił dalej dziadek.

— To osobliwsza! powtarzały dzieci i z wielką ciekawością — pobiegły natychmiast po młotek, dłuto i obcęgi, a dziadek odbiwszy nakrywę wyjął z paki mały karabinek. — To dla mnie! zawołał Leon, chwytając go spiesźnie; oto i moje imię na kolbie wyryte. Ach jakżem szczęśliwy, patrzcie! Lecz gdy wszyscy bracia ciekawie i z zazdrością oglądają karabinek, dziadek wydobywa jeszcze z paki trzy karabinki, z napisami Kazia, Jasia i Stasia. Na ten widok wszyscy zaczynają z radości krzyżeć, skakać po pokoju.

— Któż to mógł zrobić wam, moje dzieci, tak piękny podarunek? Dzieci od-

powiedziały że nie wiedzą, z czego się dziadek uśmiechnął.

Siedzieli jeszcze u stołu jedząc śniadanie, gdy odezwały się razem wszystkie dzwony parafialnego kościoła: — Co to znaczy! zawołał Leon; czy całej wsi będzie dzisiaj pogrzeb?

MAŁGORZATA.

— Aż dwa pogrzeby dzisiaj! Dwaj bracia razem pomarli z głodu, prawie o jednej godzinie: jeden dla tego że był skąpy, drugi że był rozrzutny, marnotrawny. Pan Bóg ich skarał.

DZIADEK.

— Ich śmierć wcale mnie nie dziwi. Ci dwaj bracia odziedziczyli po ojcu majątek. Starszy odmawiał sobie wszystkich należytych wygod życia, nie ogrzewał sobie należycie mieszkania w zimie; w lecie spał pod dachem; najpiękniejsze owoce sprzedawał, a podlejsze zostawiał dla siebie i jadł je wtedy dopiero gdy się psuły; suknie nosił na sobie dopóki się nie

rozleciały, a nigdy naprawić ich nie kazał. Nie chciał się żenić, żeby nie potrzebował dać żonie ślubnego podarunku; nie przyjął od nikogo potraktowania żeby nawzajem traktować nie był obowiązany. Odprawiał nieludzko ubogich, i żył sam bez przyjaciela, bez sługi!...

STAŚ.

— Jakże to biedny był człowiek!

DZIADEK

— Moje dziecko, skąpstwo jest namiętność która nas uwodzi, równie jak inne namiętności. — Uważał się on za szczęśliwego, kiedy choć trzy grosze przydać mógł do swego skarbu. I tak odmawiając zaspokojenia najgłówniejszych potrzeb swego życia, skończył na tém że umarł z głodu.

Przeciwnie, młodszy jego brat, żył jak wielki pan; dogadzał swym wszystkim przywidzeniom, trwonił majątek bez zastanowienia, a suknie swoje zmieniał prędzej nad modę; nie mógł znaleźć matki

któraby chciała oddać mu swoją córkę, obawiając się żeby nie zmarnował posagu we dwóch tygodniach; otaczał się samemi pochlebcami, ludźmi bez charakteru, uczciwi bowiem ludzie, nie chcieli ściągać na siebie pozoru jakoby potakiwali jego głupstwu. Nie miał więc prawdziwego przyjaciela.

STAŚ.

— Ach! jakże nierozsądny był człowiek!

DZIADEK.

— Rozrzutność jest także namiętność, która nas zwodzi jak inne namiętności. Uważał za wielkie dla siebie szczęście, gdy mógł lekkomyślnie wyrzucić pieniądze... I tak rozrzucał... rozrzucał, aż narzeczcie umarł z nędzy!

Moje dzieci, tak to nasze występki i wady mszczą się nad nami. Człowiek porwoczy zabija i sam się na śmierć naraża. Leniwiec z głodu umiera; bo chcąc żyć, pracować trzeba. Obżarty umiera na niestrawność; dumny upokorzony by-

wa tryumfem innych; zazdrosny boleje, widząc innych szczęśliwych; człowiek niesprawiedliwy nosi piekło w swém łonie; a Bóg nie przebacza temu który bliźnim przebaczyć nie umie. Widzicie więc że występek karany bywa od występku; a spodziewam się że kiedyś poznacie iż cnota jest najmilszą nagrodą cnoty.

Wyszedszy z domu dziadek z wnucami napotkali owe dwa pogrzeby. Niestety! Ani jednego krewnego, przyjaciela, ani ubogiego nie widać było idących za ciałami! Poszli za nim aż do kościoła, zmówili krótką modlitwę za umarłych, i udali się do zielonego domu, gdzie na nich z obiadem czekano.

Przez cały dzień był upał duszący. Gdy wracali w wieczór, niebo okryte było czarnemi chmurami, ciężkie było parne powietrze; w dali grzmiały pioruny... Dziadek chciał spieszenie dążyć do domu; ale dzieci tak się nabiegały, naigrały, najadły, iż ledwo nogi za sobą wlekły... Już

duże krople deszczu padać zaczynały... Człowiek przed nimi idący skrył się pod lipę.—I my także zatrzymajmy się trochę, rzekł Kazio zmęczony.

— Nie, moje dziecko, odpowiedział dziadek, nie zatrzymując się; — niebezpieczno jest stać pod drzewem kiedy grzmi; drzewa bowiem przyciągają pioruny.

— Panie! Panie! krzyczał Staś z cichych sił swym ciekim głosem, gdy koło lipy przechodzili, nie stoj tu Pan, bo drzewo przyciąga pioruny!

— Cicho! cicho! daj mu pokój, niech stoi, odezwał się Jaś. Czy nie słyszysz, jak się z nas śmieje że mokniemy?

Ledwo zdążyli pod pustą szopkę, kiedy tymczasem ogromnym łoskotem rozległ się piorun uderzający... i mocny zapach siarki czuć się dał w powietrzu.

— A to umknęliśmy szczęśliwie, rzekł Leon, wyskoczywszy z pod szopki: i podróżny i lipa, leżą na ziemi... Dziadek

przybiegł z dziećmi do podróżnego... nie-szczęśliwy leżał już nieżywy!

W tej chwili odezwały się dzwony kościelne w przyległej wsi... — Na co to dzwonią, mój dziaduniu? zapytał się Kazio zdziwiony.

— Pewno dla oddalenia burzy, odpowiedział dziadek. Proboszcz człowiek nieświadomy, sądzi że tym sposobem ją odwróci, kiedy przeciwnie, poruszając powietrze, prędzej jeszcze sprowadzić ją może.

Wrócili znowu pod szopę, bo grzmoty nie ustawały, a dzwony wciąż dzwoniły... Nareszcie roztworzyły się błyskiem obłoki nad kościołem, piorun w dzwonicę uderzył i dach zrzucił... Wtedy lunął deszcz wielki i uciszyła się burza, a pioruny w oddaleniu już tylko huczały.... wkrótce deszcz całkiem ustał... ale drogami przejść nie można było... Trzeba było zaczekać... Przestraszone dzieci spoglądały kolejno to na lipę, to na podróżne-

go i na kościół!...—Mój Boże! jakim że sposobem uchronić się można pioruna?

DZIADEK.

— Zamykając drzwi i okna kiedy jesteśmy w domu; bo za ciągiem powietrza zmierzają pioruny; a kiedy kto jest za domem, jeżeli się znajduje pod odkrytem niebem, nie powinien biedż prędko, ale usiąść spokojnie w dołku, w rowie. Ponieważ uważano że drzewa, wysokie wieże, zakończone żelaznem lub z innego metalu krzyżami lub kogutkami, mają własność przyciągania piorunów... wynaleziono zatem piorunochrony czyli konduktory... są to pręty metalowe ostro zakończone na szczytach budynków ustawione; od nich idące sznury druciane lub pręty także metalowe spuszczone są w ziemię tak głęboko aż ję dosięgną wilgotnej: pręt kończaty przyciąga piorun, który zbiega po pręcie dalej aż w ziemię wilgotną i w niej się rozprasza.

KAZIMIERZ.

— Oho! nie jestem ja tak głupi jak Małgorzata, która sądzi że to Bóg grzmi: ale co to jest piorun, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Jest to nagły wybuch niewidzialnego plynu, rozlanego w powietrzu, a który nazywają *elektrycznością*. Światło pokazujące się podczas tego wybuchu jest błyskawica, a łoskot jest piorun. Ten plyn nietylko znajduje się w powietrzu, ale i w większej liczbie różnych ciał: tylko je ogrzać albo potrząść a zaraz się on zjawia i albo wydaje iskry albo też przyciąga drobne ciała. I tak potartszy grzbiet kota, w ciemności, zobaczymy na nim iskry. Jeżeli potrżemy o sukno lak, bursztyn lub suchą szklanę, i gdy je potem przybliżymy do pociętego na drobne kawałeczki papieru, natychmiast one od owego potartego ciała przyciągnięte zostaną. Dowiedzie to że na owych ciałach jest wtedy elektryczność.

Gdy potoki wody z deszczu na drogach ustały, ruszył dziadek z dziećmi w dalszą drogę do domu, kiedy w tem usłyszeli żalosne wycie psa... Był to Lody ich szukający; uradowany że ich znalazł, dobre psisko, skakał, bryzgał ich i pomrukiwał, jakoby żaląc się im że poszli a jego z sobą nie zabrali... potem szedł to za nimi to znowu przed nimi, jak pies owczarski trzodę z pola do domu prowadzący.

Za powrotem do domu, wystawszy Juliana do Wójta Gminy z uwiadomieniem o zdarzeniu jakie widzieli w podróży, dziadek odmienił suknie, toż samo zrobić kazał dzieciom, które się suszyły przed roznieconym ogniem na kominku, kiedy wszedł ułan odwiedzić ich. Zaraz dzieci pokazywały mu swoje karabinki, opowiadając jakim sposobem dostały się do nich. — Rzecz dziwna, rzekł ułan poważnie, jak to, nie wiecie Panowie kto je wam przysłał? — Nie! — Nie poznaliście posłań-

ca? — Wcale nie! — To osobliwsza! powtarzał ułan; potem wyszedł... Lecz w kilkanaście minut po jego wyjściu, wszedł ów człowiek który je był przyniósł do pokoju, miał w ręku też samą skrzynkę w której były zapakowane... i rzekł też same słowa, które wymówił wprzód, gdy je przyniósł. — Aha! to ułan! to ułan! zawołały wszystkie dzieci, poznajemy go... Zaraz więc, jeden bierze mu z rąk furązkę, drugi rudą perukę, inny granatową kapotę, ten znowu nos przyprawiony... potem go ściskają dziękując mu za tak piękny podarunek.

— Winienem wam, moi przyjaciele, rzekł ułan rozczulony, mego ojca, mogeż być wam za to dostatecznie wdzięcznym? Te słowa mówiąc ścisnął rękę kapitana, i oddalił się ze łzami w oczach.

NIEDZIELA SZESANSTA.



— Moje dzieci! rzekł dziadek przestraszony, wchodząc do pokoju swych wnuczków, nie wychodźcie z pokoju! wściekły pies biega po wsi; mówią nawet że skałeczył dziewczynę. Dopiero co zamknąłem naszego Lody w budzie.

KAZIMIERZ.

— Od czego pies wścieka się?

DZIADEK.

— Niewiadomo. Wścieklizna następuje zwykle podczas wielkich upałów. Choroba ta napada wilki, lisy, koty, psy, nade wszystko psy! Cóż do zwierząt żywiących się zbożem, owocami i w ogólności roślinami, te same nie zachorują na wścieklizny, ale się nią zarażają gdy je wściekły pies, kot lub wilk pokąsa i ludziom ją udzielają. Jest to okropna choroba!

Dla tego strzedz się trzeba zwierząt nią dotkniętych!

KAZIMIERZ.

— Tak straszna choroba! a podobno nie ma na nią lekarstwa!

MAŁGORZATA (*wznosząc oczy w niebo*).

— O! matko boska! nie ma lekarstwa! Czemuż nie ofiarują się na pielgrzymkę do Radeznicy, albo nie idą do Walentów żeby im zamówiła, a pewno byłiby zdrowi...

DZIADEK (*przerzuwając jej*).

— A pewnoby pomarli na wściekliznę. Dzieci śmiały się w oczy Małgorzacie, gdy w tem usłyszeli wystrzał z fuzyi. — To pewno zabijają psa wściekłego, rzekł dziadek, który wyszedł dla przekonania się o tem, i wkrótce powróciwszy doniósł dzieciom tę pożądaną wiadomość.

KAZIMIERZ (*ubierając się*).

— Żeby mię teraz mama zobaczyła, przekonaby się jak podrostem na cwi-

czeniuach gimnastycznych! Patrz no dziadunio, jak krótkie już rękawy!

LEON.

— A moje! jak też my będziemy wyglądali!

KAZIMIERZ.

— To prawda! bo też odzież sukien-na jest droga... a potem plami się, smoli... kiedy się bawimy w jaką grę trzebaby mieć zawsze szczotkę w ręku; wolałbym raczej nosić płócienną bluzę. Żeby to dziadunio ubrał nas wszystkich czterech jednakowo.

WSZYSCY.

— Tak, tak, jako braci. Czy dobrze, dziaduniu?

DZIADEK.

— Dobrze, moje dzieci, bluza, w naszym szczególnie wieku, jest najwygodniejszą; a wreszcie, trzeba też oszczędzać, dopóki jeszcze młodymi jesteście uczniami, aby wam pozostało więcej gdy podrośniecie na młodych elegantów...

Pójdźmy, dowiedzmy się o dziewczynie pokąsanéj.

Matka drżąca jeszcze z przestachu, tak im opowiadała wypadek:

— Od kilku już dni spostrzegałam, że nasz piesek stał się smutnym, że nie chciał ani jeść ani pić: dla przekonania się czy nie jest wściekły, zamknęłam go w budzie. Kiedy dziś rano wytamał drzwiczki, i uciekał kęsając wszystkie psy które po drodze napotkał... Sąsiedzi ścigali go z bronią w ręku, uciekł przed nimi, i znowu się wrócił, i przed memi drzwiami rzucił się na moją biedną córkę, ukąsił ją w rękę—ją, swoją małą panią, którą tak lubił.

— Mój mąż z rozpaczy, pobiegł po chirurga, ja tymczasem wycisnęłam krew z rany, ścisnęłam ją żeby razem wyszła ślina psa, wymyłam ją letnią wodą i związałam mocno rękę powyżej rany. Miałam chęć wyssać ją, styszałam bowiem że wścieklizna wtedy tylko udziela się, gdy się ze krwią łączy, i że nie ma niebezpieczeń-

stwa, choćby się jad dostał do żołądka; ale wargi moje były posiekane; mogłabym się zarazić wścieklizną: nareszcie, gdy przybył chirurg, dałam mu żelazo, które do czerwoności w ogniu ogrzałam: on głęboko ranę przypalił, i zapewnił mię że przy tak użytych zaradczych środkach; moja córka będzie zdrowa.

Kapitan i jego wnuczowie dowiedziawszy się o szczegółach wypadku, poszli do rzeki; zastali ją znacznie wezbraną i pianą okrytą. Rzucano w nią biedne psy pokąsane.—Mój dziaduniu, nie będziemy się dziś kąpać w tak brudnej wodzie, rzekli chłopcy z odrazą.

A więc wrócił się z nimi do wsi.—Skąd się to biorą rzeki, mój dziaduniu? zapytał się Kazimierz.

DZIADEK.

— Wiecie już, moje dzieci, że słońce przyciąga wapory z ziemi i mórz, że się one zbierają i tworzą chmury; góry znowu przyciągają do siebie chmury które

na ich wierzchołkach osiadają, powstaje z nich woda, wsiąka w ziemię, wypływa z pod spodu gór, ze źródeł, zbiera się w strumyki, z tych tworzą się dalej strugi, a dalej wreszcie gdy się te połączą, powstają coraz większe rzeki.

KAZIMIERZ.

— Czy dużo jest wody na ziemi?

DZIADEK.

— Bardzo dużo, mój przyjacielu, kula ziemiska, na której my mieszkamy, składa się z ziemi i wody; jak podrośnięcie, uczyć się będziecie *Geografii*.

KAZIMIERZ.

— Co to jest Geografia, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Geografia znaczy toż samo co opisanie ziemi. Ta nauka opisuje nam położenie okolic, krajów, ich własności, obszerność i ich płody.

KAZIMIERZ.

— Dziaduniu nam powiedział, że słoń-

ce jest nieruchome, i że ziemia obraca się; prosimy wytłómaczyć nam jak się to dzieje?

DZIADEK.

— Ziemia ma dwojaki ruch razem się odbywający: najprzód obraca się około siebie samój i razem obraca się około słońca. Obrót jój około siebie samój kończy się w przeciągu dwudziestu czterech godzin, czyli w jednym dniu; i ten nazywa się obrotem *dziennym*. Tak się obracając ziemia nadstawia kolejno do słońca wszystkie części: stąd to pochodzi regularne następstwo dni po nocach, na częściach kolejno do słońca obracanych.

Drugi ruch, to jest około słońca, który właściwie jest jój biegiem, odbywa się w przeciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni i blisko sześciu godzinach, to jest w przeciągu roku. Ten drugi ruch ziemi jest miarą roku, i od niego zależą pory roku; dla tego też nazywa się on biegiem *rocznym*.

W téj chwili mały deszcz upadł, i przymusił ich schronić się do pokoju.—Na ten raz Małgorzata ma słusność, rzekł Staś:—*Deszcz padał w dzień Ś. Medarda, a więc będzie padał przez czterdzieści dni.* — Nie, rzekł Jaś, ogrodnik to ma słusność: *Deszcz padał w dzień ŚŚ. Gerwazego i Protazego, będzie więc padał przez czterdzieści dni.*

— Ponieważ Ś. Medard przypada 8, a ŚŚ. Gerwazy i Protazy 19 czerwca, ten więc dzień pewniejszą jest wróżbą, rzekł dziadek, gdyż 19 czerwca słońce wchodzi w przesilenie, a więc jeżeli w tym dniu deszcz pada, pewno będziemy mieli deszcze przez czterdzieści dni, gdyż wiatry zmieniają się prawie cztery razy w ciągu roku, w porównanie dnia z nocą wiosenne, i jesienne, tudzież w czasie przesilenia zimowego i letniego. A więc kto by dobrze uważał stan powietrza w tych czterech epokach, mógłby poznać mniej więcej temperaturę całego roku.

Pod wieczór, gdy deszcz ustał, poszli do księdza proboszcza, który przywitał ich w swym domu, rzekł: — Moi mili, nie mam u siebie gry któraby was zająć mogła, ale, jeżeli chcecie pokażę wam obrazki i cokolwiek o nich powiem, jeżeli będziecie ciekawi.

WSZYSCY

— Prosimy, prosimy księdza proboszcza!

Wyniósł więc ksiądz proboszcz na stół tekę z której wyjmował i pokazywał rycinę przedstawiające różne widoki, historyczne wypadki, obrazy królów, książąt i sławnych ludzi. — Oto są, mówił im, książęta Ziemowit, Leszek, Ziemomysł, Mieczysław I, Piastowie co panowali nad krajami z których utworzone zostało potem królestwo polskie pod Bolesławem Chrobrym.

KAZIO.

— Dla czegoż to odmienny mają ubior

głowy czterech pierwszych aniżeli Bolesław Chrobry i inni po nim następujący?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Czterej pierwsi byli książęta, i dla tego mają na głowach mitry książęce; Bolesław zaś wyobrażony, jest w koronie królewskiej, bo on pierwszy był królem.

LEON.

— A czemuż były te kraje przed Ziemowitem, i kto w nich rządził?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Kraje te, z których później składała się Polska, nazywano Lechią, a książąt którzy niemi rządzili wymieniają już to Lechów, już Leszków, Popielów i t. d. i różne o nich prawią rzeczy, ale nie w tém nie ma pewnego, bo jak prawie wszystkich dawnych państw, tak i Polski początki są bajeczne. Dopiero o Ziemowicie pewniej już wiadomo, że panował, że on pierwszy podzielił wojsko na pulki; jego rządy zaczynają się od 860 roku po Chrystusie Panu. Mieczysław tem

jest pamiętny że on pierwszy wprowadził do Polski religią chrześcijańską, sam i z całym narodem ją przyjmawszy około r. 966. Do owego bowiem czasu Polacy, żyli w bałwochwalstwie.

KAZIO.

— A jakichże wtedy mieli Polacy sąsiadów?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Około czasu panowania Ziemowita w Polsce, książę Ruryk założył księstwo ruskie i miasto Nowogrod wielki za stolicę mu przeznaczyl; wkrótce i Kijów dostał się pod władzę jego syna Igora, a za czasów Ziemomysta religia obrządku grecko-rossyjskiego na Ruś wprowadzoną została. Kiedy w Polsce panował Mieczysław I. Włodzimierz wielki książę kijowski państwo swoje rozszerzył aż do rzek Buga i Sanu: Pierwój nieco Węgry czyli Magiary, naród azyatycki, od rzeki Wołgi przybywszy do kraju nazywanego wówczas Panonią, założyli nad Dunajem

miasto Buda i uczynili je stolicą kraju, przez nich nazwanego Hungaryą, czyli Węgrami, jak się do dziś dnia nazywa. Dalej ku południowi, mieli Polacy za sąsiadów Czechów, Morawian, którzy już dawniej religią chrześcijańską przyjęli. Nareszcie od zachodu otoczeni byli różnemi ludami, bardzo podobnym językiem mówiącymi. Od morza bałtyckiego przedzielali ich Pomorzanie, Kaszuby na zachodzie, ku północy Prusacy, lud który w późniejszych wojnach prawie całkiem zaginął, i tylko pozostało po nim imię dzisiejszym Prusakom.

Oprócz Prusaków nad morzem bałtyckim i Litwinów w okolicach Kowna i Wilna zamieszkałych, wszystkie inne ludy w krajach dopiero wymienionych byli Słowianie, zamieszkujący kraje ruskie, węgierskie, czeskie, morawskie, polskie, szląskie, pomorskie; ludy te mówiły bardzo podobnymi do siebie językami. Większą ich część w około zawojował Bole-

slaw Chrobry i koronował się królem roku 1024. On także założył Arcybiskupstwo gnieźnieńskie, pod którego władzę oddane zostały biskupstwa: pomorskie, wrocławskie, krakowskie, poznańskie i lubuskie. Benedyktynów w Tyńcu, w Sieciechowie i na górze świętokrzyskiej ufundował, wkładając na nich obowiązek nauczania młodzieży.

KAZIO.

— Co to był Piast, o którym nam Ksiądz proboszcz wspomniał?

KSIĄDZ PROBOSZCZ.

— Tak się miał nazywać jeden z książąt panujących przed Ziemowitem; a że i Ziemowit z téj samój pochodzić miał familii, więc i jego i panujących po nim z jego rodu monarchów polskich, nazywano Piastami.

Na tem przestał Ksiądz proboszcz, i schował ryciny, bo już było późno i dziadek mówił że czas wracać do domu.

NIEDZIELA SIEDEMNASTA.



Dnia poprzedzającego, to jest w sobotę, kapitan i jego wnukowie odwiedzając bliskiej wsi sąsiada Pana *Doliwę*, byli świadkami wiejskiej uroczystości. Już mieli odchodzić, zabawiwszy się jakiś czas, gdy Pan Doliwa prosił ich aby się zatrzymali do wieczora, bo mówił:—u mnie dziś zabawa której radbym i Pana z jego wnukami mieć uczestników, a przynajmniej świadków. Zgodził się na to kapitan, albowiem rad był aby mali wnukowie widzieli jak obejdzie się Pan Doliwa z ludem wiejskim przy téj okoliczności. Przygotowano dla żeńców piwo, wódkę, przekąski, zamówiono i dwóch grajków, którzy ożywiać mieli ochotę rączych parobczaków i hożych dziewcząt. Już słońce zachodzić miało, kapitan z Panem Doliwą zatrudnieni byli rozmową w pokoju, gdy

wnukowie dotąd się bawiący z dziećmi gospodarza domu na dziedzińcu, wbiegli do pokoju z doniesieniem: „żeńcy idą ze śpiewaniem.“ Państwo Doliwowie i kapitan z niemi, otoczeni dziećmi, wyszli na spotkanie, jak mówił Pan Doliwa, miłych gości. Około pięćdziesiąt młodzieży, chłopaków, parobków, dziewcząt, tudzież towarzyszących im poważnych włościan, gospodarzy i gospodyń wiejskich, a wszystko to włościanie z porządnój wsi Pana Doliwy, śpiewając przybyli przed ganek dworu, gdzie już zastawszy oczekującą na nich całą rodzinę, złożyli w ręce gospodarza i gospodyni wieńce uwite z kłosów żyta i pszenicy, a przy tem życzyli im aby z pociechą zdrowi i z błogostawieństwem boskiem używali bogatego plonu swych pól i żeby jak najdłużej taki zbierać mogli. Pan Doliwa dziękował im za tę życzliwość, za szczerą pracę jaką dla niego podejmowali i życzył na wzajem pracowitemu, uczciwemu ludowi zdrowia i bło-

gostawieństwa niebios. Na pamiątkę zaś dokonanego ważnego dzieła w gospodarstwie wiejskiem, to jest pożęcia oziminy, zaprosił kompanią do przygotowanej dla niej zabawy. Dawano jeść, pić, rozpoczęto potem tańce, do którego to rozpoczęcia, należeli Państwo Doliwowie i starsze ich dzieci; wesola zabawa przeciągnęła się późno w noc, a starsi gospodarze wiejscy i gospodynie przestrzegali między bawiącymi się porządku.

Takię to zabawy świadkami będąc młodzi wnukowie z kapitanem, nazajutrz, to jest w niedzielę pytali się swego dziadka: — Co to się rozumie przez *dożynki*, i na jaką pamiątkę odbywała się ta zabawa?

DZIADEK.

— Dożynki znaczy dożęcie czyli dokończenie żniwa. Zwyczaj jest prawie w całym kraju nazywać dożynkami ukończenie żniwa oziminy, i na pamiątkę szczęśliwego ukończenia téj ważnej roboty, panowie wyprawiają robotnikom za-

bawę, przy której robotnicy panom, a ci nawzajem robotnikom oświadczają życzenia. Chwalebny to jest zwyczaj w którym obiedwie strony dobrze sobie życzą, i cieszą się ze szczęśliwego ukończenia tak mozolnej dla wiejskiego ludu pracy.

KAZIMIERZ.

— A wszak im za robotę płacił Pan Doliwa, a więc obeszłoby się już bez częstowania ich kiedy robili za zapłatę i pańszczyznę?

DZIADEK.

— Tak moje dziecko, Pan Doliwa płacił rzelelnie tym których najmował, a za pańszczyznę robiący także nie darmo pracowali, ale oprócz zapłaty chciał on umilić pracę wiejskiego ludu i okazać mu przez to wdzięczność, co równie szacowną jest rzeczą, jak wynagrodzenie pieniężne; dla tego to wyprawił mu ochotę. Jest to wreszcie zwyczaj krajowy, powszechny, i bodajby wszyscy panowie ten zwyczaj zachowywali, i we wszystkich

sprawach z ludem pracowitym szczerze, życzliwie postępowali i życzliwość jego sobie jednali.

KAZIMIERZ.

— Przypominam sobie że u mego ojca było *okreżne*, czy to znaczy toż samo co *dożynki*?

DZIADEK.

— Okreżnem nazywa się zabawa którą wyprawiają dla wiejskich robotników, wtedy gdy wszystko z pola sprzątną i na zimę pola obsieją, słowem, gdy wszystkie roboty jesienne w polu ukończą. Bywa to więc zabawa na taką pamiątkę jak dożynki. Jak wy, moi kochani, z ochotą kończycie swoje roboty, kiedy się spodziewacie pójść na przechadzkę, tak robotnicy wiejscy chętniej pracują gdy ich po ukończeniu pracy czeka ochota.

LEON.

— Oh! to prawda, dziaduniu, miło jest bawić się gdy się swoje dobrze zrobi.
Już była blisko szósta godzina po po-

łudniu, kapitan spojrzawszy na chorągiewkę na dachu, zaproponował dzieciom aby poszły kąpać się, gdyż wiatr był południowy, i wnosić było można że woda jest ciepła.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu! skądże o tem wiedzieć można?

DZIADEK.

— Rzecz bardzo łatwa. Chcąc oznaczyć różne części kuli ziemskiej wystawiono sobie cztery punkty rozłożone tak iżby wskazywały cztery strony świata.

KAZIMIERZ.

— Dobrze; ale jak je nazwano?

DZIADEK.

— Nazwano je głównemi stronami czyli okolicami świata, i każdy z tych punktów ma własne nazwisko, jako to: *wschód*, *zachód*, *północ*, *południe*.

KAZIMIERZ.

— Gdzie jest wschód?

DZIADEK.

— *Wschodem* nazwano tę stronę z której słońce zdaje się jakoby przychodziło czyli wschodziło w górę.

KAZIMIERZ.

— A gdzie jest zachód, dziaduniu?

DZIADEK.

— *Zachodem* nazywamy stronę w której słońce kryje się czyli zachodzi; strona ta leży na przeciwnej wschodowi.

KAZIMIERZ.

— A gdzie będzie północ?

DZIADEK.

— *Północą* nazywa się strona będąca przed nami, gdy mamy po prawej ręce wschód a po lewej zachód! Na igłach magnesowych, północ oznaczona bywa głoską N. a południe głoską S.

STAŚ.

— Dziaduniu! ja słyszałem jak ogrodnik inaczej wiatry nazywał.

DZIADEK.

— Moje dziecko! ogrodnicy, rolnicy, a

szczególniej też żeglarze, różne dają nazwiska wiatrom; ale nazwiska, u ostatnich używane, nas nie obchodzą, bo my nad morzem nie mieszkając, nie miewamy potrzeby pływać po niem i używać różnych nazwisk wiatrów żeglarskich, ogrodnicy zaś i rolnicy wiatr wiejący od wschodu nazywają wschodnim, mówią także że jest suchy, bo nie sprowadza deszczu i wszystko wysusza; nazywają go ostrym, mroźnym, gdyż bywa zimno gdy ze wschodu lub od północy wiatr wieje; przeciwnie wiatr wiejący od zachodu bywa wilgotny, bo sprowadza deszcz, a południowy zwykle nazywa się ciepłym, bo wtedy rzeczywiście ociepla się. To mówiąc stanęli nad brzegiem rzeki; w rzeczy samej woda była ciepła, wyborna do kąpania; dzieci kąpały się blisko przez godzinę, potem dziadek przyprowadził je do domu, tu bowiem spodziewał się zastać już gazety, które codziennie czytywał. Gdy w wieczór bawili się wszyscy w ogrodzie,

na świeżem powietrzu, i rozmawiali o wiadomościach gazetowych, w tem usłyszeli muzykę.. Jakże się wszyscy zdziwili! wszakże to Julian grał na skrzypcach.

— Cóż to się znaczy, rzekł kapitan, że ja dotąd nie wiedziałem o tym twoim talencie!

— Winienem go memu ojcu, odpowiedział Julian; ale od chwili jego śmierci, moja babka zabroniła mi grać na skrzypkach: *Szatańska to zabawa*, mówiła. Lecz pan kapitan pozwoli mi śpiewać, nieprawdaż?

— Dobrze, mój kochany. Muzyka wznosi nasze modły do nieba, i orzeźwia nas po dziennych trudach; według uczuć jakie wyraża, uspokaja, rozczula lub wznosi duszę naszą, słowem, muzyka jest piękną i pożyteczną dla człowieka rozrywką. Zaśpiewaj nam więc co umiesz.

Julian zaczął śpiewać z towarzyszeniem sobie na skrzypkach:

Mój tatulo mawiał sobie,
Synu! gdy chcesz być szczęśliwy,
Rób tak zawsze jak ja robię;
Ten bogaty, kto poczciwy. (bis).

Chłopczyna ledwo mógł skończyć tę strofkę, przypomniał sobie ojca, łzy mu się z oczu puściły.

KAPITAN.

— Dobrze, pięknie, moje dziecko, i śpiewanie i śpiewka piękna. Widzę przytem że kochasz ojca i pamiętasz dobrą jego naukę. To coś śpiewał, jest poważne, szacowne, dla rozrywki zaśpiewaj teraz co wesołego. Zachęcony Julian wyśpiewywał krakowiaki i naprzemian przygrywał, co tak się podobało wnukom kapitana, iż nawet spać się kładąc jeszcze sobie niektóre ze słyszanych powtarzali.

NIEDZIELA ÓSMNASTA.



— Panie! zawołała z przestraczem i zadyszana wbiegając do pokoju stara służąca, jakież to szkaradny człowiek, ach to djabeł; i uciekła do kuchni.

Był to Murzyn, którego dziadek z wnucami spotkali byli na drodze. — Przynoszę, rzekł podając, list który Panna Bronisława przysłała Panu kapitanowi.

— Oświadczysz swój Pani, odpowiedział dziadek, list przeczytawszy, że ja i moi wnukowie będziemy mieli zaszczyt odwiedzić ją, według jej życzenia.

Murzyn oddalił się, a dziadek oznajmił swym dzieciom, że z powodu imienin swego wuja, Panna Bronisława, mając na to polecenie od swego ojca, zaprasza ich do pałacu na obiad.

Ucieszone dzieci nie wiedziały co po-

cząc z radości: co żywo krzając się i gotować zaczęły w gościnę, czesały sobie włosy, obcinały paznogie, jeszcze raz myły się, powdzwiewały świeżo sprawione majtki, przepasały pięknymi na klamerki zapinanymi paskami, i pyszne tym nowym ubiorem, przybiegły ukazać się dziadkowi.

— *Muszęć was zlustrować*, rzekł dziadek z uśmiechem. Kaziu twoja twarz jest za poważna, rozgarnij włosy trochę lepiej na boki, a to jój nada więcej wesołości.

— Ty Leosiu wywiń równo kołnierz od koszuli, i zachowaj więcej powagi w chodzie i poruszeniach; a będziesz wyglądał na lepszego chtopczyka.

— Jasiu, tobie włosy zbyt czoło zakrywają; rozgarnij je, a to nada twój fizynomii więcej otwartości.

— A ty mój Stasiu, prościój główkę do góry trzymaj, i śmielój patrz. Żli ludzie tylko spuszczają w dół oczy; człowiek poczciwy prosto głowę trzymać po-

winien. Unikając wszelkiej śmieszności, moje dzieci, starać się powinniśmy korzystać ze swych przymiotów fizycznych, i, ile można, zmniejszać swe powierzchowne wady; albowiem myśląc zawsze o przyozdobieniu swego umysłu, swęj duszy, nietrzeba także zaniedbywać swego ciała, gdyż powiedziano, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

— Będziecie w towarzystwie z ludźmi szlacheckiego rodu, ludźmi bogatymi, wy, moje dzieci, co nie jesteście ani szlachtą, ani bogatymi. Lecz pamiętajcie, że do dobre wychowanie uzacnia także ludzi, i jeżeli nie zawsze zależy od nas być bogatymi, tedy zawsze jest w mocy naszej stać się godnymi szacunku. Zresztą kiedy człowiek ma czyste sumienie, kiedy jest ubrany według swego mienia, wtedy może śmiało znajdować się wszędzie. Idźmy.

W drodze, Kazimierz rzekł do swego

dziadka:—Słyszę jak dziadunio mówi często, o szlachcie i nieszlachcie; skądże pochodzi między ludźmi ta różnica?

— Od bardzo dawnych czasów była u nas szlachta i nieszlachta do której to ostatniej liczyli się włościanie czyli chłopcy, mieszczenie. Kto żył pocziwie a przytem albo mężstwem na wojnie, albo pożytecznym i chwalebnym dla kraju przysłużył się czynem, tego monarcha czynił szlachcicem czyli nadawał mu szlachectwo, które zwykle przechodziło i na jego dzieci i wszystkie potomstwo. Taki jest, ile nam wiadomo, początek szlachty. A jak chwalebni czynami pozyskać, tak niecnymi postępkami utracić się mogło szlachectwo. Kto więc jest szlachcicem, ten cnotliwymi postępkami starać się powinien okazywać się godnym tego zaszczytu, a kto nie jest szlachcicem, ten także chwalebni czynami zasługiwać nań powinien, i zasłużyć może, bo i teraz cno-

ta, godna jest nagrody i pewną jej być może.

Owego dnia było bardzo gorąco. Nim przybyli przed bramę pałacu, dziadek zatrzymał się, a wszyscy otarli sobie twarze i otrzepali kurz z trzewików; potem weszli. Murzyn wprowadził ich do sali i oznajmił ich przybycie; i kiedy Pan Dobrzański przedstawiał swym przyjaciółom Kapitana jako walecznego, zastężonego oficera i dobrego obywatela, tymczasem Panna Bronisława, poprowadziła jego małych wnuków do ogrodu, gdzie zebrane było towarzystwo. Z początku bawili się wszyscy razem; potem małe panienki utrudziwszy się, rozmawiały w cieniu pod drzewami.—Idźmy, rzekł Kazio uzbierać bukiety dla panien. Na te słowa pobiegli wszyscy chłopcy.

— Otoż i same jesteście!.. zawołała Panna Bronisława. Tak to grzeczni są kawalerowie! Pan Kazimierz, co to, kiedym ja była chrześną matką, a on chrześ-

nym ojcem, zdawał się mi być tak dobrze wychowanym..., oh! niedaruję mu tego... Gdzież oni się podzieli?

— Cicho, cicho, rzekła jedna z jej towarzyszek; widzę ich powracających z kwiatami, które dla nas pewno niosą, i nie słusznie podobno obwiniaś ich.

Kazio wielce się ucieszył że miał sposobność ofiarować swój bukiet Pannie Bronistawie; a gdy podawszy jej rękę wprowadził ją do sali jadalnej, Pan Dobrzański zobowiązał go, aby razem z nią był gospodarzem małego stołu, który we wszystkim naśladował porządek zachowany przy stole wielkim.

Podczas wetów, czyli przy końcu biesiady, spełniono toasty za zdrowie solenizanta, gospodarza domu, Kazio, Leos czynili toż samo. Potem poszli wszyscy do innej sali, gdzie kawę rozdawano; i tu Kazio nieodstępnie pomagał w obowiązkach swjej małej gospodyni.

Pod wieczór całe towarzystwo używa-

wało przechadzki w pięknym ogrodzie. Kazio zbliżywszy się do dziadka, zapytał się go, czy zna Pana Generała, którego obchodzą imieniny, o którym tyle rozmawiano?

DZIADEK,

— Tak moje dziecko, znam go bardzo dobrze, bo miałem szczęście służyć w wojsku pod jego dowództwem, mite mi jest każde jego wspomnienie, a tym ci bardziej że mam sposobność oglądać go tu dziś po kilkoletniem niewidzeniu. Ja go zawsze kochałem, jako ze wszechmiar cnotliwego, godnego męża, a on był ze mnie kontent, bom pilnie i gorliwie, pełnił obowiązki swego stanu.

KAZIO.

— Mój dziaduniu, któż go uczynił generałem?

DZIADEK.

— Tę godność dał mu Król, bo on tylko ma moc mianować generałami tych oficerów, którzy przez długie i chwalebne

zasługi okazali się godnymi tego wysokiego stopnia.

KAZIO.

— A któż mianuje króla?

DZIADEK.

— Król wyznacza po sobie następcą swego syna lub brata, i takim porządkiem po sobie następują; a każdego który na tron wstąpi, biskup namaszcza czyli poświęca, dla tego króla nazywamy *Pomażanćem boskim*.

KAZIO.

— Cóż robi król, dziaduniu?

DZIADEK.

— Król rządzi krajem, przepisuje prawa i przestrzega aby te prawa były wypełniane, aby wszyscy ludzie w kraju byli szczęśliwi, aby nikt i w niczem nie doznawał krzywdy, aby wszystkim wymierzana była sprawiedliwość i wszyscy pełnili swoje obowiązki.

LEON.

— A któż to nadaje urzędy i robi oficerami?

DZIADEK.

— Wyższe urzędy rozdaje król i mianuje oficerów, a niższe urzędy dają wyżsi urzędnicy, którym król udziela do tego władzę.

LEON.

— Czy każdemu kto zechce, dają urząd?

DZIADEK.

— Nie, moje dziecko; do każdego urzędu przywiązane są pewne obowiązki, do których dobrego pełnienia potrzeba być zdolnym, usposobionym; wykonywać je trzeba sumiennie, gorliwie, i wtedy tylko można być godnym urzędu; o kim więc jest takie przekonanie, ten urząd dostaje. Nie każdy więc może być urzędnikiem. Chcąc być sędzią trzeba miłować sprawiedliwość i umieć wymierzać ją według praw; chcąc być oficerem, trzeba być odważnym, mężnym.

JAS.

— Jeżeli więc Kazio będzie uczonym i cnotliwym, tedy będzie mógł zostać

urzędnikiem, a Leos będzie oficerem, jeżeli zawsze będzie tak śmiałym odważnym, jak się teraz okazuje?

DZIADEK.

— Może zostać, jeżeli przy tem będzie zawsze zdrow, co koniecznie w wojsku szczególnie jest potrzebne.

Już było późno; dziadek poszedł z wnucami do pałacu, aby pożegnać Państwo Dobrzańskich i Pannę Bronisławę.

Gdy wracali do domu, Kazio nie mógł się nachwalić pięknego ogrodu u Pana Dobrzańskiego: — Jaki to pyszny ogród, mówił, wszędzie wody, kanały, sadzawki, kaskady, fontanny. Musi być bardzo wiele wody na świecie; bo jaka to wielka jest Wisła! ile to nią przepłytnie wody?

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu. Cała ziemia składa się tylko z lądu i wody. Woda ma różne nazwiska, według swój rozległości; już to nazywa się *morze*, już *rzeka*,

struga, *strumień*, już znowu *jezioro staw*, *sadzawka*, *kałuża*.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, co to jest morze?!

DZIADEK.

— Morze lub Ocean jest wielka rozległość wody słonej, która otacza kulę ziemską i większą jej część okrywa.

KAZIMIERZ.

— A co nazywają rzeką?

DZIADEK.

— Rzeka jest wielka ilość wody uchodząca wprost do morza lub do innéj jeszcze większój rzeki. I tak u nas Wisła jest rzeka; Bug, Narew, Pilica, są także rzeki, które płyną do Wisły, a Wisła do morza. Początek rzeki skąd ona wypływa nazywa się jej *źródłem*, a koniec w którym do innéj rzeki lub do morza wpływa, nazywa się jej *ujściem*.

KAZIMIERZ.

— Co nazywa się strugą?

DZIADEK.

— Jest to także rzeka ale mniejsza.

KAZIMIERZ.

— A strumień? to pewno jeszcze mniejsza rzeka?

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu; z wód płynących ze strumieni tworzą się rzeczki, z tych zaś rzeki. Gdy zechcesz poznać, który jest prawy, a który lewy brzeg rzeczki lub rzeki, wystawisz sobie że jesteś na rzece, obrócony twarzą ku tej stronie w którą rzeka płynie; wtedy brzeg będący względem ciebie po prawej stronie nazwiesz *prawym*, a drugi leżący z lewej strony nazwiesz *lewym*.

— Nazywają także *górką rzeki* miejsce najbliższe jej źródła, a *dotem*, miejsce przed samem jej ujściem.

KAZIMIERZ.

— A co jest jezioro, dziaduniu?

DZIADEK.

— Jest to obszerna przestrzeń wody

stojącej ze wszystkich stron łądem otoczonej. Kałuża, jest mały zbiór wody, w suchej porze roku wyschnąć mogący. Sadržawką nazywają zbiór umyślnie zatrzymanej wody, w której ryby żywcem przechowują. Staw jest woda zastawiana.

KAZIMIERZ.

— A kanał, co jest?

DZIADEK.

— Jest to niby rzeka ludzkiemi rękoma wykopana, dla połączenia rzeki z rzeką, z jeziorem lub morzem. Czasem nawet kanał służy statkom za drogę z jednego do drugiego morza.

Już się zupełnie zmierzchno gdy, tak rozmawiając, przechodzili koło kałuży, czyli bagniska.

— Nie cierpię takich wód stojących, zielonych, rzek Kazimierz; miło i patrzyć na wodę bieżącą.

— Jakiś strach przejmuję, gdy się jest nad taką wodą, dodał Staś, przybliżając się do swego dziadka; zawsze około ta-

kich wód, krążą złe duchy aby przywabić do nich przechodniów, i utopić ich na pośmiewisko.

— Oh! to prawda, *topielce*, tak je nazywa Małgorzata, rzekł Leon, tonem szyderskim. Chciałbym ja widzieć tych *topielców!* (podnosząc głos). Bo się ich wcale nie boję; niechno tu przyjdą! Głośniej jeszcze od nich śmiać się będę...

Wtem ukazał się mały płomyk, i szybko się oddalił.

— Patrz, patrz! ucieka; boi się: aha! tchorz, krzychał co miał sił Leon.

— Brawo! brawo, Leonie! rzekł dziadek; zabawnie jest przechodzić się z tobą w nocy. Nie lękajcie się moje dzieci; te ognie, te złe duchy są to zapalne wyziewy wydobywające się z bagien, smentarzy, i ze wszystkich miejsc gdzie są materye roślinne lub zwierzęce gnijące. Wyziewy te nie śmieją się, to czyste przywidzenie ludzi nieświadomych, tylko gdy się zapalają słychać wtedy częstokroć

towarzyszący zapaleniu mały szelest podobny do iskry elektrycznej.

Przybywszy do domu dzieci opowiedziały Małgorzacie, widziane zjawisko. — Postuchajcie mnie tylko, rzekła ona poważnym tonem: jak je kiedy ujrzycie, rzućcie tylko na nie nóż, jaki przy sobie będziecie miały, a uciekną. Ale dzieci śmiały się z przestachu Małgorzaty, bo już nie bały się złych duchów ani topielców.

NIEDZIELA DZIEWIĘTNASTA.



— Małgorzato! naszą odzież kąpielną, rzekł Leon; idziemy kąpać się.

— Matko boska! zawołała, żegnając się; kopać się w taki upał, w czasie kanikuły... żeby utonąć!

— Cóż to jest kanikuła, dziaduniu? zapytał Leon.

— Jest to najświetniejsza na niebie gwiazda, odpowiedział dziadek; nazywają ją także Syryusz. Ponieważ ta gwiazda pokazuje się w najgorętszej porze roku, kiedy w téj właśnie porze, wiele ludzi kąpać się zwykło, a zatem i wielu zdarza się przypadków utonienia, nie z przyczyny kanikuty ale stąd że pływać nie umieją.

Pobawiwszy się z godzinę w kąpieli w rzece, dzieci wracały spokojnie do domu.—Już nam dziadunio powiedział jak się dzielą różne wody, rzekł Kazimierz, prosimy teraz powiedzieć nam, jaki jest podział ziemi?

DZIADEK.

— Ziemia dzieli się, na dwie wielkie części, które nazywają lądami, mówiąc niekiedy *state lądy*.

KAZIMIERZ.

— Co to jest ląd?

DZIADEK.

— Ląd jest obszerna przestrzeń ziemi,

zawierająca wiele krajów nie przedzielonych morzami.

KAZIMIERZ.

— Jak nazywają kraje, zawierające się na dwóch lądach?

DZIADEK.

— Jeden, który nazywają *dawnym światem*, zawiera *Europe, Azją i Afrykę*.

— Drugi nazywany *nowym światem*, gdyż przed kilku dopiero wiekami odkryty został, obejmuje *Amerykę*. Nazywają także pierwszy *starym* a drugi *nowym lądem*.

— Jest jeszcze inna część świata którą nazywają *Oceanią*: tak więc ziemia dzieli się na pięć wielkich części nazywające się: *Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Oceania*.

W owéj chwili niebo chmury zakryły. Spieszniej więc do domu dążyli; ledwo weszli, kiedy mocny deszcz puścił się.

— Otoż macie, rzekł Jaś tupając w gnie-

wie nogami, już nic z naszej niedzieli! oh! jakże to nudno!

— To prawda, rzekł Staś tonem łagodnym, spokojnym; ale twój zły humor w niepogodzie uczyni cię bardziej niešťczęśliwym: *Trzeba umieć znieść cierpliwie czemu zaradzić nie zdołamy*, takie jest przysłowie. Nieprawdaż dziaduniu? rzekł z przymileniem; potem przysunął mu wielkie krzesło do okna na ogród wychodzącego; inni chłopcy pobiegli każdy dla siebie po krzesło, a Staś postawił już swoje przy krześle dziadka, kiedy Jaś odpychając go przez zazdrość, szepnął mu do ucha: — Przypochlebiasz się dziaduniowi żeby lepiej ciebie, aniżeli mnie kochał, lecz jeżeli mi się stąd nie usuniesz, dam ci kulakiem. Biedny Stasio ustąpił mu swego miejsca, nic nie mówiąc i usiadł dalej.

Deszcz lał potokami.—A to potop, mówiła Malgorzata, żegnając się.

— Co to jest potop? zapytał się Jasio.

— Była to pomsta boska nad złymi, odpowiedział dziadek spoglądając surowo na Jasia. Pismo święte mówi nam, że Adam i Ewa, po wygnaniu ich z raju, mieli dzieci; Kaim, starszy ich syn zazdrościł Ablowi, młodszemu bratu. Pewnego dnia gdy obadwa czynili ofiary Bogu, na ukaranie Kaima za jego zazdrość, odrzucił jego ofiarę, a zaś przyjął ofiarę Abła. Tem pierwszeństwem rozjątrzony Kaim, umyślił zemścić się nad swym bratem; udał więc przed nim że chce się przejść, zaprosił Abła żeby mu towarzyszył, i wyprowadziwszy go daleko w pole, zabił.. Ale zaraz potem Bóg ukazał się Kaimowi, wyrzucił mu jego zbrodnią i przeklął go na ziemi, którą on skrwawił, przelaną krwią swego brata Abła.

— Pewno Kaim żałował, dziaduniu, rzekł Staś spoglądając na Jasia.

— Nie, mój przyjacielu. Gdy zbrodnie zagaścicy się pomiędzy dziećmi Kaima, Bóg powiedział Noemu, że postanowił

wygładzić ród ludzki, i że okryje ziemię powszechnym potopem; lecz że, chcąc go wyłączyć od téj kary, rozkazał mu wybudować arkę. Gdy arka była gotowa, Noe wszedł do niéj ze swemi trzema synami, Semem, Chamem, i Jafetem, ze trzema żonami tych synów i z jedną parą każdego rodzaju zwierząt. Ledwo co Noe wypełnił rozkaz boski, kiedy spadły wielkie deszcze, zalały cały świat, tylko ocalała jedna arka...

— Ach! dla Boga, dziaduniu, jaki to straszny deszcz, rzekł Jasio przełękniony; a gdyby to był znowu potop?

— Potem, mówił dalej dziadek, Bóg zesał wielki wiatr, który rozproszył i wysuszył wody. Noe wysłał na ląd gołębicę, a ta przyniosła w dziobku gałązkę oliwną, znak pokoju i pojednania. Wtedy Noe wyszedł z Arki, i wyszło wszystko co w niéj było zamknięte; przez wdzięczność wystawił oltarz Bogu; pobłogosławił Bóg Noemu i jego dzieciom, roz-

kazał im aby znowu świat zaludnili, i ukazała się na niebie tęcza, jako znak przy mierza między Bogiem a ludźmi.

— O! widać tęczę, zawołały wszystkie dzieci. Patrz dziadaniu, deszcz już ustał!

— Tak, moi kochani, odpowiedział dziadek; lecz Bóg daje czas złym ludziom aby się upamiętali i żałowali za złe postęпки.

— Już na nikogo nie będę się gniewał ani mu zazdrościł, rzekł Jaś, płacząc, bo to bardzo przykro i bardzo źle! Przebacz mi, mój dziaduniu; pewny jestem że Staś przebaczył mi już.

Staś przyprowadził Jasia do dziadka, który obudwu ich ucałował. W lecie wypogadza się bardzo prędko; dla tego pod wieczór, kapitan wyszedł z dziećmi na przechadzkę, i spotkali młynarza z pobliskiej wsi, który zbyt wiele naładowawszy worków zboża na wóz jednym nędznym koniem zaprzężony, sam jeszcze siedział na workach i poganiał biedne ko-

nisko. Nieszczęsne zwierzę, nie mogło uciągnąć wielkiego ciężaru, i ustało właśnie gdy je spotkali. Młynarz zaczął kłąć, wymyślać, jak opętany: bił konia niełitościwie, najprzód biczem a potem biczyskiem, po bokach, po nogach, po głowie, gdzie tylko sądził że mu najboleśniej dokuczy.

Przechodzący z kapitanem chłopcy zakrywali sobie rękoma oczy, żeby nie widzieć takiego okrucieństwa. Nie wiem co mnie wstrzymuje, rzekł oburzony Leos, że ci nie oddam wet za wet, za biednego konia, podły człowiecze!

— To Pana bynajmniej nie tyczy, odpowiedział oziębłe młynarz; koń jest mój.

— Tym ci bardziej oszczędzać go powinienes, rzekł dziadek; mógłbys jeszcze długo używać go, zamiast zabijać, jak to właśnie czynisz.

— Zabić go! odrzekł młynarz; właśnie też! nic mu nie będzie, jest on mocny, nie tak ja go już bitem, a nic mu się nie-

stało, co tam, gadacie Panowie. To mówiąc, tłukł biedne zwierzę, z całych sił, aż przykro patrzeć było.

— Zabij go więc! krzyczał Leon ze złości; zabij go, przynajmniej prędko!

Młynarz zbladł; wściekał się ze złości; widząc, że się koń wcale z miejsca nie rusza, porwawszy więc kłonicę przyskoczył do niego zapalczywie, bił go szturgał po bokach, aż nareszcie biedny koń raz jeszcze usiłował pociągnąć, rzucił się, jęknął, upadł i sobą przywalił swego okrutnego pana.

Kiedy dziadek i wnukowie patrzyli na to przykre widowisko, tymczasem Lody, przybliżył się do konia, i obwąchał go w milczeniu; potem smutnie zaskowycawszy obszedł młynarza, swym zwyczajem podniósł nogi, i odwróciwszy się tyłem obrzucił go piaskiem, drapiąc tylnymi nogami, nareszcie odszedł.

— Chodźmy! rzekły dzieci do dziadka,

chodźmy! słusznie pies zrobił; zostawmy tego niegodziwego człowieka...

— Nie, moi kochani, nie, dopomożcie mi wydobyć go; dosyć on już ukarany utratą konia, a biedne konisko, lepiej że już zdechło, niżby dłużej jeszcze męczyć się miało.

Młynarz, ugnieciony ciężarem konia, ledwo wstał, a dziadek z wnukami poszli dalej swoją drogą.— Dla Boga! rzekł Kazio, czy to prawo nie przepisuje kary na ludzi za tak srogie obchodzenie się ze zwierzętami, za ich zbytne ładowanie i bicie aż na śmierć.

DZIADEK.

— Tak mój przyjacielu, gdy zwierzę należy do kogo innego; ale ten koń był własnością młynarza.

STAS.

— Oh! to niesłusznie; ponieważ zwierzęta czują ból równie jak my ludzie, więc niemi także prawa opiekować się i bronić je od okrutnego dręczenia powin-

ny. Oh! gdyby to zależało odemnie, nie przepuściłbym ja bezkarnie takiego obejścia się z koniem młynarza.—Co też król robi, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Król jest naczelnym rządcą całego państwa; pod jego rozkazem jest wojsko lądowe i morskie, on wypowiada wojnę, zawiera pokój, przymierza, opiekuje się handlem, mianuje urzędników, wydaje prawa i rozporządzenia, nagradza zasługi i chwalebne uczynki, a potwierdza lub zmienia kary na przestępców i winowajców.

STAS.

— To więc król ma bardzo wiele do czynienia?

NIEDZIELA DWUDZIESTA.



Postaniec przyniósł list, adresowany do Leona; zaczął więc on go czytać, i z nie-

cierpliwości rzekł do siebie:—jaka to bieda że ja nie umiem przeczytać tego wyrazu; gdyby dowiedział się o tem papa, pewno by już do mnie nie napisał.

Dziadek oświadczył się że mu pomoże, i czytał na głos:

„Kochany synu!

„Jestem zdrow, i jestem szczęśliwy tak jak być można szczęśliwym kiedy się jest oddalonym od swego kraju; ale żyjemy na tym świecie abyśmy pełnili swoje obowiązki i w ich tylko spełnianiu szukać powinniśmy szczęścia. Moje dziecko! słuchaj rad i przestrogi swego dziadka tak jak gdyby to były moje przestrogi udzielane ci przez jego usta; naucz się być poczciwym człowiekiem, człowiekiem użytecznym, abyś kiedyś zastąpił mnie, gdy nie będę mógł być krajowi użytecznym.

„Bądź zdrow mój synu.“

Leon łkał rozczulony.—Zaraz będę pisał do papy, rzekł, usiłując wstrzymać szlochanie. Co żywo więc szuka pióra,

atramentu, papieru, zasiadł przy stoliku... lecz kłopot go ogarnął, gryzie pióro, kręci się, spogląda na sufit... W końcu nie wiedząc od czego miał zacząć, pyta się dziadka jak się to list pisze.

— Najprzód odpowiedzieć trzeba na to o co do nas piszą, rzekł dziadek; potem pisać o tem co osobę, do której piszemy, obchodzić może, a dopiero pisać o sobie samym. Podyktuję ci.

„Kochany Papo!

„Płakałem z radości gdym się dowiedział o kochanym Papie; codzień proszę Boga aby Ci dał zdrowie, i żebyś jak najprędzej do nas powrócił; a tak łatwiej znoszę smutek z nieobecności kochanego Papy. Przysięgam że będę słuchał przestrogi dziadunia, już teraz prawie nie jestem ani swawolnikiem ani leniwcem, będę także poskramiał swój gniew, abym kiedyś był godnym Ciebie synem.

„Bądź zdrow, kochany Papo. Twój przywiązany i posłuszny syn *Leon.*“

— A jak się pisze do mamy? zapytał się Kazio.

— Z takimże jak do ojca uszanowaniem, a z większą jeszcze tkliwością.

— Jeżeli się pisze do blizkich krewnych, do swego nauczyciela, opiekuna, pisze się najprzód *Kochany Wujaszku*, *Stryjaszku*; do obcych osób kładzie się najprzód, *Panie*, a według godności dodaje się jeszcze *Wielmożny* lub też *Jaśnie Wielmożny*, n.p. *Wielmożny Panie*, *Jaśnie Wielmożny Hrabio* lub *Książę*, a kończy się tak. *jestem kochanego Wujaszka*, *Pana*, *Wielmożnego Pana*, lub *Jaśnie Wielmożnego Pana*, *przywiązany siostrzeniec* lub *uniżony sługa*.

— Pisząc do *Pani* lub *Panny* zaczyna się od wyrazów *Pani* lub *Panno*; używa się samych tylko grzecznych, przystojnych wyrazów, a kończy się: *mam zaszczyt być Pani* lub *Panny najuniżeńszym sługą*.

— Jeżeli osoba, do której się pisze,

jest brat lub krewny, zaczyna się list i kończy wyrazami prostymi, niewyszukanymi: *Przyjacielu*, *Bracie*, *kochany kuzynie*; bądź *zdrów*, *Twój zawsze przywiązany..* wreszcie zakończyć można list tem co przyjdzie na myśl dobrego, miłego, uprzejmego. Potem jeżeli się pisze do obcej osoby we własnym interesie, trzeba opłacić *franko*; jeżeli się pisze do osoby w jej interesie, nie płaci się *franco*, chyba żeby osoba ta była uboga.

Był to dzień w owym miasteczku uroczysty; dziadek ze swemi wnukami wyszli przejść się po targu. Kupcy przystroili swe sklepy, mnóstwo przybyło wieśniaków; wszędzie panowała wesołość, każdy jak mógł ustroił się, tu grano, tam śpiewano... Słowem, wszędzie był wesoły zgiełk! Dziadek dał swym wnukom po pięć złotych, którzy między sobą zrobili składkę, aby kupić dla Małgorzaty chustkę, dla Juliana kaszkiet; a ponieważ sami niczego nie potrzebowali i niczego

nie żądali, resztę więc pieniędzy złożyli do puszek dla biednych, dla ubogich.

Wkrótce rozdzieliła się familia. Leon, podawszy rękę małemu ciemnemu, zatrzymał się, chcąc mu tłumaczyć sztuki, jakie pokazywano, gdy uliczny chłopiec, zawadyak, nie mogąc przed nimi widzieć, rzekł do Leona, popychając go: — Ustąp się stąd, ślepak! Leon zarumienił się od gniewu, i spojrzał nań groźną miną. — Ustąp że się, galganie, mówił jeszcze ulicznik. Leon wytrzymać już nie mógł, usiłował już wydobyć rękę z objęć Juliana, chcąc ukarać policzkiem owego zuchwalca; biedny Julian nadaremno mówił Leonowi: — Dla miłości Pana Boga, przebacz temu co cię obraził, Leon nie słuchał go, i wyrwawszy się Julianowi, zabierał się do ukarania napastnika, który także nie ustępując kroku, gotów był do walki, a widzowie w koło rozstąpili się, aby im zrobić miejsce... W tem Leon spostrzegł list ojca, który mu wypadł

z kieszeni, gdy się szamotoł z Julianem, wydobywając mu rękę... na ten widok przyszedł do siebie, uspokoił się: podjął list z uszanowaniem, spojrzał pogardliwym okiem na napastnika, wziął znowu za rękę małego ciemnego, i z zimną krwią stanął na tem samym miejscu. Ów zaś niegodziwiec, sądząc że Leon boi się, drażnił go, nowe miotając nań obelgi; chciał on koniecznie bić się z nim, i dla tego szukał zaczepki, i byłby go już uderzył... gdyby nareszcie przybyły dozorca policyjny, nie wziął był za kołnierza kłótnika, i nie zaprowadził do aresztu, za to że napastował niewinnego i spokojność mieszał. Widzowie pochwalili ten czyn wymiaru sprawiedliwości, przybył też i dziadek, właśnie w chwilę kiedy chwalono postępek jego wnuka. — „Oh! jaki to już roztropny, jakby dojrzały mężczyzna” mówili starzy. — „To świętobliwe dziecko,” powtarzały niewiasty. — „Pewny jestem,

że Leon byłby zwyciężył“ mówili między sobą mali chłopcy.

— Nie wiem czy będę urzędnikiem, lub sędzią, ale tego jestem pewny, mówi Kazio, gdy wracali z jarmarku, że gdybym był czy tym czy owym, umiałbym pełnić dokładnie swoje obowiązki.

Leon powracając, opowiadał swym braciom spotkanie z chłopcem ulicznym, i skąd między niemi do zwady przyszło, tudzież jak się ta sprawa zakończyła, co Staś wysłuchawszy rzekł:—Musi być bardzo dobry człowiek ów dozorca, który się ujął za Leosiem, nieprawdaż dziaduniu?

DZIADEK.

— Dozorca dopełnił swego obowiązku, to jest przestrzegania publicznego porządku, spokojności i bezpieczeństwa; toż samo uczyniłby z Leonem, gdyby widział że niewinnych napastuje i daje powód do kłótni i zamieszania. Widzicie, moje dzieci, jak wszędzie potrzebna jest

zwierzchność, któraby opiekowała się ludźmi, nie dopuszczała iżby jedni drugich krzywdzili.

JAŚ.

— A jakby Leoś okazał się mocniejszy od owego chłopca, wtedy samby go zwyciężył i sprawiedliwość sobie wymierzył.

DZIADEK.

— Samemu sobie wymierzać sprawiedliwości nie wolno, bo wszyscy żyjemy pod prawem, pod władzą do której ten wymiar należy; ktoby jój nie uznawał, i sam sobie uczynić chciał ten wymiar, zasłużyłby tem samem na karę.

JAŚ.

— A dla czegożby nie wolno było wymierzyć sobie samemu sprawiedliwości, kiedybym ja n. p. chciał uczynić jak najlepiej?

DZIADEK.

— Mogłoby to nastąpić wtedy tylko, kiedyby dobrowolnie przystał twój prze-

ciwnik; inaczej zaś i on mógłby zechcieć tegoż samego co i ty, i możeby równą twojej miał słusność, a tak upieralibyście się bez końca. Jeżeli więc dwaj zgodzić się między sobą nie mogą, wypada aby ich trzeci rozsądził i pogodził.

JAS.

— A to prawda, to właśnie dziadunio rozsądził Kazia z Leosiem, kiedy się sprzeciali który kolor jest piękniejszy, zielony czy czerwony.

Pod wieczór, dziadek z wnukami poszli odwiedzić księdza Proboszcza, który zobaczywszy ich, po przywitaniu, rzekł: — Domyślam się, że pewno ciekawi będziecie oglądać dalej obrazki królów, chętnie je wam pokażę, i wyjąwszy tekę tak mówił:

— Oto jest *Mieczysław II* zwany *gnusny*, który po Bolesławie chrobrym na tron wstąpił. Zwyczajem było w owych wiekach dawać królom przezwiska, ten którego widzicie, moje dzieci, zasłużył

je-sobie wcale niepochlebne; bo też jednych tylko Pomorzanów buntujących się uskromił, a innym bezkarnie kraj napałstować dozwolił. Umierając zostawił małoletniego syna Kazimierza, a więc rządy państwa objęła żona Ryksa. *Ryksa* pogardzając Polakami, wielce się im naprzykrzyła, i zabrawszy skarby i syna do Niemiec wyjechała, r. 1010.

Po odjeździe Ryksy było *bezkrólewie*, to jest nie było króla, a zatem panowało wielkie zamieszanie w kraju, nie było ani rządu, ani sądu, wiele ludzi porzuciło religią chrześcijańską a wróciło do bałwochalstwa. Czesi zabrali Szląsk, który od owego czasu przestał należeć do Polski. W tak wielkim nietadzie, Polacy umyślili prosić będącego za granicą Kazimierza królewicza, aby przybył i tron objął. Mówią że Kazimierz był w klasztorze, i trzeba było prosić papieża żeby mu wrócić pozwolił, co gdy nastąpiło, przybył *Kazimierz*, objął rządy, spokoj-

ność w kraju przywrócił, buntujących się, przy pomocy Jarosława księcia Ruskiego, do postuszeństwa przymusił i w Gnieźnie królem się koronował, a zamieszkawszy w Krakowie, uczynił je stolicą państwa. Nazywają go *odnowicielem* państwa, gdyż je z nietadu wydzwignął.

Po Kazimierzu dostał się tron *Bolesławowi śmiałemu*, synowi, który dopiero lat 17 mając, Węgrów zwyciężył, króla im na tron przywrócił, Czechów nachodzących pokonał, Prusaków napadających uskromił, Ruś zakłóconą uspokoił i z tych wypraw wróciwszy królem się koronował r. 1070.

Wyprawiwszy się powtórnie dla pogodzenia zwaśnionych między sobą książąt Ruskich, gdy za długo wojsko za granicą trzymał i sam się na rozpustę oddał, a opuszczony od żołnierzy skrycie do własnych domów uciekających, gdy do kraju powrócił i w zemście okrócieństw się dopuszczał a sam rozpusty nie zaprzesta-

wał, upominany o to przez Ś. Stanisława biskupa krakowskiego, własną ręką go przy oltarzu zabił. Za to wzgardzony od narodu, uszedł za granicę i na pokucie życia dokonał.

Następcą jego był brat, *Władysław Herman*, nieudolny monarcha, najwięcej spuszczał się na swego ulubieńca wojewodę Sieciecha, który wprowadzie Pomorzaków i Prusaków zwyciężył, ale dumą i gwałtownością, oburzył obywateli, i kłopotu królowi narobił. Za tego króla żydzi w Polsce osiadać zaczęli.

Włodzimierz Wielki, książę Rossyjski, idąc za owoczesnym zwyczajem, swe obszerne państwo podzielił między 12 synów, z czego wynikły między tymi książętami niezgody, i kraj wiele stąd ucierpiał. Światopełk, przybrany syn Włodzimierza, wezwał na pomoc przeciwko swym braciom Bolesława chrobrego, toż samo uczynił potem Izasław; dla tego Polacy wmieszali się w wojnę z Rossyja-

nami. *Wielki Książę Jarosław* czyli *Dymitr*, podźwignął wprawdzie potęgę państwa, przywrócił utracone w domowej wojnie kraje, ale umierając znowu państwo między synów podzielił, a lubo zalecał im jedność i zgodę, nieustały jednak niesnaski, zaburzenia i klęski dla kraju. Kijów, do owego czasu stolica państwa, sławne wielkością i bogactwem, za panowania Wielkiego Księcia Andrzeja, podczas domowej wojny zdobyte 1169 roku i zniszczone, nigdy już swój świetności nie odzyskało i stolicą być przestało.

Na tem ksiądz proboszcz przestał, dzieci życzyły mu dobrej nocy, i wracały do domu. Przechodząc przez rynek miasta, zobaczyły przed budą zawieszony wielki obraz, wystawiający dzikiego człowieka.

— Czy to rzeczywiście są tacy ludzie? rzekł zdziwiony Leon.

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu, ale nie w Europie.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, co to jest Europa?

DZIADEK.

— *Europa* jest najmniejsza, ale najoświeceniwsza część świata. Urodzajnością ziemi, zdrowym klimatem, przemysłem mieszkańców, ich biegłością w pięknych sztukach i w naukach, a nadewszystko chrześcijaństwem, którego dobroczynna nauka przyczynia się do szczęścia ludzi, Europa przewyższa wszystkie inne części świata. W Europie rodzi się zboże, wino, różnego rodzaju owoce, są w niej kopalnie cyny, ołowiu, żelaza, a nawet srebra i złota, Ludzie w niej są biali. Polska i większa część Rosyi jest w Europie, a my jesteśmy Europejczycy.

Dzieci chciały wstąpić zobaczyć dzikiego człowieka, ale już było zapóźno... przyrzekł im dziadek że ich innym czasem zaprowadzi.

NIEDZIELA DWUDZIESTA PIERWSZA:



Dziadek nie widząc o zwykłej godzinie wstających rano dzieci, poszedł do ich sypialnego pokoju, aby im naganić ospałość, ale gdy wszedł, uderzył go tam zbyt ni zapach róży i innych kwiatów.—O! nieroztropne dzieci, zawołał otwierając okna.

— Nie gniewaj się na nas, dziaduniu, bo wszyscy chorzy jesteśmy.

— Wierzę temu, moje biedne dzieci! od tych kwiatów mogłybyście poumierać wszystkie.

— Jak to, dziaduniu? zapytał Kazio:

— Kwiaty w wodzie stojące i rośliny na gruncie się znajdujące, w nocy wydają z siebie bardzo wiele szkodliwych wyziewów. Złe zrobił kto zamknął dwa okna w gorze nad waszemi łóżkami, przez co zatamował się wolny odptyw powie-

trza... To pewno Małgorzata, gdy wam przyniosła te kwiaty... Pewno wam powiedziała że niezdrowo jest kiedy otwarte są okna, gdy tymczasem, jeżeli chcemy oddychać zdrowem powietrzem i być zdrowi, starać się trzeba aby zawsze odświeżało się powietrze: kiedy zostajemy długo w pokoju, psujemy powietrze oddychaniem i wydawaniem ze swych płuc niezdrowego powietrza; pamiętać także należy tak gasić świece i lampy, iżby się z nich swąd nie rozchodził, i naczynie nocne zamykać w miejscu na to przeznaczonem; bo gdybyśmy zabrali w siebie wszystko ożywcze powietrze z pokoju, wkrótcebyśmy potem pomarli. Moje dzieci, można przeżyć noc bez jedzenia; ale nieprzeżyje się bez oddychania; oddychać zaś, jest to wydawać z siebie powietrze niezdrowe, a brać w siebie powietrze zdrowe. Jakże blade jesteście! ubierajcie się prędko i wychodźmy stąd,

lepiej wam zaraz będzie na otwartém powietrzu.

Był to ostatni dzień jarmarku. Tu szarlatan sprzedawał pomadę pomagającą mającą do rośnięcia włosom, i olejek na uśmierzenie bólu zębów i zdrowe ich utrzymanie: ciekawym pokazywał swoją żonę mającą bardzo piękne włosy i najpiękniejsze zęby: on zaś, dla tego, jak mówił, był łysy i ledwo gdzie niegdzie miał w gębie pieńki zębów, że zbyt często, dla pokazania tego szacownego lekarstwa, używał go. Głupi więc ludzie cisnęli się i bardzo drogo płacili za stoik pomady z wołowego szpiku, za małą flaszeczkę lada jakiejś wódki i za wielki afisz wykazujący niezliczone ich skutki.

Daléj wróżka przepowiadała ciekawym ich szczęście lub nieszczęście przez małą trąbkę blaszaną, której koniec do ucha im przykładała. Staś chciał już przybliżyć się do niej, gdy zatrzymawszy go za rękę dziadek rzekł: — Wstydź się! czy

dziecko mające religię, może przypuścić aby nędzna kobieta, więcéj niż Bóg sam, wiedziała? Nasza przyszłość nie może być zapisana na kartach, które ta kobieta ciągnie, bo ona zależy od nas i od okoliczności. Bóg nagradza dobrych, a karze złych, dla tego że od ich woli zależy czynić dobrze lub źle. Jeżeli sądzisz że z góry czeka nas jakie przeznaczenie, tedy powątpiewasz o dobroci i sprawiedliwości boskiej.

Staś wyznał, że się nie zastanowił nad tem co miał uczynić; i zawstydzony swem głupstwem, dał biednemu starcowi pieniądze, które był przeznaczył dla wróżki.

— Dziękuję zacnemu kawalerowi, rzekł starzec; Bóg mu pobłogosławi.

— Moje dziecko, rzekł dziadek, ten człowiek powiedział ci lepszą wróżbę, aniżeli powiedziełby mogła ta bałamutka: bo Bóg błogosławić będzie temu, kto ubogich, biednych wspiera i ratuje... — Właśnie gdy kończył tę mowę, przyszedł

dozorca, wypędzić z miasta wrózkę, stosownie do rozkazu burmistrza, i zagroził jej aresztem, jeżeliby nie zaprzestała dopuszczać się takiego ludu oszukaństwa.

Trąby i kotły oznajmiły paradę. Dzieci biegly śmiać się z figlów Pajaca; a gdy wezwał gmin aby wszedł dla zobaczenia *pysznego dzikoluda*, dziadek kupił bilety przy wejściu.

Zastali człowieka czarnego z kędzirowatemi włosami na głowie; był nagi aż po pas, przepasany grubym łańcuchem, którego koniec przykuty był do kowadła; przechadzał się przed widzami okazując dzikie miny, a lud bawił się, rzucając mu kawałki mięsa i kamyki chwyciwszy mięso, krył się z niem za słupy i tam ryczał, mruzczał, niby zwierzę głodniały, wracał znowu, twarz sobie krwią powalawszy. Na ten widok spektatorowie klaskali w ręce z uciechy i przestrachu. Jeden tylko człowiek między widzami uśmiechał się ze wzgardą;

wyszedł prawie razem z dziadkiem, i przybliżywszy się do niego, rzekł uprzejmie. — Ten mniemany dzikolud, urodził się o kilka mil stąd; uczernił sobie ciało odwarem z galasu; wyuczył się naśladować głosy zwierząt, i wyrabiać nadzwyczajne miny, połykać małe, okrągłe kamyki, podobnie jak dzieci połykają pestki z wiśni, mazać sobie twarz surowem mięsem, które tam porzuca za słupami, gdzie zamiast niego wzięwszy kawałek gotowanego mięsa, powraca i zjada je w obec widzów. Nie wiercie moje dzieci, dodał uprzejmie, tym wszystkim oszustom i w te sprzedawane przez nich nadzwyczajne lekarstwa: są to wszystko szarlantani, kuglarze, którzy się z was naśmiewają i waszym kosztem żyją. To powiedziawszy pokłonił się i odszedł.

— Gniewam się sam na siebie, że się dał oszukać, rzekł Kazimierz.

— Oj to prawda! że śmiać się trzeba, rzekł Leon, i nie dać się drugi raz oszu-

kać takim ludziom. — W jakiej to części świata są ludzie takiego koloru, jak człowiek, któregośmy oglądali?

— Tacy ludzie rodzą się we wszystkich częściach świata, prócz Europy. Wiedzieć się także dają w Azji.

— Mój dziaduniu, co to jest Azja? zapytał Kazio.

— Azja jest to największa z pomiędzy dawnych części świata, odpowiedział dziadek; równa się ona niemal Europie i Afryce razem wziętym. Azja, zamieszкана była przez ludzi wprzód niż inne części świata, w Azji to działy się wielkie wypadki, o których jest mowa w Piśmie Świętem, i tam się spełniły tajemnice religii chrześcijańskiej.

Azja wydaje zboże, ryż, wino, owoce wyborne, rośliny pachnące, drzewo pachnące, pachnidła i szacowne przyprawy, korzenie. Z tej także części świata, sprowadzają złoto, srebro, perły, kosztowne kamienie, stoniową kość, kawę, ka-

dzidto, herbatę i słońce, pierwotnie z tego kraju pochodzące.

Azyanie zamieszkujący części północne mają skórę na ciele białą, jak Europejczycy, kiedy tym czasem mieszkańcy Azji południowej są czarni.

KAZIMIERZ.

— Czy Azyanie mają takie prawa, jak my Europejczycy?

DZIADEK.

— Mają wprawdzie, ale nie tak doskonale jak u nas: zresztą jak u nas w Europie tak i w Azji, różne są narody, ludźy, państwa, różne jest ich oświecenie, a stąd różne mają prawa. A ponieważ doskonałość praw różnych ludów zależy od stopnia ich oświecenia, a Azyanie daleko mniej są oświeceni niż Europejczycy, stąd i prawa ich są mniej od naszych doskonałe. Nie tak ściśle szanują tam cudzą własność jak u nas, sędziowie nie mają danych sobie na wszystkie sprawy takich przepisów jak u nas, ale najczęściej roz-

sądzają sprawy, tak jak się im zdaje. U nas i możniejszym i uboższym równo się prawo opiekuje, a w Azji *kto duższy to lepszy*. U nas człowiek nad człowiekiem nie ma prawa, a tam ludzi sprzedają i kupują, podobnie jak u nas bydłota, Dla tego tam są panowie i ich niewolnicy.

KAZIMIERZ.

— Od kogoż to zależy aby ukarani byli winni a udzielona została opieka i pomoc niewinnym?

DZIADEK.

— Monarcha ustanawia różne stopnie sądów i mianuje sędziów, których obowiązkiem jest wymierzać, w imieniu monarchy, sprawiedliwość i opiekę udzielać niewinnym; do tych sądów każdy ukrzywdzony, lub sprawę do rozsądzenia mający, udawać się powinien. Do urzędów także policyjnych należy przestrzegać porządku i pociągać do odpowiedzialności sądowej tych, coby się jakiego bezprawia dopuszczali. Mniejsze przewinienia i zdro-

żności sama policya karać i zarządzać im jest zdolna, jak to np. uczyniła z chłopcem, który Leosia na rynku napastował.

I tak, *trybunał* czyli *sąd handlowy*, sędzi sprawy handlowe; zasiadający w nim sędziowie prawie wszyscy są kupcy.

Trybunał *cywilny*, rozstrzyga sprawy, wynikające z aktów ślubnych, sprzedaży, kupna, interesa tyżące się puścizny, testamentów i rozmaitych interesów w których strony same pogodzić się nie mogą.

Sąd poprawczy sędzi wykroczenia zasługujące na karę uwięzienia winowajcy.

Sąd kryminalny, sędzi wszelkie zbrodnie przeciwko bezpieczeństwu kraju i jego mieszkańcom popełnione.

Wszystkie te sądy sądzą według praw przepisanych na wszelkie rodzaje sporów lub przypadki i rodzaje wykroczeń i zbrodni, a zbiory tych praw nazywają się *kodeksami*, to jest *kodeks cywilny* zawiera prawa dla spraw cywilnych, a *kodeks karny* dla spraw na karę jako wy-

kroczenie, lub zbrodnia zasługujących. Prócz tych jest osobny *kodeks handlowy* według którego, sądzone bywają sprawy handlowe.

KAZIMIERZ.

— Mój dziaduniu, a jak się sędziowie pomylą w rozsądzeniu sprawy?

DZIADEK.

— Jeżeli kto przegra sprawę w Sądzie spornym lub w Trybunale handlowym i czuje się być pokrzywdzonym, wolno mu jest odwołać się od tych sądów i wytoczyć sprawę już to do Trybunału pierwszej instancji, już do sądu apellacyjnego.

KAZIMIERZ.

— A co to jest obrońca lub adwokat?

DZIADEK.

— Nie wszyscy obywatele i mieszkańcy krajowi znają dobrze prawa i przepisy do którychby na swoją obronę odwołać się mogli; inni nie potrafiliby należycie przedstawić swęj sprawy sądowi, al-

bo wreszcie nie mieliby czasu i sposobności sami dopilnować się i bronić swęj sprawy w sądzie, dla tego ustanowieni są obrońcy, którzy się tego wszystkiego podejmują. Są to zwykle ludzie dokładnie prawa krajowe znający i urzędownie do stawania w sądach i bronięcia spraw umocowani. Nazywają się oni, według różnych stopni: obrońcy, Patronowie, Adwokaci i Mecenasowie.

Wracali do domu powoli, używając przyjemnego chłodu, w czasie letniego wieczora, a w tem Jaś zawołał: O! jak gwiazda leci!

STAŚ.

— Małgorzata mówi, że to dusza ulatuje do raju.

LEON.

— Jak też ta Małgorzata jest głupia! Alboż nie widziałeś że gwiazda spadała na ziemię, zamiast wzlatywać ku niebu?

DZIADEK.

— To co widzicie spadające lub wzno-

szące się w górę, nie jest gwiazda, moje dzieci; jest to płyn elektryczny który przebiega po powietrzu tworząc iskry.

NIEDZIELA DWUDZIESTA DRUGA.



Zachowywano w domu jakąś tajemnicę; Małgorzata siedziała w kuchni, nigdzie nie wychodząc, Julian ubrał się w najpiękniejsze suknie, dzieci nie pokazywały się, już daleko było w dzień... Dziadek nic z tego wszystkiego nie pojmując, umyślił przejść się trochę po ogrodzie, ledwo wyszedł, aż Małgorzata wołać zaczęła:—Panie! Panie! śniadanie już zastawione!

— Bardzo dobrze! rzekł, wracając się natychmiast. Potem wszedł do sali jadalnej, i zastał tam dzieci, które mu, każde od siebie, ofiarowało bukiet; i Mał-

gorzata także złożyła bukiet (był to okazały paszтет), i wszyscy dziadkowi złożyli powinszowania.

— Dziękuję wam, moi przyjaciele, rzekł im ze łzami w oczach; ale jakżeście się dowiedzieli, że dziś są moje imieniny?

— Szukaliśmy w kalendarzu, odpowiedział Stasio, dziadunio ma bardzo piękne imię. Ale, co to jest święty? mój dziadunio.

— To imię *Święty* dano ludziom, którzy poniosłszy śmierć za swoje obowiązki lub swoją religią, stali się godnymi używania wiecznej chwały w Niebie. Powinniśmy uwielbiać i naśladować cnoty świętych; modlitwy zaś do Boga samego zasyłać należy.

W tej chwili wszedł człowiek do sali jadalnej. Był to Wojciech, kowal z tej samej wsi.—Jak się masz, Wojciechu, rzekł do niego dziadek; dziś są moje imieniny, spodziewam się, że zechcesz wypić za moje zdrowie?

WOJCIECH (*siadając*).

— Całym sercem, zdrowie Pana Kapitana! Dziś rano idę do miasta, opłacić podatek, może Pan Kapitan będzie miał co do polecenia mi?

DZIADEK.

— Nie; dziękuję ci, mój Wojciechu, nie mam żadnego sprawunku ani interesu. Nigdy nie zalegasz w podatkach; mój przyjacielu, uważam że jesteś bardzo porządnym obywatelem...

WOJCIECH.

— Ani słowa!... takim być powinienem. Mam dom, stan, powinienem płacić rządowi... zresztą, rząd też oddaje mi sówicie! Dzięki szkołom publicznym, moi synowie umieją czytać, pisać i rachować. Miałem sprawę, sądy wymierzyły mi sprawiedliwość. Mamy wygodne drogi, mosty, sploty dla handlu; szpitale, gdy zachorujemy. Jeżeliby kto z obcych wypowiedział nam wojnę, mamy wojsko które bronić nas będzie... A wreszcie miło

jest widzieć piękne budowle dla wygody publicznej, porządek i bezpieczeństwo osoby i majątku.

Wstali od stołu, Wojciech podziękował Kapitanowi za dobre przyjęcie, a Kapitan nawzajem podziękował mu za życzliwość, razem z Wojciechem wyszedł kapitan, a z nim dzieci na podwórze. — Jakież to upa! zawołał Jaś, który zapomniał wziąć kaszkiecika; a to słońce tak dopieka, jak gdyby było tuż nad naszymi głowami.

— A z tem wszyskciem, jest ono nie równie dalej od nas w lecie, aniżeli w zimie rzekł dziadek; lecz w zimie rzuca na nas swe promienie z boku, kiedy tymczasem w lecie padają one na nas prawie prosto z góry. Lękam się abyś nie dostał zapalenia mózgu, moje dziecko; zniwiarze i podróźni często podlegają podobnym przypadkom: z tego pochodzi pomieszanie zmysłów, i śmierć następuje.

Zyczyli szczęśliwej podróży Wojciechowi i powrócili do domu.

— Czy są części świata, w którychby były takie upały jak w Europie? pytał się Jasio, głowę sobie nakrywszy.

— Tak moje dziecko; np. *Afryka* jest najgorętsza część świata: jest ona większa od Europy, i zawiera wiele pustyń na których są lwy, rysie, nosorożce, bawoły, słonie, małpy i dzikie osły. Po nad brzegami rzek są tam ogromne węże, krokodyle i niebezpieczne zwierzęta. Najosobliwszymi ptakami w tej części świata są: struś, pelikan, orzeł, paw, papuga. Afryka wydaje różnego rodzaju owoce; ma kopalnie złota; tam chowają się najpiękniejsze konie arabskie. Afrykanie są lud czarny, pogrążony w najgrubszej ciemności, nic oni nie znają ani wiedzą o tem, co się przyczynia do obyczajności człowieka.

— Jakby się oni mocno zdziwili, gdy-

by przybyli do nas, rzekł Kazio, gdyby zobaczyli nasze porządki, nasz rząd!

— A cóż dopiero gdyby się przypatrzyli naszym mieszkaniom, ubiorom, naszym wygodom, naszemu życiu i zarządowi naszego kraju, mówił dziadek. Kiedy u nich żyją kupy ludów, jak trzody owiec bez stałych zamieszkań, bez wsi, bez miast, jedni na pół okryci, drudzy zupełnie nadzy; kiedy każda kupa ledwo jednego mając naczelnika, przenosi się się z okolicy w okolicę, gdzie łatwiej znaleźć pożywienie, bo tam nikt prawie nie ma własnego gruntu, i rzadko tam ludzie trudnią się uprawą niektórych roślin, — tymczasem u nas, najnniejszy kawałek ziemi ma swego właściciela, który go uprawia, zasiewa: mieszkamy wszyscy w miastach lub wsiach i osadach, a każdy trudni się już to gospodarstwem wiejskiem, już rzemiosłem, handlem; już trudni się nauką lub jest urzędnikiem, żołnierzem, księdzem, i t. d.

Cały nasz kraj podzielony jest na gubernie, w których rządzą gubernatorowie, gubernie dzielą się na gminy, których rządcami są wójei. Najniższy z tych urzędników odbiera rozkazy od wyższego, ten znowu od swego zwierzchnika, od gubernatora, gubernator od ministra. Takim to sposobem wykonywa się zarząd naszego kraju; mniej więcej podobny jest porządek we wszystkich krajach europejskich, krajach zamieszkałych przez ludy ucywilizowane, a czego bynajmniej nie znają ciemne, wpół dzikie ludy afrykańskie.

— Był wielki upał, dzieci powróciwszy z podwórza wypoczywały, gdy przyszedłszy ułan, o którym mówiliśmy wyżej, powiedział, że przed niejakim czasem, przestraszeni zostali mieszkańcy wsi widowskim człowiekiem, który odziany wilczą skórą, biegał i przeraźliwie krzyczał.

— Ach! to pewno był *człowiek opętany*, rzekła poważną miną Małgorzata;

trzeba tylko upuścić mu trochę krwi, a djabeł opuści jego ciało.

— A więc, moja kobieto, nie przestałyście jeszcze wierzyć w djabły, rzekł ułan z uśmiechem; tak to było niegdyś, ale teraz już djabeł wie że nicby z ludźmi nie poradził, dla tego już ich nie nagaba ani się im nawet pokazuje. I my też w niego nie wierzymy.

Starucha odeszła zagniewana; powtarzała sobie: *nie ma djabła, moja kobieto!*

— Zgodzi się pewno na to Pan Kapitan, mówił dalej ułan, że *nie krwi tu upuszczenia* trzeba temu człowiekowi, ale zaraz go przytrzymać, aby się przekonać czy to jaki waryat lub też złodziej. Taka jest moja rada, i takby sobie postąpić z nim należało, bo pewno i tój nocy zechce tak samo biegać i krzyzczeć, jak już kilka razy czynił.

— Dobrze! dobrze! zawołały wszystkie dzieci, i my pójdziemy na obławę.

— Tak więc zrobimy, mówił ułan,

Staś z Jasiem, zasadzą się przy wejściu w ulicę, za parkanem z jednej i drugiej strony i trzymać będą powróż wyciągnięty w poprzek ulicy. Kazio z Leonem zasadzą się podobnie z powrozem przy końcu ulicy. Ja z Kapitanem zasadzimy się w środku. Pierwsi którzy usłyszą idącego do nich opętanka, spuszczą powróż, pozwalając mu przejść, a skoro opętaniec przejdzie, podniosą powróż i trzymać będą w kolano wysoko. Drudzy, z przeciwnej strony, w tej samej wysokości trzymać będą swój powróż, aby przezeń wywrócił się opętaniec, jeżeliby, przypadkiem wymknął się nam i uciekał. Czy zgadzasz się Pan Kapitan, na taką moją zasadzkę na nieprzyjaciela nocnej spokojności?

— Bez wątpienia! odpowiedział dziadek. Tego wieczora... o dziesiątej godzinie... Ale nadewszystko, nie trzeba powiadać nikomu o tej naszej znowie!

A zatem, o dziesiątej godzinie, gdy ka-

zdy znajdował się na umówionem miejscu, usłyszano krzyczącego zdaleka: *Hu! hu! hu!* Jaś i Staś, z razu ułękli się trochę, gdyż noc była bardzo ciemna... nabrali jednak odwagi; a ponieważ opętaniec właśnie nadchodził z ich strony, podnieśli więc powróż gdy przeszedł.

Opętaniec szedł dalej, wyjąc; wtedy dziadek i ułan przyskoczyli aby go schwycić; lecz gdy już sądzili że go mają, on tymczasem wymknął się, wilczą skórę w ich rękę zostawiwszy, i uciekając upłatał się w powróż trzymany przez Kazia i Leosia, i upadł.

Leżał jak długi, twarzą do ziemi, gdy nadbiegli Kapitan, ułan i mali ich pomocnicy. — Wstań nic ci złego nie zrobimy, mówili mu, w koło go obstąpiwszy.

OPĘTANIEC (*leżąc twarzą do ziemi*).

— Przebacz! przebacz! już on tego nigdy nie uczyni!

DZIADEK.

— Kto?

OPĘTANIEC.

— Waryat, biedny waryat, jak go nazywają.

DZIADEK (podnosząc go).

— Cóż to jest, to ty chłopcze! czemuż ty o téj porze nie spiszesz?

Waryat, po cichu, obejrzawszy się lekliwie okolo siebie.

— Dla tego że matka we dnie mnie zamyka, a ja lubię biegać (śmieję się). Otoż więc wybiegam w nocy, gdy ona zaśnie. Ale nie powiadaj jéj że to ja straszę udając *wilkołka*, bo wybiłaby mię (placze); dałaby mi jeść suchy chleb (placze łkając).

DZIADEK.

— Uspokój się, mój chłopcze, my cię odprowadzimy do matki, którą ja zagożdę, aby cię nie karała.

Waryat, całował wszystkich z kolei, szedł z nimi, nogi powłócząc. W drodze, wyrabiał im różne psoty, zaczepiał każdego złośliwie, upodobał sobie szcze-

gólniej płać figle Leonowi, skubał go, zrzucając mu czapkę, popychał go, żeby upadł.—Przebaczam ci, mówił Leon, ruszając ramionami, i nie tracąc cierpliwości. Lecz, dla Boga! jakże to złośliwi są ludzie gdy rozum utracą!

Biedna matka, przestraszona mniemanym *wilkołkiem*, nie spała; obiecała odtąd dawać lepsze baczenie na swego syna. Niestety! nie było żadnej nadziei, aby mógł kiedy rozum odzyskać; pomieszanina jego przyczyną było upadnięcie na głowę, gdy był przy piersiach; biedna wdowa płakiwała co dzień, gdy wspomniata, że nie chcąc go pilnować należycie z małeńka, przymuszona była teraz pielegnować go jak dziecko do śmierci.

Potem już cała wieś spokojnie spać mogła.

NIEDZIELA DWUDZIESTA TRZECIA.



Dziadek, z fuzyą pod pachą, wszedł bardzo rano do pokoju swych wnuków, mówiąc:—Idę na polowanie: *kto mię kocha pójdzie ze mną.*

— Ja! ja! dziaduniu; zaczekaj tylko na nas, zawołali, co żywo się ubierając. Jeden włożył na odwrot pończochy, drugi spodnie; ten wziął tego a ów innego kurtkę, śmieli się do rozpuku; pies skakał między nimi z radości... ale nie spuścił z oka fuzyi, którą dziadek postawił w kącie. W końcu, najpierwsi, którzy się zdążyli ubrać, poszli do sali jadalnej, gdzie Leon wszedł z fuzyą na ramieniu, i stanąwszy przeciwko dziadka;—Na ramię... broń! nabij... broń! cel... pal! rzekł celując do serca.

— Chłopcze nieroztropny! zawołał dia-

dek, a gdyby fuzya była nabita, bybyś mię zabił...

(Leon z przrestrachem postawił fuzyą).

— Ale byłaby w tem równie moja jak twoja wina, rzekł; bo nie należy zostawiać nigdy pod ręką nabitą broni, a nade wszystko pod ręką dzieci. Stąd to codzień zdarzają się nieszczęsne przypadki. Jeden syn zabił swoją matkę, a brat swoją młodą siostrę, przyjaciel jednego z pomiędzy swych najlepszych przyjaciół; a to żartem.. Ileż to narabiają sobie przez to ludzie zgryzot, na całe życie!

— Ach cóż ja zrobiłem nieszczęsny! rzekł Leon, kryjąc twarz w objęciach dziadka: mój dziaduniu, nie mów już nic, proszę cię!

Wkrótce ruszyli w drogę, a z nimi Julian, niosąc przekąski, pies za nimi. Kazimierz niósł fuzyą. — A więc wolno polować, mój dziaduniu, zapytał się, idąc.

— Tak, moje dziecko. Niegdyś polowanie było koniecznie potrzebne, bo trze-

ba było postarać się o pożywienie i okrycie; mięso ubitych zwierząt służyło za pokarm, a skóra za okrycie. Później wypadło niszczyć zwierzęta, robiące szkody w zasiewach. Teraz zabijają się tylko szkodliwe zwierzęta, a pozostawia się takie, które być mogą użyteczne. Dawniej polowanie dozwolone było tylko wielkim panom, jako rozrywka, a bardzo surowo zabronione wieśniakom, i uboższym ludziom, którym nie wolno było strzelać choćby im dzikie zwierzęta robiły szkody w polach i ogrodach. Teraz wolno każdemu polować, ale tylko w przepisany czas, i tylko ła swoich gruntach, i niewolno przywozić na targ do sprzedania zwierzyny ubitej w zakazanym czasie. Czas pozwolony do polowania zaczyna się od 1 września i ciągnie się aż do 1 marca; wszakże szkodliwe, drapieżne zwierzęta jakoto: wilki, lisy, jastrzębie, zawsze wytępiać wolno, i nawet za uбиение ich nagrody są przeznaczone. Ma

się rozumieć że na cudzych gruntach, bez pozwolenia ich właściciela, nigdy polować nie wolno; bo zwierzyna ma pewną wartość, a zatem jest własnością tego na czym znajduje się gruncie. Z tem wszystkiem, ponieważ polowanie jest rozrywką, do której namiętnie przywiązać się można, a wtedy ta rozrywka zabiera drogi czas i pociąga za sobą wielkie wydatki, przeto nie radzę wam, moje dzieci, abyście nabierać miały do niej upodobanie.

W téj chwili, gdy się do nich przyłączyli notaryusz, chirurg i pewien młody myśliwy, poszli razem wszyscy ku małemu laskowi do którego sami owi panowie weszli; dziadek ze swymi wnukami woleli pozostać pod lasem, aby czatować na zwierzynę, któraby się tamtym wymknęła.

Niebawem wybiegł zajęc, dziadek zmierzł do niego, strzelił, a razem prawie ze strzałem Lody puścił się za zajęcem,

i przyniósł go w tryumfie przed nogi swego pana.

— Oh! biedny! zawołał Stasio, jeszcze się rusza; jak to przykro patrzeć!

— No! i cóż z tego, rzekł Leon, wszak to jest zwierzę!

— Prawda, odpowiedział Stasio, i koń młynarza był także zwierzę, a przecież płakałeś widząc jak zdychał. Koń, zając, mucha, czują ból równie jak my, bo mają krew jak i my... Patrz tylko, nieprawdaż?

— Prawda odpowiedział Leon; ale jakże ty chcesz? na polowaniu, tak samo jak na wojnie, człowiek źle czyni, nie wiedząc o tem... Uspokój się, rzekł, zając nie czuje już bólu; już zdechł.

Dawno już oczekiwał dziadek na nową zdobycz, gdy w tem słyszeć się dał wystrzał...potem krzyk żałosny.. Przestraszony dziadek porachował swe dzieci, które były wszystkie czworo. Lecz biedny Julian, gdzież on był? cóż się z nim stało?

Ujrzeni go wracającego, pobladłego, zekrwawionego, prowadził go Lody; w tejże chwili ów młody myśliwy, prędko wybiegłszy z lasu, zawołał „Kogoż to ja postrzelilem?“

— Mnie, panie, odpowiedział Julian; ale ja sam temu winien że jestem ślepy.

— Biedny chłopczyno! ja to powinienem był widzieć ciebie! Nie będę polował, póki życia mego! rzekł, odrzucając od siebie fuzyą, i trzymając w swym ręku Juliana, który przytomność tracił.

Przybiegli i inni myśliwi; obstąpili biednego ciemnego, rozebrano go; chirurg zapewnił że nie zagraża niebezpieczeństwo, ale ponieważ nabój strzaskał mu ramię, trzeba więc prędko zanieść go do domu.

Związali chustkami cztery fuzye, dwie wzdłuż a dwie w poprzek; każdy zdjął z siebie suknie, aby nakryć ten gatunek noszów, na których położono ostrożnie Juliana, i czterej myśliwi ruszyli do wsi.

Pies szedł smętny za nimi, mali wnukowie kapitana przystępowali kolejno, brali za rękę kalekę, mówiąc: — To ja, mój Julku; a Julian, poznając ich po głosie, ścisnął każdego rękę w milczeniu, taki bowiem cierpiał ból iż odpowiadać im nie mógł.

Gdy przybyli do domu, chirurg wydo był ziarna szrotu, opatrzył ranę, i zaleciwszy aby zostawiono spokojnie chorego, wyszedł z myśliwymi.

Smutny to był dzień dla dzieci. Usiadłszy do obiadu jeść nie mogły. — Kiedy pomyśle, rzekł Kazio, że biedny Julian mógł być zabity!

— Tak, niestety! odpowiedział dziadek, prawie zawsze zdarzają się przypadki na polowaniu, nie wyliczam ich, bo często o nich usłyszycie.

— Piękna mi to zabawka! powtarzał Leon; gdyby przynajmniej upędzono się za wilkami lub dzikami, niczym nie mówić... ale zabijać niewinne, biedne zwie-

rzątka, a częstokroć i ludzi, bez zamiaru... bo młody myśliwy nie mógł widzieć Juliana siedzącego za krzakiem; a Julian też, choćby miał obadwa oczy, nie mógłby widzieć młodego myśliwego, gdyż tyłem do niego był obrócony.

Ledwo wieść o tem doszła do domu Państwa Dobrzańskich, kiedy natychmiast przybył Murzyn przystany z szarpami od swjej młodej Pani, i z zapytaniem: jak się ma Julian. Dzieci uwiadomiły o stanie zranionego, i zobowiązały Murzyna aby oświadczył ich podziękowanie Pannie Bronisławie; a gdy on pił podane sobie piwo, tymczasem chłopczyki pytali się go o różne rzeczy: — Z jakiego pochodzisz kraju? Jak tu przybyłeś? Czy szczęśliwy tu u nas jesteś? Potem gdy się Murzyn oddalił, wróciwszy do dziadka: — Ten człowiek urodził się w Senegalu, wyprowadzony został jako niewolnik, do Ameryki, skąd do Francji, a potem tu się do-

stał. — Co to jest Ameryka, mój dziaduniu? mówił Kazimierz.

DZIADEK.

— Ameryka jest czwarta część świata. Jest to bardzo rozległy ląd stały otoczony zewsząd morzem. Ameryka sama jest niemal tak wielka jak trzy inne części świata. Krzysztof Kolumb, żeglarz genueński odkrył ją 1492 roku.

— Grunt w Ameryce jest prawie wszędzie urodzajny; wydaje on plody, których większa część nieznaną jest w Europie. Kukuruza czyli turecka pszenica i maniok, głównym są pokarmem tamtejszych mieszkańców. Rodzi się tam ogromna ilość kakao, z którego się robi czekolada; z Ameryki sprowadzają cukier, tabakę, wanilję, czerwiec, koszenillę, indygo farbiarskie, bawełnę, futra; tam także najbogatsze z całego świata są kopalnie srebra i złota. Są nareszcie dyamenty i inne drogie kamienie, tudzież perły.

— Rodowici Amerykanie są koloru na

ciele miedzianego, broda im nie porasta; lecz od trzystu lat, jak Ameryka odkryta została, wychodzą francuzcy, hollenderscy i angielscy zamieszkali tę nową część świata, która obecnie postąpiła w przemyśle i we wszystkim co się przyczynia do szczęśliwości ludu, do wygody życia, tak wysoko jak najoświecześnie i najprzemysłniejsze kraje europejskie.

KAZIMIERZ.

— Ten Murzyn mówi że się dostał do Europy morzem, a jakże na morzu rozpoznać można drogę; którą płynąć wypada?

DZIADEK.

— Dawniej okręty pływały tylko trzymając się lądów i opływały tylko kraje i części świata; lecz od czasu jak wynaleziono busolę, można pływać po otwartych morzach. Busola jest igła stalowa, którą się pociera o kamień magnesowy. Potem zawiesza się tę igłę tak iżby się mogła wolno obracać; a ponieważ ma-

gnes ma tę własność że zawsze obraca się ku północy, igła więc pokazuje zawsze tę stronę świata, i tym sposobem służy żeglarzowi do kierowania okrętu. Słońce także mogłoby wskazywać drogę, ale nie zawsze ono znajduje się na poziomie. Gwiazdy również dopomagają żeglarzowi.

KAZIMIERZ.

— Mój Boże! ileż to rzeczy jest nadzwyczajnych! jakżebym ja chciał być prędko dorosłym żebym je mógł poznawać.

DZIADEK.

— Wierzę ci, mój przyjacielu. Morze np. dwa razy wznosi się i opada, płynąc od równika ku biegunom, i znowu wracając od biegunów ku równikowi: to nazywają wysokiem i niskiem morzem, czyli jego wzbieraniem i opadaniem. Przez sześć godzin morze wzbiera a przez drugie sześć godzin opada, już to popędza je księżyc już odpędza słońce.

JAS.

— To musi być bardzo niebezpiecznie, dziaduniu, jeżeli kto zbierając na brzegu morskim muszelki, zapomni się, w chwili kiedy morze wzbiera... wzbiera, co raz bardziej... Bo nie można tak prędko uciec, żeby bałwany morskie nie otoczyły i nie zalały... Aż drzę gdy pomyślę o tem!

W wieczor, gdy chirurg opatrzył znowu ranę Juliana, dzieci odeszły do swego pokoju.

NIEDZIELA DWUDZIESTA CZWARTA.



Chłopcy przyszedli odwiedzić Juliana, który żalił się im że rana boli go jeszcze i nie pozwala mu chodzić z nimi na przechadzkę. — Młody to myśliwy przyczyną jest tego wszystkiego; przebaczyć mu tego nie mogę...

— Cicho! odezwał się Staś, właśnie on nadchodzi!

MŁODY MYŚLIWY (*wchodząc z Kapitanem*).

— Mój przyjacielu! przychodzę w tój myśli, abym, ile można, naprawił ci nieszczęście, którego byłem sprawcą. Kiedyś był w szkołach w Warszawie, składałem do kassy oszczędności małe kwoty, które mi ojciec dawał co tydzień na ciastka. Studenci nazywali mię skąpym; ale ja tylko dla siebie samego byłem skąpy, pozwalałem im mówić co się im podobało, i jadłem z dobrym smakiem suchy chleb między obiadem a wieczerzą... Jakże kontent jestem teraz z owoczesnego mego postępowania: uzbierał mi się tym sposobem kapitalik od którego procent czyni rocznie 40 złp.; przyszedłem ofiarować ci go jako dowód żalu tego co ciebie z méj przyczyny spotkało.

Na twarzy biednego ślepego widać było zadziwienie.

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu, masz 1000 złp. kapitału, który możesz pozostawić na dal jeszcze w kassie oszczędności, i będziesz pobierał rocznie przeszło 40 złp. procentu, lub ulokować gdzie indziej na procent. Oto masz piśmienny dowód, że ten kapitał odtąd do ciebie należy.

Julian zdawał się pokazywać że rozumie co dla niego uczyniono. Oświadczał mu swoje wdzięczność i schował pismo pod poduszkę; dzieci uszczęśliwione małym majątkiem biednego kaleki, odeszły wybierając się na przechadzkę. Leon podał rękę Myśliwemu, już wtedy przebaczył mu. — Pożegnaj Panów, rzekł ów młodzieniec; mój ojciec chce abym odbył podróż, za nim osiedę na gospodarstwie.

KAZIMIERZ.

— Czegoż Pan uczyć się będziesz, w podróży.

MŁODY MYŚLIWY.

— Starać się będę poznać obyczaje,

zwyczaje, ducha różnych ludów, ich sztuki, umiejętności i ich rząd. Mój ojciec powiada: że podróże otwierają, obudzają i podnoszą umysł, że leczą go z przesądów, i że za powrotem, lubo teraz kocham swój kraj, jednak mocniej jeszcze kochać go będę.

KAZIMIERZ.

— Dokąd się Pan udasz?

MEODY MYŚLIWY.

— Popłynę do Anglii, stamtąd do Ameryki, następnie do Oceanii. Wysłany jestem, kosztem pewnego domu handlowego, który mię przyjmie do spółki, jak powrócę, Panowie wtedy już pewno skończycie swoje nauki, obierzecie sobie każdy swój sposób życia, zatrudnienie, stan... spodziewam się że będziemy żyli z sobą w przyjaźni. Życzę Panu dobrego zdrowia, rzekł do Kapitana. Kapitan na wzajem życzył mu szczęśliwej podróży: serdecznie żegnały się z nim dzieci, i widząc go oddalającego

się na długo, od łez wstrzymać się nie mogły.

KAZIMIERZ (po krótkim milczeniu).

— Do jakiej części świata udaje się on, dziaduniu?

DZIADEK.

— Do Ameryki, a stamtąd do Oceanii. Oceania jest piątą częścią świata, składa się ona z mnóstwa wysp leżących w południowej stronie względem Azji, licząc w to Nową Hollandyą, która jest największą wyspą na świecie, bo długością równa się Europie, a i powierzchnią mało co od niej jest mniejsza; do niej się liczą wszystkie wyspy rozproszone po morzu, które nazywa się Wielkim Oceanem.

— Płody Oceanii są ryż, pataty, kokosowe orzechy, drzewo chlebowe, banany, heban, trzcina cukrowa, korzenie, cynamon, goździki, muszkat, imbir, indygo, kamfora i bawelna. Znajdują tam dyalementy, żelazo, cynę. Jedyne do europejskich podobne zwierzęta są: świnie, ko-

ty, szczury, gołębie i kury. Widać tam kilka gatunków małp, między innymi Orangutan. Mieszkańcy oceanscy są czarni; żyją prawie nędzy, mają zwyczaj tatuować się, to jest malować sobie różne części ciała i twarz rozmaitemi kolorami; niektóre tamtejsze ludy są ludożerne, to jest jedzą ciała ludzi. Osobliwszy jest między nimi zwyczaj, to jest że na znak przywitania, dotykają się nosami. W ogólności ludy tamtejsze są bardzo okrutne.

KAZIMIERZ.

— A dla czego są okrutne?

DZIADEK.

— Ludy te okrutne są stąd że są grube i ciemne. Lubo wszyscy pochodzimy od jednego wspólnego ojca, lubo dobroć i rozum dostały się w podziale wszystkim; jednakże ludzie podobni są do ziemi, trzeba ich uprawiać. Częstość najżyźniejsze grunty stają się nieurodzajnymi kiedy nie są uprawiane, i przeciwnie

najpłodniejsze grunty, przez uprawę uczynić można najpłodniejszymi.

Przepędziwszy resztę dnia przy Julianie, prosiły dzieci dziadka, aby poszedł z nimi do księdza proboszcza.

Gdy szli przez wieś napotkał ich porządnie ubrany mężczyzna i bardzo grzecznie przywitał; dziadek ledwo rękę ściągnął do kapelusza, i obojętnie się od niego odwrócił.

Daléj, przechodził koło nich człowiek wcale biednie odziany, a dziadek, pierwszy zdejmując kapelusz, rzekł do niego, z uszanowaniem:— Sługa uniżony WPa-na Dobrodzieja!

Dzieci spoglądały na siebie z zadziwieniem, ale nie śmiały pytać się dziadka o przyczyny jego postępowania.—Do-myślałam się, moi przyjaciele, o co wam chodzi, rzekł dziadek, i zaraz się wam wytłumaczę, dla czego tak przywitałem owych dwóch ludzi. Pierwszy jest oszust, a drugi uczciwy człowiek. Kiedy chce-

cie poznać drzewo, sędzicie o niem z jego owocu a nie z jego kory, nieprawdaż?

— Tak, dziaduniu, odpowiedziały dzieci.

— Otoż tak sędzić trzeba o ludziach! mówił dalej dziadek; uważać trzeba jakie ich są czyny, jakie postęпки, a nie jaka na nich suknia, i wynagradzać ich tak jak zasługują. Zawstydzony moją wzgardą pierwszy, może się poprawi, a chluby z mego uszanowania drugi, utwierdzi się w dobrem, i starać się będzie dalej zasługiwać na szacunek. Z tém wszystkim gdyby obadwa byli w nieszczęściu, nie czyniłbym między nimi różnicy, i udzieliłbym pomoc równo obydwom...

Przybyli do księdza proboszcza, który już tekę z obrazkami na stole położywszy, oczekiwał na nich.

Gdy usiedli przy stole, wskazał ksiądz proboszcz na jeden obrazek, ręką pod nim zakrywszy podpis, i zapytał Leosia: — Kto to jest? — Władysław Herman, od-

powiedział Leos. Pochwalił ksiądz proboszcz uwagę dzieci, i tak dalej mówił:

— Jeszcze za życia Władysława Hermana, odznaczał się walecznością syn jego *Bolesław*, który po nim panował, bo nie mając jeszcze lat 20 już wojskiem dowodził i nieprzyjaciół zwyciężał. Ponieważ w dzieciństwie jeszcze wrzód usta mu trochę skrzywił, przeto nazywano go *Krzywoustym*. Król ten miał przyrodniego brata *Zbigniewa*, który nie przestając na dziele wyznaczonym mu przez ojca, chciał koniecznie odebrać tron *Bolesławowi*, szukał bezustannie u pogranicznych książąt i monarchów pomocy przeciwko swemu bratu, burzył ich, dla tego król ten niemal całe życie musiał prowadzić wojny ze wszystkimi swymi sąsiadami; wszystkich jednak zwyciężał, a szczególnie sławne odnosił zwycięstwa nad Niemcami. Pomorzanów zajął i do przyjęcia wiary chrześcijańskiej 1118 roku spowodował. *Bolesław*

Krzywousty był wielkim wojownikiem, od dziewiątego roku życia służył w wojsku, prostego prawie żołnierza pełniąc obowiązki; mężny, szczęśliwy, 50 bitew wygrał, a jedną tylko, i to przez zdradę, przegrał. Kraj wielce rozszerzył, orężem wstawit i rozkrzewieniem nauk uzacnił. W tem tylko król ten pobił, że trzymając się owczesnego zwyczaju, czując się blizkim śmierci, królestwo swoje między synów podzielił, jako to:

Władysławowi, najstarszemu, dał Krakowskie, Sieradzkie, Łęczyckie, Szląsk i Pomeranią.

Bolesławowi, wyznaczył Mazowsze, Kujawy, Dobrzyńską i Chełmińską ziemię.

Mieczysławowi dał Poznańskie, Gnieźnieńskie i Kaliskie, czyli Wielko-Polskę,

Henrykowi zaś Lubelskie i Sandomierskie, czyli Małą Polskę.

Kazimierzowi, najmłodszemu nic nie dał, przepowiadając, że podzielone części złączy i całe królestwo posiadzie.

Córkę swoją Judytę wydał za *Stefana II*, króla Węgierskiego, i w posagu za nią dał Starostwo Spiskie.

Już za tego króla uczono w szkołach publicznych.

Bolesław Krzywousty panował od roku 1102 do 1140.

Władysław II, chcąc ogarnąć kraje braci, idąc za radą swój żony Agnieszki, wojnę im wydał, lecz zwyciężony, z kraju uchodzić musiał, a tak i kraje przez ojca mu wyznaczone utracił, i wkrótce potem żonę za nim wysłano. Po nim więc objął rządy *Bolesław*, przezwany *Kędzierzawy*. Cesarze niemieccy starali się o przywrócenie do rządów *Władysława*, lecz tyle tylko wskurali że jemu i jego potomstwu wydzielono Szląsk i Luzacyą, i z téj przyczyny te kraje nigdy już do Polski nie wróciły.

Domowe między książętami rozterki osłabiły Polskę, z czego korzystając Słowianie za Odrą mieszkający, przez Sasów

i Duńczyków podbici zostali. Prusaków kraje polskie pustoszących, raz Bolesław poraził, a gdy się drugi raz przeciwko nim wyprawił, zdradziecko wprowadzony na błota, a potem ze wszystkich stron obskoczony, poniósł klęskę 1167 roku. W tej wojnie Henryk, książę Lubelski i Sandomierski zginął, a księstwa po nim Kazimierz odziedziczył. Umarł Bolesław 1173 r.

W tych to czasach książęta, stanowili Wojewodów rządzcami prowincyj, z których później, powstały województwa. Szkoły w kraju pomnożyły się i podniosły.

Mieczysław III, dla poważnych obyczajów przezwany *Stary*, prawem starszeństwa objął rządy polskie, a razem działów Krakowskiego i Poznańskiego, lecz znieawidzony z przyczyny różnych uciemieżeń, ustąpić musiał panowania swemu najmłodszemu bratu, Kazimierzowi.

Kazimierz Sprawiedliwy, długo się

wzbraniał nim przyjął rządy. Wszystkie działy po swych braciach połączył w jedno królestwo, Wielką Polskę tylko zostawił Mieczysławowi, Gniezno do królestwa wcielił, ziemie Przemyską, Włodzimierską. Brześć Litewski i Drohiczyn zholdował, synów Władysława w Szląsku, poróżnionych łagodnością swoją pojednał. Za niego powstał senat polski składający się z Biskupów, Wojewodów i Kasztelanów. Roku 1180 złożył zjazd w Łęczycy, na którym wiele praw w rzeczach duchownych i świeckich ustanowił, i włościan od uciążliwości Panów zabezpieczył. Z Węgrami odnowił r. 1193 traktat, podług którego góry Karpackie czyli Tatry granicę między Polską a Węgrami na zawsze stanowić miały. Prusaków upokorzył, Jadźwingów, naród na Podlasiu osiadły, do posłuszeństwa przymusił. Dla wielkich cnót, zaprowadzenia w kraju lepszego porządku, a mianowicie sprawiedliwości, zmniejszenia uciążliwych o-

pląt, *sprawiedliwym* nazwany, z żalem narodu umarł 1194 roku. Za niego powstało miasto Gdańsk.

Dziadek podziękował księdzu proboszczowi za udzieloną dzieciom tak długą naukę, potem przyprował je do domu.

NIEDZIELA DWUDZIESTA PIĄTA.



Poubierawszy się się i zjadłszy śniadanie rano, dzieci rozmawiały o wczorajszych zabawach gdy usłyszały śpiewy i muzykę.

— Co to jest, skąd te krzyki? mówily zadziwione dzieci, biegnąc ku drzwiom prowadzącym do ulicy.

Były to dwoje mali Sabaudczycy, chłopczyk i dziewczynka, chłopczyk grał na li-rze, a dziewczynka nosiła małą małpkę, i tańczyła; obstępily ich dzieci wiejskie i

z ciekawością przypatrywały się tańcom, a szczególniej małpce. Chłopczyk zdjąwszy wełnianą czapczkę, żalosną miną prosił o *trzy grosy*.

— Jak oni są zabawni! zawołał Leon; żeby to można zaprowadzić ich do Juliana, żeby go zabawili.

— To prawda, rzekł Kazimierz, ale jeżeli dziadunio pozwoli. Staś pobiegł prosić dziadka o pozwolenie, i powrócił zadyszany, wołając:— dobrze!

Dzieci tedy zaprowadziły Sabaudczyków do Kapitana, który umiejąc dobrze po włosku, wypytywał się ich skąd są?

MAŁY SABAUDCZYK.

— Z Chambery, mój dobry Panie.

DZIADEK.

— Moje dzieci, tak małe jeszcze jesteście, jak mogliście puszczać się w świat tak daleko?

MAŁY SABAUDCZYK (*z wesolą miną*).

— O! nie, mój dobry Panie, my jesteśmy najstarsi w naszej rodzinie; jest je-

szcze w domu trzech braci młodszych od nas. Dla tego to, kiedy nasz ojciec umarł... (Tu twarz małego Sabaudczyka zasmuciła się:) nasza matka powiedziała do nas: „Słuchajcie Jakóbie i ty Klaudyno, ja nie mogę wyżywić was, dzieci, ale wy już podrosłyście, musicie iść w świat, zarabiać sobie na chleb. Zaprowadziła nas do kościoła, modliła się za nas, my także modliliśmy się za nią; potem dała nam lirę, ja wziąłem swoją matkę, dała nam po kawałku chleba, ucałowała nas, i przeprowadziwszy nas na drogę, pożegnała. Dopiero kilka miesięcy jesteśmy w podróży, a Klaudyna już chce abyśmy powracali do domu: ponieważ zebraliśmy już 65 złotych, to już zdaje się jój że dość jesteśmy bogaci; zarobimy jeszcze więcej gdy się dostaniemy do Warszawy. Idziemy z Krakowa.

JULIAN (słabym głosem).

— A uważajcie żebyście nie zgubili pieniędzy, oddajcie je do *Kassy Oszczę-*

dności: jeżeli będziecie dokładali co tydzień po złotemu, po pięciu latach będziecie mieli blisko 300 złotych, to wiele! a będziecie jeszcze bogatsi jeżeli więcej co tydzień dokładać będziecie, lub dłużej te pieniądze w kassie oszczędności pozostawicie. A jakbyście byli szczęśliwi gdybyście mogli wspierać matkę w jój starości!... Nie zapomnicie o kassie oszczędności, nieprawdaż?

MALY SABAUDCZYK.

— O! nie, mój dobry Panie; dziękuję, dziękuję. Podziękujże, Klaudynko!

Klaudynka ukłoniła się Julianowi, którego oczy lubo wytrzeszczono i duże, widzieć jój przecież nie mogły; i mali Sabaudczycy nieco się oddaliwszy, dla zrobienia sobie miejsca, Jakób grać i śpiewać Klaudyna tańczyć z nim, zaczęli.

Ledwo skończyli, a Jakób połajał Klaudynę. — Bądź wesota! mówił jój; nikt ci nie da pieniędzy, jeżeli nie będziesz usiłowała bawić ludzi.

KLAUDYNA (*placząc*).

— Nie mogę, bo wstydzę się.

JAKÓB.

— To źle robisz. Mama mówiła ci abyś śpiewała i tańczyła dla zarobienia sobie na życie, powinnaś pamiętać o tym i słuchać ją. Ani wątpić że i ja wolalbym raczej być na miejscu tych co na nas patrzą gdy tańczymy, aniżeli sam tańczyć; wolalbym raczej dać trzy grosze, aniżeli prosić żeby mi dano. Ale my nie winni temu żeśmy się urodzili ubodzy, nie trzeba więc wstydzić się. Zarabiamy pieniądze, a dzieci nasze będą bogate. Jeżeli kto jest bogaty, to stąd że jego rodzice zarobili pieniądze, nieprawdaż? — uspokój się więc... i my będziemy mieli pieniądze, obaczysz jak ja będę pracował, gdy powrócimy... Tylko nie płacz, proszę cię.

Klaudyna ciągle płakała.

JULIAN (*także placząc*).

— Ja jestem niewidomy, i ja podo-

bnie jak ty Klaudynko, prosilem o jałmużnę, wiem jak ci to przykro być musi... Lecz teraz jestem bogaty. Pamiętaj dobrze drogę, jak pójdziecie do Warszawy, a jeżeli nie będziesz mogła przyzwyczaić się, powróć tu do nas, ... słyszysz Klaudynko? podzielimy się.

Klaudyna zbliżyła się do ciemnego, i szepnęła mu do ucha, powrócę.

— A nuże, Gogo, zawołał Jakób na małpkę, pokaż no i ty co umiesz! Jakób zaczął przygrywać na lirze, a małpka dalej płaść, dopiero tak, dopiero owak; ukloniła się potem wszystkim, pocałowała w rękę Stasia, wyszczerzyła ząbki do śmiejącego się Jasia i pokazała na migi że się jój jeść chce, dostała bulki i grzecznie się ukloniła.

Dostawszy dwa złote i dobre śniadanie, Sabaudzycy, poszli dalej tańcować po wsi, a dziadek poprowadził swych wnuków na przechadzkę. Szli drogą i znajdowali się w miejscu niewygodnem do

przejazdu i wywrotnem. Z jednej strony bryczka, z drugiej wóz szły na przeciw siebie: — Ciekawy jestem jak sobie ci ludzie postąpią żeby się wyminęli? rzekł Stasio.

— Obadwa trzymać się muszą, każdy prawej strony, odpowiedział dziadek; takiz jest zwyczaj gdy dwie osoby pieszo się spotkają: lecz jeżeli młody mężczyzna spotka kobietę lub sędziwego mężczyznę na wschodach, powinien, przez uszanowanie zatrzymać się i zdjąć kapelusz aż osoba przejdzie; jeżeli toż samo zdarzy się mu na ulicy, na trotoarze, wtedy tylko ustąpić trzeba strony od ulicy; a nie potrzebuje mówić wam, moi kochani, że trzeba zawsze zostawić wygodniejszą drogę ludziom dźwigającym ciężary.

W tej właśnie chwili jadący bryczką zagrzązł w parowie, dziadek z dziećmi i karczmarzem wioski, który przypadkiem nadszedł, pospieszyli mu na ratunek, i

ledwo, po wielu usiłowaniach, wydobyli konie i podnieśli bryczkę.

PAN BRYCZKI.

— Zepsuta się mi bryczka... Jakiż to nieporządny gospodarz, przez którego grunta przechodzi tak zła droga... Wolę, na drugi raz daleko mijać tę okolicę... nigdy już tędy nie pojedę.

KARCZMARZ.

— Oho! ten Pan chce żeby dla jego wygodny drogi były tak gładkie jak po stole.

PAN BRYCZKI.

— Nie inaczej tylko tak być powinno! i to byłoby korzystniejsze jeszcze raczej dla was aniżeli dla nas; bo wy z waszemi austeryami nie wytrzymałibyście bez podróźnych, my zaś, kiedy wiemy że ta droga jest niewygodna, możemy obrócić się inną gdzie nam potrzeba; i właśnie to zrobimy, a niebawem będziecie wy dla nas grzeczniejsi.

To powiedziawszy podróźny ruszył dalej, ale na przekor, choć potrzebował

bryczkę uaprawić i konie popaść, pociągnął jednak do drugiej austeryi, byle nie dać utargować karczmarzowi, który mu czynił niegrzeczne wymówki.

Zdarzenie to przerwało ranną przechadzkę; pod wieczór, dziadek, chcąc nagrodzić wnukom, wyprowadził ich daleko w pole: jeden zbierał gałązki, które wiatr z drzew pocbłamywał; drugi podej-mował piękniejsze, błyszczące kamyki; inny zrywał zioła z pięknymi kwiatkami, inny zaś ogrzewał za nadrem małego skowronka, któremu piórka wyrastać dopiero zaczynały... każdy swoje, pokazywali dziadkowi.—Moje dzieci, w ręku swoim macie próbki trzech królestw przyrodzenia.

KAZIMIERZ.

— Cóż to znaczy? dziaduniu.

DZIADEK.

— Trzy królestwa przyrodzenia czyli natury, dostarczają człowiekowi wszystkiego co mu do życia, mieszkania, odzie-

zy i wygod może być potrzebne, a są nimi: 1 *królestwo zwierząt*. 2 *królestwo roślin*. 3 *królestwo ciał kopalnych*.

Królestwo zwierząt obejmuje wszelkie istoty żyjące, jakimi są: człowiek, zwierzęta, ryby, owady.

Królestwo roślin składa się ze wszystkich istot roślinnych a temi są: drzewa, krzewy, zioła, kwiaty, trawa; słowem wszelkiego rodzaju rośliny.

Do królestwa ciał kopalnych liczą się istoty nie mające żadnych podobnych jak u zwierząt lub roślin organów, a takimi są: wszelkie kamienie, ziemie, sole, metale.

LEON.

— Dziadunio mówi że trzy królestwa przyrodzenia dostarczają człowiekowi wszystkiego co mu potrzeba do życia. Mnie najprzód potrzeba jeść, skoro wstanę i ubiorę się rano: cożby ony dać mi mogły dla zaspokojenia mego apetytu?

DZIADEK.

— Owoce drzew i jarzyny, zioła, nabiał od zwierząt domowych, jako to od krów, kóz, owiec. Potem, gdy zwierzęta, ptaki i ryby przyrządzone zostaną w kuchni, mamy z nich pokarmy pożywić nas i pokrzepić mogące.

KAZIMIERZ.

Jakie to owoce najlepsze są dla nas na pokarm?

DZIADEK.

— Najlepsze pożywienie mamy z roślin nazwanych zbożem, któremi są: pszenica, żyto, jęczmień a których ziarno zmielone na mąkę służy do pieczenia chleba i ciast: chleb który z nich mamy, najpowszechniejszym jest pokarmem, szczególnie w Europie. Prócz tych mamy jeszcze kartofle, równie powszechnie na pokarm używane.

Za powrotem do domn, dzieci ogrzewały się przy ogniu roznieconym gałęziami, których nazbierały, z krzemienia

narobity skątek i pozakładały je w swoje fuzye, ptaszka wsadziły w klatkę, ciepłe gniazdko mu ustawszy, a zaś kwiatki pokładały w bukiety i postawiały na oknach w wazonikach.

NIEDZIELA DWUDZIESTA SZÓSTA.



Będąc w szkółce chłopcy opowiedzieli swym towarzyszom przypadek, jakiego byli świadkami na złej drodze. Zawstydzeni przymówką podróżnego że tak zła droga idzie przez grunta ich wsi, postanowili wziąć się do pracy i naprawić ją, ile będą mogli. Dla tego w dzień rekreacyjny, zebrali się wszyscy przed dom kapitana Godziemskiego: on pochwaliwszy ich że tak dobrze umieją użyć czasu przeznaczonego na zabawy lub odpoczynek, porozdawał im łopatką, rydle, mo-

tyki, taczki i wesoło puścili się do miejsca roboty.

Pracowali wciąż przez cztery godziny, skopali miejsce nierówne, zawalili wybór i błoto, i powróciwszy złożyli do składu narzędzia, a dziadek zaprosił wszystkich na wieczerzę, dawszy im orzechy, figi, rozynki, jabłka; przyjęły to dzieci z radością i zjadły z wielkim apetytem, nadewszystkich Leon.—Mój dziaduniu, obraliśmy sobie naczelnika, rzekł, pełną mając gębę, co nie jest ani schludnie ani obyczajnie, bo najprzód pokazuje się co się ma w gębie, a potem mówi się tak iż nikt nas nie rozumie; dla tego dziadek zaczekał jakiś czas, a potem się go zapytał:—Kogoście obrali?

— Mego brata Kazimierza, odpowiedział Leon, gdyż powiedzieliśmy sobie: On to najlepiej umie być poslušnym, a zatem najlepiej innym rozkazywać potrafi; ja zbierałem głosy, wszystkie były za nim, wyjąwszy jego głos, który on dał za

najstarszym ze wszystkich nas. Obraliśmy więc Kazia głównym dowódcą naszych robót, on zaś mianował mych krewnych swymi pomocnikami rozkazów ja jestem tylko prostym robotnikiem, ale też umiem dobrze robić motyką... Patrz tylko dziaduniu, jak sobie narobitem ręce?

Towarzysze już rozejść się mieli, gdy ich Leon zatrzymał.—Nie rozchodźcie się jeszcze, mówił; razem pracowaliśmy, musimy także pobawić się razem... Mój dziaduniu, w jaką grę moglibyśmy najlepiej zabawić się?

— Oto w wyścigi, odpowiedział dziadek; ruszać będziecie od altany która stoi tam w końcu ogrodu, a biedz będziecie do kompasu, a ten, kto trzy razy stanie pierwszy u mety, odbierze tę nagrodę... Rozwinął piękną chorągiewkę, którą wyhaftowała dla nich, Panna Bronisława, kiedy się dowiedziała że zabierają się razem do roboty.

— Na wyścigi! na wyścigi! krzyknęły

dzieci przepasując się rzemionami paskami lub chustkami.

Julian daje znak uderzeniem w bęben; za trzecim odgłosem ruszają wszyscy razem, niektórzy w drodze upadają. Leon przeskakuje przez innych, wyprzedza ich, i pierwszy przybiega do mety: jeszcze dwa razy pierwszy dobiega, chwytając chorażew i woła:—Moja!

Towarzysze rozłączają się aż do następnej niedzieli:

— A więc Pan nie masz śledziona, Pannie Leonie, rzekła mu Małgorzata; bo wyjmują śledziona z tych którzy się przeznaczają na szybkobiegaczów.

— Czy to prawda, mój dziaduniu? zapytał się Leon.

— Nie, moje dziecko, odpowiedział dziadek, jest to znowu przywidzenie Małgorzaty; musiałby umierać każdy z kogo-by wyjęto śledziona.

Po obiedzie kapitan wyszedł z dziećmi na przechadzkę, i gdy szli przez wieś na-

potkali ubożego chorego, który ich prosił o jałmużnę. Jaś dał mu trzy grosze; natychmiast przybliżył się drugi żebrak: Jaś mu powiedział że już nie ma pieniędzy.— Otoż mi to dopiero, wołał ów drugi żebrak, daj ludziom, którzy na to nie zasługują, a mnie dać nie chcą. Ja nie byłem nigdy bogaty, wołał tenże jeszcze głosić, oglądając się ze złością na pierwszego żebraka; ja nie zubożyłem przez grę, ani mój żony ani mych dzieci... Ludzie zbiegać się zaczęli. Dziadek dał co żywo drugie trzy grosze drugiemu żebrakowi, upominając go aby oszczędzał człowieka, bardziej jeszcze jak on, godnego litości, gdyż jego bieda była skutkiem nieszczęsnej namiętności...

— Jakież to gry zgubić mogą, dziaduniu? zapytał się Jaś gdy szli dalej.

— Mój przyjacielu, każda gra zgubić może, gdy się w nią wdamy zapamiętali. Zbyteczna chęć do gry poniża człowieka, przytępia jego umysł i serce przez gwał-

towne wzruszenia jakie wzbudza zysk lub strata; gracz nie ma ani przyjaciół ani rodziny. Skłonność ta bywa przyczyną wielu zbrodni! aby ją nasycić rzemieślnik traci wszystko co mu potrzebnem być może, trwoni majątek żony i chleba, pozbawia dzieci. Żona oszukuje męża, sługa okrada swe państwo... i wkrótce nieszczęśliwi gracze dostają się do szpitali, na rusztowanie lub kończą samobójstwem.... Prawa wprawdzie zabraniają gier hazardowych, policya ściga graczy, oni jednak znajdują jeszcze sposób stracenia pieniędzy w bilard lub w inne gry rachunkowe albo zręczności wymagające, które odciągają młodzież z domów rodzicielskich, mężów od żon i dzieci...

JAS.

— Mój Boże! jakże nierozsądny jest człowiek, kiedy w nadziei niepewnego zysku, naraża się na utratę swego mienia! Nie wiele wprawdzie potrzeba na

wyżywienia się, aleć są jeszcze inne potrzeby kosztujące pieniądze: potrzeba np. odzieży, mieszkania i wielu innych rzeczy. Jakichże najprzód używano sposobów dla okrycia się?

DZIADEK.

— Najprzód odziewano się skórami zwierząt na pokarm ubitych; potem używano ich sierci, wełny z których wyrabiano odzież lżejszą, schludniejszą. Potem znaleźli ludzie pewny gatunek owadu przędzący jedwab' z którego tkają się kosztowne materye; następnie wynaleziono rośliny, jako to, konopie, len, dające włókno, które przędą i wyrabiają z niego płótno; nareszcie poznano roślinę dającą bawełnę, z której tkają perkalę, płócienka, kartuny i t. p.

KAZIMIERZ

— Mój dziaduniu, chciałbym ja wiedzieć jak ludzie przyszedli do tego że sobie zaczęli budować domy, które im dają

schronienie przed zimnem, upałem i deszczem?

DZIADEK.

— Najprzód z drzewa, które owocem nie rodzi, budowano szałas, chaty, domy; potem znaleziono między ciałami kopalniami materiały, jako to: *kamień, wapno, gips*, i t. p.; z tych to materiałów wystawiano obszerne i wygodne budynki, które były mocniejsze i trwalsze.

Prócz tego, człowiek, dla okrycia i obrony się, dla wygod i ozdób mieszkania, podejmuje wiele robót znanych pod nazwą *sztuk i rzemiosł*.

KAZIMIERZ.

— Co to są rzemiosła?

DZIADEK.

— Przez *rzemiosła* rozumieją się prace wykonywane rękoma, jakimi są: piekarstwo, krawiectwo, szewstwo, kapelusznictwo i t. p.; ludzie trudniący się rzemiosłami nazywają się *rzemieślnicy*.

KAZIMIERZ.

— Dziaduniu, a co są sztuki?

DZIADEK.

— *Sztuki*, są to roboty wymagające więcej dowcipu, przemysłu aniżeli rąk, jako to: malarstwo, muzyka, architektura i t. p.; oddający się sztukom ludzie, nazywają się *artystami*.

Wiatr zerwał się tak silny iż zrzucił Leonowi kapelusz z głowy. Leon puścił się za nim w pogoń. Na co inni patrząc śmieli się do rozpuku; bo gdy już miał przytrzymać, nowy powiew wiatru, znówu go popędził. Wreszcie chcąc go złapać, nogą przydeptać musiał... A to do uprzykrzenia, rzekł Leon otrzepując kapelusz z kurzu. — Co to jest wiatr? mój dziaduniu.

DZIADEK.

— Jest to mocny pęd powietrza, którego jeszcze przyczyn dostatecznie nie znamy, moje dzieci. Lecz ponieważ Bóg nie dał nic na próżno, tak i wiatry uży-

teczne są do roznoszenia chmur, ażeby deszczem skrapiały ziemię, w różnych miejscach, lub też żeby rozpędzały chmury i tym sposobem sprowadzały pogodę. Wiatry czyszczą powietrze, którem odychamy; dmą w żagle wodnych statków, okrętów, a tak pędzą je po morzach i rzekach: wiatry obracają młyny, folusze, a tak miela zboże, wytłaczają olej i inne roboty wykonywają; nareszcie ludzie urządzili wielkie miechy, któremi kowal rozdyma ogień w kuźni, i małe mieszki służące do rozniecania ognia na kominię. A tak widzisz, mój przyjacielu, że wiatr jest użytecznym żywiołem.

LEON.

— To prawda, dziaduniu; tylko na drugi raz, lepiej będąc trzymał kapelusze. A zapominasz dziaduniu że to wiatr pomaga wznosić się balonom.

DZIADEK.

— Nie, moje dziecko, balony same się wznoszą gdyż napętnione są powietrzem

lżejszem, aniżeli powietrze atmosferyczne. Widzisz jak dym z kominów wznosi się?... o toż tak samo wznosi się balon. Wiatr przy tem może popędzić balon; nie umiemy jeszcze kierować balonem, lecz spodziewam się że kiedyś ludzie odkryją na to sposób; nie ma bowiem żywiołu któregooby człowiek użyć nie potrafił. Woda porusza nasze młyny i unosi z jednego na drugi kraj świata płody. Ogień, a raczej para, zastępuje ręce, które poruszały maszyny; ona to pędzi okręty po morzach, statki po rzekach, a wagony po żelaznych kolejach. Wreszcie nie ma nic niepodobnego dla ludzkiego geniuszu, kiedy go wspiera wola Boska: Bóg bowiem kieruje przypadkami, którym wiśniemy nasze odkrycia i wynalazki.

KAZIO.

— Jak to?

DZIADEK.

— Naprzykład, dzieci trzymając przed oczyma dwa szkiełka spostrzegły że ko-

gutek na wieży wydał się im większy i niejako bliżej nich. Powiedziały o tem ojcu, któremu to podało myśl do teleskopu, a to szacowne odkrycie dało powód inny odkryciom w astronomii.

KAZIO.

— To prawda! Rzuciwszy kamień na kamień wydobyto iskrę; suche liście i suche gałęzie zapaliły się... i otoż...

DZIADEK.

— Tak, otoż odkrycie krzesiwa, pochodzące z przypadku; ale potem nauka i praca wydoskonaliły to odkrycie aż do zapalek chemicznych, których teraz używamy.

KAZIO.

— To dobrze! ale nie wszystko jeszcze odkryto. Będę ja się zastanawiał nad tem co widzę, co znam... a może jeszcze wynajdę co użytecznego.

NIEDZIELA DWUDZIESTA SIÓDMA.

Mali robotnicy zebrali się wszyscy do roboty na czas oznaczony; ale tym razem już Leon, gdy szli na miejsce, Leon ich poprzedzał, pysznie niosąc swoje chorażgiew; gdy powrócili, dziadek przyjął ich podwieczorkiem, podobnie jak w pierwszym dniu pracy; i teraz zakończyli dzień wyścigami, a w nagrodę przeznaczył im dziadek trzy piękne książki.

Za pierwszym i drugim biegiem, trzej mali chłopcy stanęli razem u mety; lecz gdy trzeci raz się puścili, przypadek zdarzył że znowu dobiegali razem, rozgniewało to ich, i nawzajem usiłowali przewrócić jeden drugiego, jakoż upadli rzeczywiście, i tak ciężko iż żaden nie mógł podnieść się prędko i biedz dalej, nagroda więc przyznaną być nie mogła. Wstali

wszyscy zawstyżeni upadkiem, a dziadek opowiedział im następującą przypowieść:

— Trzech ludzi znaleźli skarb; lecz gdy skarbem nie mogli zaspokoić łaknienia, wysłali jednego z pomiędzy siebie do pierwszego miasteczka aby kupił pożywienia. Wysłany człowiek pomyślał sobie: Jeżeli zatruję żywność, pomrą moi towarzysze, a cały skarb mój będzie; i zatrut żywność. Tym czasem owi dwaj mówili sobie: Jeżeli go zabijemy, jak powróci, podzielimy się obadwa skarbem; i zabili go; a najadłszy się zatrutėj żywności, pomarli, i nikt z nich nie został panem skarbu.

— Zupełnie tak samo stało się z nami jak z nimi, rzekli trzej chłopcy obcierając sobie potłuczone łokcie i kolana; bylibyśmy dostali każdy po książce, a że chcieliśmy mieć wszystkie, przeto nic nie mamy.

Rozeszli się towarzysze, przyrzekwszy sobie że zbiorą się znowu tegoż dnia

w następnym tygodniu, jeżeli będzie pogoda.

Po pracy bardzo dobrze spali i następnego dnia z dobrym apetytem obiad jedli; jeden tylko Staś nie jadł, zdawał się być roztargniony, i czemsi zajęty; nakoniec gdy dano wety, rzekł do dziadka z pewną tajemniczą miną:— Powiedziała mi Małgorzata, że co niedziela widywano dusze nieboszczyków chodzące po smentarzu... i dziś nawet... w wieczór... pewno będą chodziły.

— Oj! to prawda! cóż to są te dusze? czy one do prawdy chodzą? pytał się Leon tonem szyderskim.

— Są to cienie całe białe... odpowiedział Staś; ten cień który widziano, wychodzi z grobu Pani D*** modli się, niby płacze... niedługo potem przybiega djabł cały czarny i porywa go.

— Pójdziemy dziś w wieczór, skryjemy się za wielkim krzyżem, i zobaczymy to wszystko, rzekł dziadek; ale o na-

szym zamiarze nie mówcie nikomu, moje dzieci.

Gdy weszła Małgorzata, aby ze stołu sprzątnąć, dzieci zakryły sobie usta palcami, i wstały nic nie mówiąc.

Ale w wieczór nie tak prędko nadchodził, jak sobie życzyły: żeby uspokoić niecierpliwość dzieci, dziadek poprowadził je na smentarz, nie bardzo odległy ode wsi. Dawniej chowano zmarłych na smentarzu, około kościoła we wsi, lecz zwyczaj ten przed kilkadziesiąt laty wszędzie został zniesiony, gdyż wyziewy z grobów powstające, czyniły powietrze niezdrowem dla żyjących mieszkańców. Szemrano na to z razu, bo nie łatwo bywa przekonać ludzi co dla nich jest szkodliwe a co użyteczne.

Gdy wchodzili na smentarz, dziadek spostrzegł że i pies za nimi poszedł.—On nas odkryje, rzekł po cichu do Kazimierza; trzymaj go za obrozę, i usiądźmy na wschodkach krzyż otaczających.— Kiedy

nie jeszcze nie pokazywało się... Kazimierz zapytał się z czego ten krzyż jest zrobiony?

DZIADEK.

— Z cegły, kamienia, wapna, i gipsu, których nam królestwo ciał kopalnych dostarcza. Z niego także pochodzą istoty metaliczne czyli metale, które stanowią oddzielną klasę w tem królestwie, i powszechnie są użyteczne.

KAZIMIERZ.

— Jaka jest różnica między *kruszczem* a *metalem*?

DZIADEK.

— Metale mają tę własność że się w ogniu topią, i że bite młotem na kowadle rozciągają się.

KAZIMIERZ.

— Czy wiele jest metalów.

DZIADEK.

— Tak, mój przyjacielu, jest ich bardzo wiele gatunków; najpowszechniej zna-

ne są: żelazo, ołów, miedź, cynk, srebro i złoto.

KAZIMIERZ.

— Ten krzyż na wierzchu jest żelazny, nieprawdaż dziaduniu?

DZIADEK.

— Tak, moje dziecko. Żelazo jest najpospolitszy i najużyteczniejszy metal; dla tego to pewno Bóg dał je w każdym kraju; ale z natury nie mamy żelaza w takim stanie w jakim go używamy, znajdujemy je pomieszane z pewnym gatunkiem ziemi lub piasku, który nazywamy *kruscem* a od którego odtaczamy je za pomocą ognia.

KAZIMIERZ.

— Co to nazywają *lanem żelazem*?

DZIADEK.

— Gdy kruszec żelaza, który także *rudą* nazywają; mocnym ogniem przez pewny czas zostanie zagrzany, wtedy żelazo odtacza się od ziemi, topi się, i staje się ciektem; wtedy wylewają je w for-

my z piasku poprzednio przygotowane, a którym rozmaity kształt nadano: tym to sposobem leją żelazne naczynia, garki, kotły, grube płyty, różne sprzęty domowe, kraty i t. p.

— Jeżeli to żelazo powtórnie stopione zostanie, wtedy staje się twardszem, i do różnych wyrobów i użytków zdadniejszem. Kują je w kuźniach na sztaby, pręty i inne kształty, ciągną z niego blachy, robią narzędzia do różnych użytków w gospodarstwie domowym, sztukach, rzemiosłach, z niego to są gwoździe, zamki, podkowy i t. d.

KAZIMIERZ.

— A *stal*, co jest? dziaduniu?

DZIADEK.

— *Stal*, moje dziecko, jest żelazo w ogniu przyrządzone. Jest ona nie tak krucha jak lane żelazo, a twardsza od niego i lepiej polerować się dająca. Wyrabiają z niej narzędzia do krajania, rznięcia, piłowania, rąbania, jakoto: scyzoryki,

noże, pily, kosy, sierpy, robią z niéj także sieczną broń, klejnoty, ubiory i t. d.

KAZIMIERZ.

— Co to jest *otów*, i do czego się używa?

DZIADEK.

— *Otów*, jest metal miękki, łatwo się topiący, bo gdy się go ogrzewa ogniem, pierwéj się stopi aniżeli ogrzeje do czerwoności. Robią z niego rury do prowadzenia wody, rynny, kule do fuzyi, i t. d.

Wtem usłyszeli dzwonienie na siódmą godzinę na wieży kościelnej: siódma godzina — pomyślały sobie dzieci; serce im bić mocniéj zaczęło, gdy wtem pies zaczął wareczyć. — Leżeć! zawołał nań Kazio, grożąc mu pięścią... Wtedy spostrzegli coś białego idącego po smentarzu, a Kazimierz poznał że to była Panna Bronisława! Z zadziwienia przepomniał trzymać psa, który pobiegł do niéj, ale nie szczekał, tylko łasił się. Zdawało się że i Panna Bronisława także go poznała,

obejrzała się w kóło po smentarzu, i niko go nie spostrzegłszy, szła daléj wolnym krokiem do grobowca swéj matki, gdzie uklękła, zmówiła pacierz, i rzekła: — Mamo! na cóż opuścitaś mię? Mamo! czy już nie obaczę cię! Boże! powróć mi mamę moję! wołała płacząc tak głośno iż pies wyc zaczął żałośnie; a Kazio wytrzymać dłużej nie mogąc, przybiegł do téj maléj Panny, i za nim inni przybiegłszy obaczyli ją.

— Nie będę pytał się Panny o przyczynę, która ją tu na smentarz sprowadza, lzy Panny dostatecznie ją nam opowiadają, rzekł dziadek ze wzruszeniem; ale pewno zdziwiłabyś się Panna o tem, co nas tu sprowadza. Wszak to stare kobiety wiejskie uważają Pannę za cień, za duszę, marę, za strach, i za niewiem co; i różne rzeczy głoszą? a my przybyliśmy tu zacząć się i schwytać tego ducha.

Panna Bronisława powstrzymać nie mogła uśmiechu; a gdy nadszedł po nią

Murzyn, oddalita się, przyrzekłszy Kapi-
tanowi że już nie będzie straszyć wsi, i
że tylko przed portretem matki modlić
się za nią będzie.

Za powrotem do domu dzieci opowie-
działy Małgorzacie co widziały; lecz ona
kiwnęła głową z miną niedowierzającą.

— Co ja wiem, to wiem dobrze! rzekła:
jest to dusza Pani Dobrzańskiej, która
przybrała postać swój córki, a djabeł przy-
brał postać Murzyna... a to wszystko żeby
się najgrawać z was moi Panowie, i żeby
wam pokazać abyście nigdy w wieczór
na smentarz nie chodzili...

KAZIMIERZ.

— A my dobrześmy zrobili żeśmy tam
poszli, żebyśmy się przekonali i więcęj
już bajkom Małgorzaty nie wierzyli. Jak
też to Małgorzata jest uparta!

LEON.

— Jak to uparta jest Małgorzata! nie
prawdaż dziaduniu? Ona koniecznie utrzy-

muje że umarli wstają i chodzą, wszak
to nie prawda? dziaduniu.

DZIADEK.

— Nie, moje dziecko. Skoro dusza
uleci z naszego ciała, czy szczęśliwa, czy
nieszczęśliwa, już na ziemię nie powraca
do swego ciała i swych kości, ani się
przechodzi w prześcieradle. Bóg posta-
nowił prawa na wszystko, i dla nikogo
tych praw nie zmienia. Wiem że dawniej
zwodziciele, szarlatani, nadużywali nie-
wiadomości gminu, aby tym sposobem
wyłudzić od niego pieniądze lub poważa-
nie siebie; że wywodzili cienie, widma, i
pokazywali ogniste napisy... Ale to wszy-
stko łatwo się da zrobić za pomocą spo-
sobów fizycznych, i wy sami mogłybyście
tego dokazać.

STAŚ.

— Z tem wszystkiem, mój dziaduniu,
zdarzają się rzeczy nadnaturalne?

DZIADEK.

— Zdarzały się niegdyś, były to cuda,

które Chrystus Pan czynił dla nauczania ludzi; lecz teraz rzeczy zdające się nadnaturalnymi, objaśnić się dają przyczynami wcale naturalnymi. Uważajcie tylko, a przytoczę tego wam przykład. W pewnym mieście, widziano na niebie, wśród dnia, człowieka olbrzymiej wielkości z mieczem w rękę, i którym zdawał się grozić miastu.

STAŚ (*przestraszony*).

— Cóż więc?

DZIADEK.

— Oto, niektórzy przypatrzwszy się temu cudowi, poznali że to była statua Ś. Michała, stojąca na wieży kościelnej, że cień od niej rzucony był z przyczyny ciemnej chmury.

STAŚ (*uśmiechając się*).

— Dziękuję dziaduniowi; odtąd już nie będę się lękał strachów.

NIEDZIELA DWUDZIESTA OSMA.



— A cóż to, leniwcy! czy nie myślicie wstawać dzisiaj? rzekł dziadek pukając we drzwi do swych wnuków, robotnicy wkrótce przyjdą.

— Zaraz, dziaduniu, wstajemy natychmiast! odezwały się dzieci jeszcze ochryplym głosem. Po jakimś czasie weszły powoli do sali jadalnej: twarze ich były pobladłe, oczy mętne, nabrzmiałe, oddech odrażliwy.

DZIADEK (*niespokojny*).

— Cóż to wam, moje dzieci? zdajecie się słabe: co wam jest?

WSZYSCY (*zakłopotani*).

— Nic dziaduniu... Nie jesteśmy słabi.

DZIADEK,

— Zmyślcie!

LEON.

— Ja to właśnie mówiłem mym braciom. Po co zmyślać? najprzód że to źle, a potem prawda zawsze się wyda. Tak, dziaduniu, jesteśmy chorzy. Wiesz dziaduniu że wczoraj chodziliśmy na winogrona do ogrodnika, brata Małgorzaty? Otoż, tam jedliśmy słodkich winogron co się nam podobało, i jeszcze nam dał ogrodnik, koniecznie prosząc żebyśmy jeszcze zjedli, tak iż wkrótce w głowach się nam zawróciło!

(Udaje pijanego, pomimo że go szarpie za rękaw Kazio).

DZIADEK (do Kazimierza niechętnie).

— Pozwól mówić bratu, mój Panie.

LEON (mówi dalej).

— Tak iż wyraźnie upiliśmy się. I gdyby nie ślepy Julian, nie trafilibyśmy do domu. Przybywszy położyliśmy się natychmiast, aby nas dziaduniu nie zobaczył; Małgorzata, dawała nam w nocy herbaty, lewatywy... na womity!

DZIADEK (odwracając się).

— Jakież to szpetne rzeczy opowiadacie mi! A tu robotników tylko co nie widać, trzeba ukryć przed nimi wasze nieprzyzwoite postęпки; pogardzaliby wami. Weźcie swoje narzędzia i idźcie!

Ruszyli więc w drogę. Robotnicy szli wesoło śpiewając; czterej zaś bracia byli smętni i ledwo się wlekli; robotnicy wkrótce skończyli swoją robotę, a bracia prawie nic jeszcze nie zrobili. Za powrotem robotnicy zajadali z dobrym apetytem dane im od dziadka poczystne; braci zaś bolał żołądek, głowa. Rozpoczęły się wyścigi; robotnicy ubiegali się o nagrodę; bracia tylko patrzyli na nich, i nawet nie mieli chęci ubiegać się z nimi... Nareszcie gdy robotnicy odeszli, dziadek kazał swym wnukom iść do pokoju i przespać się. — Przekłete winogrona! mówili kładąc się. Nigdy ich nie zapomnę!...

Wstawszy poszli zaraz do stołu: dano im lekką zupę szczawiową, którą Małgo-

rzata przyniosła w miedzianym ądelku.
— Wiesz dobrze, Małgorzato, że zaka-
załem ci, rzekł dziadek, używać miedzi
do gotowania, wyjąwszy chyba do pie-
czenia; ta zupa może ostygnąć, a wtedy
utworzy się grynszpan, i potrujesz nas.

KAZIMIERZ.

— Co jest *miedź*, mój dziaduniu?

DZIADEK.

— Jest to metal który po czerwonym
jego kolorze, po smaku i woni rozróżnić
można od innych metalów. Za pomocą
różnych przyrządzeń, można mu nadać
kolor żółty, którym jest bardzo podobny
do złota, i tak przyrządzona miedź nazy-
wa się *mosiędзем*, *tombakiem*, i t. d. Wy-
rabiają z nich rozmaite rzeczy, naczynia,
narzędzia, sprzęty, ozdoby, z miedzi
szczególniej robią kotły, ądle; obijają
nią okręty, pokrywają budynki, i biją
zdawkową monetę.

KAZIMIERZ.

— Co to jest *brąz*?

DZIADEK.

— *Brąz*, jest mieszanina miedzi i cy-
ny, służy on do roboty posągów, dzwo-
nów, armat i t. p.

KAZIMIERZ.

— A co jest *cyna*, dziaduniu?

DZIADEK.

— *Cyna*, mój przyjacielu, jest metal
biały jak srebro; a tak jest miękki iż kłóć
go można szpilką; a topi się tak łatwo iż
daje się płaszycć na blaszki ciensze od
papieru. Cyna przez jakiś czas, pociera-
na, wydaje woń przylegającą do palców;
cyna jest najłżejsza z pomiędzy metalów.
Robią z niej różne domowe sprzęty, jako
to półmiski, talerze, łyżki i t. p. Pomie-
szana będąc z innym metalem nazywa-
nym *żywe srebro* czyli *merkuryusz*, daje
kompozycyą, którą wykładają tafle szkła-
ne, i tak robią *zwierciadła*.

Pod wieczór, gdy lepić było dzieciom,
dziadek poprowadził je do księdza pro-
boszcza; po drodze napotkali starego pi-

janego, którego chłopcy uliczni napastowali i rzucali nań to grudkami ziemi, to kwaśnymi jabłkami. To starego tak gniewało, iż chcąc dognać i złapać którego z nich przewracał się, podnosił się, i znowu upadał. Twarz, białe swe włosy, ręce, powalał, pokrwawił; podarte na nim łachmany napół go tylko okrywały, i widać było na nim ciało wynędzniałe z biedy i pijaństwa.

— Wstydźcie się! rzekł Kazio do rozpustnych dzieci, jak to brzydko dokuczać takiemu starcowi, i śmiać się z jego rań!

— Obroń go, proszę cię, mój dziaduniu! zawołał Staś.

Starzec leżał na ziemi rozciągnięty nie ruszając się; był to ubogi szewc wiejski. Kapitan zawołał dwóch ludzi i zobowiązał ich aby go zaprowadzili do jego mieszkania. — Niestety! zawołała widząc go, jego żona, sprzedał dziś ostatnią kapocinę, czemże się okryje podczas następującej zimy? Zbytek pijaństwa nabawił

go słabości tak iż trzęsą mu się ręce i robić nie może. Przypatrzyłam się już mu kiedy robił i przekonałam się co nas czeka; oh! żeby się już Bóg zlitował nad nami i zebrał go z tego świata: i dogodził też sobie znowu... Patrz tylko Pan Kapitan, przetracił już rękę swemu dziecku. I pokazała małego biednego chłopczykę w gałganach, a ten się krył ze wstydu.

Szewc położony na sienniku nie dawał żadnego znaku życia. W nadziei że w szpitalu lepsze może będzie miał okolo siebie staranie, którego żona w domu udzielić mu nie mogła, kapitan zapłacił dwom ludziom aby go tam przenieśli, oddał resztę co miał przy sobie pieniędzy kobiecie i powrócił z dziećmi do księdza proboszcza.

Ksiądz proboszcz przyjął go ze zwykłą sobie dobrocią, potem, po przywitaniach, opowiadał dalej dzieciom historią panujących monarchów w Rosyi i w Polsce.

— Rossya w dawnych czasach podzielona na drobne księstwa, wiele wprawdzie ucierpiała z przyczyny napadów Połowców, wszystkie te jednak nieszczęścia były niczem w porównaniu klęsk i zniszczenia doznanych od Tatarów.

KAZIO.

— Któż to byli ci Tatarowie?

KSIĄDZ PROBOSZCZ

— Tatarowie naród koczujący w środkowej Azji, na Północy względem Chyn zamieszkały. U nich wódz i najwyższy rządca nazywa się Chan. Jeden z takich chanów, imieniem *Temuczyn*, człowiek dumny, przebiegły, śmiały, zebrawszy liczne wojska i przybrawszy imię *Czyngishana*, co znaczy *wielki chan*, uderzył na Chyny i prawie całe to ogromne państwo zawojował i zniszczył roku 1215. Stamtąd obrócił się ku zachodowi, zawojował i zburzył prawie wszystkie w Azji królestwa i państwa, wymordował miliony ludzi, poniszczył miasta i zbliżył się

wreszcie do granic Rossyi. Zdziwili się Rossyanie tym niespodzianym napadem, tym bardziej jeszcze że do owego czasu o Tatarach nawet nie słyszeli, i dopiero od uciekających przed nimi Połowców, dowiedzieli się o ich zbliżeniu. Naradziwszy się więc książęta Rossyjscy Kijowski, Czerniechowski, Halicki, Wołyński, i inni ruszyli przeciwko Tatarom z licznem wojskiem, i najprzód rozłożywszy się nad rzeką Dnieprem, znieśli mały ich oddział, czem ośmieleni, przeprawili się za Dniepr, szli 9 dni, i nad rzeką *Kalką*, w dzisiejszej guberni Ekaterynosławskiej, stoczyli walną z nieprzyjacielem bitwę, ale tak nieszczęśliwie iż sześciu poległo książąt i ledwo dziesiąta część wojska ocalała. Po tem zwycięztwie, przemożni liczbą Tatarzy, posuwali się dalej, ogniem i mieczem niszcząc wszystko. Wtem nagle cofnęli się Tatarzy, a Rossyanie odetchnęli sądząc że zwycięzcy uciekają, kiedy oni w sześć lat potem znowu przybyli, na

nieszczęście, nie tylko Rosysi ale i Polski i innych południowo-wschodnich krajów Europy. Czyngishan umierając 1227 roku zostawił po sobie następcą syna imieniem *Oktaja* czyli *Ugadaja*, który dokończywszy zawojowania i zniszczenia Chyn, wystąpił 300,000 wojska pod dowództwem Batego na podbicie Rosyi i innych zachodnich krajów. Staby stawiali im opór książęta Rosyjscy; Tatarzy zdobyli Moskwę, Włodzimierz, Kijów i inne miasta, zagarnęli prowincye, ogniem i mieczem wszystko pustosząc. Długo Rosyianie podlegać musieli tym najeźdźnikom.

— W Polsce tymczasem po śmierci Kazimierza sprawiedliwego, objął rządy małoletni syn jego *Leszek* od białych włosów *Białym* nazwany pod opieką *Heleny*, matki. Korzystając z małoletności jego *Mieczysław Stary* zabiegami dokazał, że mu raz jeszcze Helena tronu ustąpiła. Ale krótko panując umarł 1202 roku. Polacy pragnęli znowu mieć królem Leszka,

lecz Mikołaj wojewoda Krakowski pod tym tylko warunkiem Leszkowi tron ofiarował, aby oddalił od siebie swego przyjaciela Goworka wojewodę Sandomierskiego z którym Mikołaj był w nieprzyjaźni. Lubo Goworek na to przystawał dla szczęścia swego pana, Leszek przecież tyle cenił jego życzliwość iż wolał ustąpić tronu jak przyjaciela.

— Więc syn Mieczysława Starego *Władysław Laskonogi*, dla cienkich nóg tak zwany, objął rządy, ale niedługo panując ustąpił ich dobrowolnie Leszkowi, który się był wstawił zwycięstwem pod *Zawichostem*.

Za swego powtórnego panowania Leszek ustąpił bratu swemu Konradowi Mazowsze i Kujawy, który nie mogąc się opierać częstym napadom Prusaków, wezwał przeciwko nim na pomoc roku 1228 *kawalerów Krzyżackich*, zakon rycerski z samych Niemców złożony i nadał im nadgraniczny powiat Chelmiński na lat

20. Ci to Krzyżacy wytepiwszy Prusaków i kraj Niemcami obsadzwszy, tak się potem wzmocnili, iż przez długi czas Polacy wojny z nimi, jako z zawziętymi nieprzyjaciółmi, prowadzić musieli.

W Pomeranii nadwiślańskiej czyli Gdańskiej ustanowił był Leszek rządcą niejakięgo Światopełka, który dumą powodowany zapragnął tytułu niepodległego księcia i stał się królowi nieposłusznym. Leszek zjechał z wielu panami i książętami do *Gazawy* aby tam rozpoznać postęпки Światopełka i rozruchy w Wielkopolsce, lecz zdradziecko przez tegoż Światopełka napadnięty i zabity został, r. 1227.

Syn i następca Leszka *Bolesław Wstydliwy* miał dopiero lat 6 gdy ojca postradał. O jego opiekę kłócili się stryj Konrad książę mazowiecki i Henryk Brodaty książę Wrocławski brat stryjeczny; przez te kłótnie i młody król i kraj ucierpieli wiele; Tatarzy też, po zawojowaniu księstw Rossyjskich, naszli Polskę i zbiw-

szy wojsko pod Turskiem, ogniem i mieczem ją spustoszyli, zagony swoje posuwały aż do Szląska gdzie raz jeszcze zwyciężyli połączone wojska polskie i krzyżackie. Bolesław zaś ujechałszy do Węgier spokojnie tam przesiadywał, i powrócił dopiero, gdy go Polacy przywołali nie mogąc znieść uciążliwych rządów Konrada.

Za powrotem Bolesława Tatarowie powtórnie około roku 1260 okropnie Polskę zniszczywszy, mnóstwo ludu z niej uprowadzili. Dokuczali jej także napadami Prusacy, Litwini i Rusini z którymi się połączyli Jadźwingowie; lecz Bolesław, po strasznój walce naród ten wyciął i część jego kraju, dzisiejsze Podlasie do Polski przyłączył 1264 r.

Całe panowanie Bolesława było nie szczęśliwe z powodu różnych na kraj napadów i wewnętrznego nieładu, a ciągnęło się bardzo długo, bo lat 52. Nie

umiał on ani rządzić w pokoju, ani przewodniczyć w wojnie. Żona jego Ś. Kune-gunda, córka króla Węgierskiego przyczyniła się do udoskonalenia kopalni soli w Wieliczce.

Leszek Czarny, od czarnych włosów tak nazwany. nastąpiwszy po Bolesławie, nie mógł rządzić spokojnie dla nieustannych kłótni z Konradem; Tatarzy trzeci raz 1287 roku wpadli do Polski kraj zrabowali i zniszczyli aż pod Kraków, samych panien, prócz innego ludu, 21,000 z sobą uprowadzając. Pod owe czasy Lew książę Ruski miasto *Lwów* założył.

Po śmierci Leszka Czarnego wszczęły się spory o tron Polski; ubiegali się o niego brat Leszka *Władysław Łokietek*, Bolesław książę mazowiecki syn Konrada, Henryk *Probus* książę Wrocławski i Wacław król Czeski. Stąd były w Polsce wielkie zamieszania. Najprzód więc rządził przez rok Henryk, po nim Przemysław

książę poznański, któremu Henryk umierając, rządy przekazał. Znowu więc były spory, dobijali się tronu Wacław, Władysław Łokietek i Przemysław, a tym czasem Tatarzy, Litwini i Krzyżacy Polskę napadali i niszczyli.

Dla uspokojenia tych zamieszek Przemysław książę Poznański na tron powołany został, który podzieloną Polskę od czasów Bolesława Krzywoustego, to jest: Pomorze, Kraków, Sandomierz, Łęczyce, Brześć Kujawski w jedną całość połączył i dla większej powagi królem się koronować kazał 1295 roku. Niedługo jednak panował ten dzielny monarcha, gdyż przez zdradę zawistnych wzrastającej jego potęgi Margrabiów Brandeburskich, w siedm miesięcy zabity został w Rogoźnie 1296 roku.

Książę proboszcz skończył tym razem swoje opowiadanie, a dzieci choć ich sen marzył, gdyż przeszłej nocy nie spały,

bronily się jednnk cierpliwie, nie śmiać
użalić się dziadkowi, z obawy aby nie
wydał ich postępkę; dla tego wracały do
domu z radością, aby co prędziej udać
się na spoczynek.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



156135 /

1

322

broniły się jednak cierpliwie, nie śmiejąc
 zwać się dziełkami, z chęcią aby nie
 wydać ich postępu: dla tego wracali do
 domu z radością, aby co przetrwać, nadać



SPIS BZECZY

W TOMIKU I.



1. NIEDZIELA	strona 1
Bóg.—Stworzenie świata.—Sumienie. Pięć zmysłów. — Starzec czyli nie- wdzięczny syn.	
2. NIEDZIELA	10
Praca, porządek i oszczędność. — Święcone jaja wielkanocne.— Bogumił czyli dobry uczeń.— 1sza lekcya arytmetyki.	
3. NIEDZIELA	22
Wojsko.—Posłuszeństwo.—Być uży- tecznym krajowi.— Wybór stanu. — 2a lekcya arytmetyki.	
4. NIEDZIELA	31
Dbałość o porządek w mieszkaniu.— Zwicznienie nogi czyli kłamstwo. — Dobroczynność.— 3a lekcya arytmetyki.	
5. NIEDZIELA	43
Pycha i lenistwo.— Niewiasta zmarła przy polegu.— Adam i Ewa czyli nie- posłuszeństwo.—Cóż Bóg nakazuje.— 4a lekcya arytmetyki.	

6. NIEDZIELA strona 56
Mały ciemny czyli wstyd zebrania.—
Szczepienie ospy.—Cyfry arabskie.—
Sposoby niszczenia robactwa i szkod-
nych zwierząt.
7. NIEDZIELA 65
Gimnastyka.—Tolerancja religijna.—
Lekcja arytmetyki.—Rosa.
8. NIEDZIELA 74
Podział czasu.—Dzieci młynarza czyli
podział puścizny.—Botanika.—Chrzest.
9. NIEDZIELA 85
Pies Lody.—Dobroczytność nagro-
dzona.—Pływanie.—Pory roku.
10. NIEDZIELA 93
Nieochędóztwo i zły pokarm.—Trąd,
choroba.—Szanowanie zdrowia.—Pie-
niactwo.—Podział dnia.—Modlitwa.
11. NIEDZIELA 104
1a lekcja astronomii.—Pojedynek.—
Krzyże.—*Umarły zabił żywego*, hi-
storia.
12. NIEDZIELA 114
Tłómaczenie snów.—Złodziej wiśni.
Zielnik.—2a lekcja astronomii.
13. NIEDZIELA 125
Gniew i kara czekająca go.—Murzyn.
Różne pokolenia ludzkie.—3a i osta-
tnia lekcja astronomii.
14. NIEDZIELA 139
Tonący czyli przytomność umysłu.—

- Ratowanie tonących, oczadziałych i
t. p.—Historja ułana.—Powietrze,
mgła, chmury, deszcze, grad.
15. NIEDZIELA 150
Wdzięczność.—Dwa pogrzeby, czyli
skąpiec i marnotrawca.—Piorun.—
Grzmoty.—Piorunochrony czyli
konduktory.
16. NIEDZIELA 162
Wściekły pies.—Lekarstwo na wście-
kliwość.—Przesady.—1a lekcja geo-
grafii.—Święty Medard.—Historja,
1a lekcja.
17. NIEDZIELA 175
Dożynki, okrężne.—Główne strony
świata.—Różne wiatry.
18. NIEDZIELA 185
Dziadek czyni przegląd.—Szlachta i
nieszlachta.—Pan generał.—Król.—
2a lekcja geografii.—Topielcy i t. d.
19. NIEDZIELA 199
Kanikuła.—3a i ostatnia lekcja geo-
grafii.—Kaim i Abel.—Zazdrość.—
Książka zabity przez swego pana.—Co
król robi.
20. NIEDZIELA 209
Jak pisać listy.—Cierpliwość.—2a lek-
cja historii.—Europa.
21. NIEDZIELA 22
Przewietrzanie mieszkania.—Szarla-
tan.—Azya. Sady, trybunały.—Gwia-
zdy spadające.

22. NIEDZIELA strona 236
Imieniny dziadka.—Święci.—Podatki.
Afryka.—Opętany, wilkołak.
23. NIEDZIELA 248
Polowanie.—Ciemny raniony przy-
padkiem.—Ameryka.—Bussola.—
Wzbieranie i opadanie morza.
24. NIEDZIELA 259
Pieniądze oszczędzone dobrze użyte.
Podróże.—Oceania.—3a lekcya hi-
storyi.
25. NIEDZIELA 272
Dwoje małych Sabaudczyków czyli
ubóstwo.—Kassa Oszczędności.—Zła
droga.—Trzy królestwa rzeczy przy-
rodzonych.—Rośliny.
26. NIEDZIELA 283
Wścigi.—Szybko-biegacze.—Gry.—
Wynalazki.—Wiatr.—Sztuki i rze-
miosła.—
27. NIEDZIELA 295
Skarb znaleziony, bajka.—Dusze cho-
dzące.—Metale.—Rzeczy nadnatural-
ne, objaśnione naturalnemi przyczy-
nami.
28. NIEDZIELA 307
Pijaństwo.—Metale.—Pijak.—4a lek-
cya historyi. Tatarzy.